

Grzegorz Gortat

# PATRON



*Jeśli mówimy, żeśmy bez grzechu, sami się zwodzimy  
i prawdy w nas nie ma. Musimy więc  
grzeszyć i w ślad za tym umierać (...)*

Christopher Marlowe,  
*Tragiczne dzieje doktora Fausta*

## Spis treści

Spis treści .....	3
Prolog Nie tylko Paryż.....	6
Rozdział 1 Siódmy list .....	8
Rozdział 2 Obiecująca znajomość na wernisażu .....	12
Rozdział 3 Ważą się losy literackich wawrzynów oraz czyjeś życie .....	22
Rozdział 4 Hamlet, Lord Jim i kanarek .....	27
Rozdział 5 Może jednak miłość.....	30
Rozdział 6 Diabły przychodzą po Alleyna.....	39
Rozdział 7 Koło fortuny rozpędza się.....	49
Rozdział 8 Jedni szukają pewnego czasopisma, inni pewnego autora .....	54
Rozdział 9 Białe kości a nieśmiertelność .....	60
Rozdział 10 Wrywanie sztuki z utartych kolein albo sztuka pociągania za sznurki ..	67
Rozdział 11 Mnożą się znaki, ale nie każdy potrafi je odczytać .....	71
Rozdział 12 Diabeł wychodzi z cybucha .....	74
Rozdział 13 Twórca i jego dzieło .....	85
Rozdział 14 Sztigler z zaświatów .....	88
Rozdział 15 Umierać też trzeba umieć .....	97
Rozdział 16 Trzy Heleny.....	104
Rozdział 17 A jednak należy patrzeć pod nogi .....	113
Rozdział 18 Lewa ręka Leonarda .....	118
Rozdział 19 Ten Czwarty .....	132
Rozdział 20 Monopol na cuda.....	144
Rozdział 21 Wiatr posłusznie zmienia kierunek .....	150
Rozdział 22 Kawa i sumienie .....	153
Rozdział 23 Mikroprocesor a dusza.....	158
Rozdział 24 Mąka i woda.....	163
Rozdział 25 Dwa piętra nad ziemią .....	165
Rozdział 26 Marlowe płaci rachunek.....	169
Rozdział 27 Nie można dwóm panom służyć .....	180

Rozdział 28 Werdykt ławy przysięgłych .....	192
Rozdział 29 Płomienie, płomienie, płomienie.....	201
Epilog Dziwne rzeczy o północy .....	208
Od autora.....	210

## Zamiast wstępu

Zawsze znajdzie się ktoś, kto gotów twierdzić, że do opisywanych tu wydarzeń mogłoby nigdy nie dojść, gdyby redaktor Majmaniec zarekomendował jednak otrzymany maszynopis książki, a kanarek profesora Brzóska nie wyleciał za okno. Ktoś taki mógłby nawet posunąć się do stwierdzenia, że cała historia potoczyłaby się zgoła inaczej, gdyby Leonardo nie namalował *Wygnańca z Raju* oraz, co w tej opowieści równie istotne, gdyby obrazu tego nigdy nie odnaleziono. Jednakże mówiąc tak, przyjmowałby za pewnik, że w życiu decydującą rolę odgrywa przypadek. Nic bardziej mylnego. Każda rzecz bowiem ma przypisane jej miejsce, tak jak każda historia ma tylko jej przynależne zakończenie.

Chociaż, oczywiście, zdarzają się wyjątki...

## Prolog

# Nie tylko Paryż

Lucyfer zamknął francuskie wydanie *Nędzników* z 1862 roku. Pogładził oprawną w safian okładkę.

- Tak, Monsieur - powiedział i westchnął nostalgicznie. - Rzadko rodzi się talent tej miary.

- Nie lubię Francuzów - burknął Monsieur.

- Wiem, ten zadawniony uraz. Ale przez pięć wieków Paryż bardzo się zmienił.

- Jedyne, co dali światu dobrego, to koniak.

- Jesteś niesprawiedliwy.

- To nie tobie przysmażali pięty!

Lucyfer machnął lekceważąco ręką.

- Kto ogniem wojuje, ten może się poparzyć. Zaprowadziłeś na stos więcej osób niż wielebni Jacob Sprenger i Heinrich Krämer. - Włożył do ust dwie pastylki tic taca. - Więc jak, dasz się namówić na wyjazd do Paryża?

- Nie tym razem. Może kiedy indziej. Czas nas nie goni.

- Nauczyłeś się korzystać z komfortu wieczności. Życie rządzi się innymi prawami.

Monsieur nagle przybrał oficjalny ton.

- Wybacz, Mistrzu, ale dałem sobie słowo, że moja noga więcej we Francji nie postanie. Poradziłeś sobie beze mnie przedtem, dasz sobie radę i teraz.

Lucyfer rozłożył ręce.

- Niestety, nie każdy wyjazd kończył się sukcesem. Historia z Hugo jest tego najlepszym przykładem. - Nie wstając z fotela, sięgnął po pilota i włączył telewizor. Wybrał wieczorne wiadomości na CNN. - Trudno, odpuszczę sobie na razie Paryż - postanowił. - Rozejrzemy się za czymś innym. W końcu na niebie świeci więcej niż jedna gwiazda.

Monsieur poruszył się niespokojnie. Wziął ze stolika numer „Scientific American” i z ponurą miną przerzucił kilka kartek. Lucyfer przyjrzał mu się z uwagą.

- Czemu zmarkotniałeś?

- Wiesz, że byle wzmianka o niebie źle na mnie działa. - Monsieur sięgnął po papierosa i zaczął nerwowo miętosić filtr.

- Niepotrzebnie, mój drogi. - Lucyfer poklepał go uspokajająco. Wyjął zapalniczkę i podał mu ogień. - Przegraliśmy bitwę, ale to jeszcze nie koniec wojny. Mamy przed sobą całą wieczność.

# Rozdział 1

## Siódmy list

Pogodne od rana niebo pociemniało, zerwał się wiatr. Nisko wiszące chmury zwiastowały burzę. Julian przyspieszył kroku. Zdążył skryć się w bramie, kiedy spadły pierwsze grube krople majowego deszczu. Zagrzmiało potężnie. Wszedł do odrapanej klatki schodowej i z przyzwyczajenia najpierw skierował się do skrzynek na listy. W przegrodce z numerem 35 coś się bielilo. Odstawił teczkę, pospiesznie otworzył skrzynkę i wyjął zwykłą kopertę. W lewym górnym rogu widniał stempel nadawcy: Oficyna Wydawnicza Domino, pośrodku wykaligrafowane były dane adresata: SzP Julian Rotas, Warszawa, al. 3 Maja... Pomacał kopertę. Cienka, chociaż to jeszcze nic nie znaczy. Drżącą ręką wsunął przesyłkę do kieszeni marynarki, zabrał teczkę i podszedł do windy. Przycisk palił się na czerwono, jednak kabina stała w miejscu. Pewnie ten z szóstego znowu nie zamknął drzwi. Julian chwilę nasłuchiwał, w końcu zrezygnowany ruszył schodami w górę. Wdychając obiadowe zapachy wypełniające klatkę schodową, dotarł na trzecie piętro. Chwilę mocował się z otwartym oknem, przez które wdzierały się strugi deszczu. Zatrzasnął je wreszcie, ominął kałużę wody na mocno sfatygowanej posadzce i jak najciszej otworzył drzwi do mieszkania.

W przedpokoju rozebrał się bezszelestnie. Wyjął list z kieszeni marynarki i na palcach przeszedł do jadalni. Zaskrzypiały deski podłogi.

- Julek, to ty?

Drzwi do pokoiku babci Janiny były uchylone.

- Wróciłem.

Siedziała na wózku inwalidzkim obok nie zasłanego łóżka, opatulona w pled, z różańcem w ręku. Monotonny głos z radia powtarzał: „Dla Jego bolesnej męki...”

Prawda, dopiero piętnasta, pomyślał Rotas. Pora na koronkę.

- Wcześniej dzisiaj jesteś. - Przesunęła w palcach kolejny paciorek.

- Zwolniłem się w redakcji. Wieczorem idę do Zachęty. Dziś otwarcie tej wystawy, o której pisałem. - Poprawił jej pled, ze stolika przy wózku zabrał pusty talerz po zupie. - Która opiekunka dzisiaj była? Krysia? Nie mogła poczekać, aż zjesz?

- Młode jeszcze, mają swoje życie. Wpadają jak po ogień i pędzą dalej. Kto by się starymi zajmował. - Pochylona w stronę radioodbiornika, kiwając rytmicznie głową, podjęła



przerwaną modlitwę.

Wycofał się tyłem do progu. Z obrazu nad łóżkiem babci Janiny patrzyła na niego Święta Rodzina: Święty Józef zajęty ciesielką, Matka Boska z Dzieciątkiem na kolanach, śnieżnobiałe gołębie wydziobujące ziarna z drobnej rączki Zbawiciela.

„Miej miłosierdzie dla nas i całego świata”. Zamknął drzwi i modlitwa ucichła.

Zaniósł talerz do kuchni i wrócił po list, który zostawił na stole w jadalni. Rozerwał kopertę. Szybko przebiegł wzrokiem krótki tekst:

Szanowny Panie

Dziękujemy za przedłożoną propozycję. Z przykrością odpowiadamy, że nadesłany tekst nie mieści się w profilu wydawniczym naszej oficyny.

Z poważaniem  
Wiktor Kucaj  
sekretarz redakcji

Odłożył list i poszedł do łazienki. Długo mył twarz w zimnej wodzie. Spojrzał w lustro. Czerwone plamy na czole, policzki rozpalone, podkowy pod oczami. Wiktor Kucaj! Raczej Połamany Kutafon! Pewnie nawet nie zajrzał do maszynopisu!

Wsadził głowę pod strumień lodowatej wody. Pomogło nie na długo. Kiedy wrócił do pokoju, twarz wciąż go piekła, jakby ktoś przykładał mu do skóry rozpalone żelazo. Otworzył staroświecki sekretarzyk sąsiadujący z solidną mahoniową biblioteczką, która zajmowała niemal całą ścianę. Oba meble, cudem ocalałe z wojennej pożogi, nosiły jeszcze ślady fajki dziadka, któremu zdarzało się przysnąć przy lekturze prawniczych kodeksów. Opasłe tomiska stały teraz na najwyższej półce biblioteczki obok botanicznych albumów i zajmującej niższe półki, oprawnej w skórę przedwojennej Biblioteki Beletrystycznej Towarzystwa Wydawniczego J. Mortkowicza, na której mały Julek pod okiem dziadka wprawiał się w czytaniu. Na szczycie sekretarzyka, przy zaśnieżonym krucyfiksie, który dziadkowie przywieźli z podróży poślubnej z Asyżu, stało czarno-białe zdjęcie w porcelanowej ramce. Scenka rodzinna sprzed trzydziestu lat: matka w jasnej, krótkiej sukience, roześmiana, z bukietem jesiennych liści, przy niej ojciec w śmiesznej sportowej czapce z daszkiem, między nimi trzyletni Julek, wszyscy troje na tle świeżo kupionej skody. Rodzice roztrzaskali się w niej trzy miesiące później na oblodzonej szosie pod Krakowem.

Machinalnie przysunął zdjęcie bliżej krucyfiksowi, tak jak uczyła go babka. Z dolnej szuflady sekretarzyka wyjął białą biurową teczkę i wysypał jej zawartość na stół. Sześć

krótkich listów, z powtarzającymi się jak zaklęcia formułkami: „Dziękujemy za nadesłany tekst”, „Z zainteresowaniem zapoznaliśmy się”, „Z uwagi na napięty plan wydawniczy”, „Odbiega od profilu naszej oficyny”. Dołączył do nich dzisiejszy. Siedem odmownych odpowiedzi. Siódemka. Szczęśliwa liczba. A jakże, szczęściarz z niego, jakich mało! Prawdziwy wybraniec losu!

Z pokoiku babki dobiegł go suchy kaszel. Usłyszał skrzypienie wózka, a zaraz potem z radia popłynął chór głosów i śpiew staruszki wtórującej im głośno: „Kto się w opiekę odda Panu swemu i całym sercem szczerze ufa Jemu...”

Podarł list na drobne kawałki. Tak samo postąpił z pozostałymi. Przeniósł strzępy papieru w obrusie do kuchni i wrzucił je do zlewu. Przytknął zapalną, ale nie chciały się palić. Zajęły się dopiero wtedy, kiedy polał je odrobiną rozpuszczalnika. Musiał otworzyć kuchenne okno, żeby dym nie rozszedł się na całe mieszkanie. Deszcz padał bez przerwy. Nagle błysnęło i gdzieś niedaleko uderzył piorun. Julian instynktownie odsunął się od okna.

\* \* \*

Przygotował babci Janinie płatki na kolację i dopilnował, żeby zjadła. Grymasiła jak dziecko, ale wmusił w nią prawie cały talerz. Podał jej basen, a następnie pomógł przejść z wózka na łóżko. Położyła się na wznak, z różańcem w ręku, wpatrzona w Świętą Rodzinę na obrazie. Zaprotestowała, kiedy chciał wyłączyć radio. Ktoś obdarzony ciepłym głosem przekonywał właśnie, że korzystanie z usług bioenergoterapeutów i wróżek to prosta droga do duchowej katastrofy. „Nierzadko zasłaniają się krzyżem, a są więźniami ciemnych mocy i innych pociągają za sobą w przepaść...”

Wziął prysznic, włożył niebieską koszulę i ciemny garnitur. Po namyśle zmienił koszulę na czerwoną i wybrał popielaty garnitur. Uznał, że bardziej mu pasują do ciemnoblonde włosów i szaroniebieskich oczu. Obejrzał się w lustrze. Był nieco ponad średniego wzrostu, ale trzymał się prosto i dzięki temu wydawał się wyższy. Gdyby nie te wąskie usta i nieco spiczasty nos mógłby uchodzić za przystojnego. Może powinien zapuścić brodę? Twarz stałaby się bardziej wyrazista. Kiedy Joanna chciała mu dokuczyć, mówiła, że jest równie szary jak kanonik z Trzebiatowa. Chociaż kto by trafił za kobietami. Gdy przestała się z nim spotykać, okazało się, że jej nowym wybranym jest korpulentny łysy sadownik z Grójca.

Dochodziło wpół do szóstej. Zadzwoił do redakcji działu miejskiego i upewnił się, że materiał o przeterminowanych owocach w stołecznych supermarketach ukaże się w jutrzejszym wydaniu. Wyrzwał przez okno. Padało i nic nie wskazywało na rychłą zmianę pogody. Zadzwoił po taksówkę i w oczekiwaniu na jej przyjazd wypił filiżankę mocnej

kawy. Przed wyjściem wrócił jeszcze do kuchni i starannie umył zlew, splukując resztki spopielonych listów.

## Rozdział 2

### Obiecująca znajomość na wernisazu

Ulice sąsiadujące z gmachem Zachęty już przed osiemnastą wypełniały się samochodami. O wpół do siódmej w promieniu kilometra nie było wolnego miejsca. Jedynie podjazd prowadzący do Zachęty pozostawał pusty w oczekiwaniu na przybycie honorowych gości. Dziennikarze czatujący z kamerami tłoczyli się pod prowizorycznym zadaszeniem postawionym przez ekipę niemieckiej telewizji ARD, które dawało mizerną ochronę przed deszczem. Niemal cały fronton budynku zajmowała biała tablica, na której widniały słowa wymalowane własnoręcznie przez Mistrza:

„TRÓJUGWOŹDZENIE”

ARCHETYPOWY KONCEPTUALIZM KRZYŻA

WITOLD HORNIK

15 MAJA-15 LIPCA

W otwartych drzwiach budynku stał dyrektor Zachęty Henryk Droński. Za nim cisnął się tłum zaproszonych gości; ukryli się przed deszczem w holu, ale czuwali, żeby nie przegapić przybycia Witolda Hornika. Droński zerkał niecierpliwie na zegarek. Raz po raz sprawdzał, czy kartka z przemówieniem nie wysunęła mu się z kieszeni marynarki. Krępy, krótkonogi, w grubych szklach krótkowidza, wyglądał nieco fajtłapowato przy towarzyszącej mu asystentce. Helena Saafjan była filigranową szatynką o wyrazistych niebieskich oczach, które nadawały jej dziewczęcej twarzy wyraz ustawicznego zdziwienia. Obcisły jasnobeżowy kostium podkreślał smukłość sylwetki, wydobywając mocne wcięcie w talii i uwypuklając drobne piersi. Krótko ostrzyżone włosy miała lekko wilgotne od deszczu; nie zaglądając do lusterka, przyglądała je ręką.

Dokładnie o osiemnastej pięćdziesiąt pięć przed gmach Zachęty zajechała czarna lancia z ministrem kultury. Szczepan Kralec wygramolił się z samochodu, obciągnął kusą marynarkę i biegiem pokonał kilka metrów dzielących go od wejścia. Przywitawszy się pospiesznie z Drońskim, przemaszerował przez hol i zniknął w toalecie. Tam z cierpiętniczą miną zmagął się jakiś czas z kolejnym atakiem kolki nerkowej. Wraz z wybiciem

dziewiętnastej wyłonił się, nieco pobladły, na korytarz. W tym samym momencie przed Zachętę bezszelestnie podjechał czarny rolls-royce i wysiadł z niego Witold Hornik.

Mistrz miał na sobie białą atlasową pelerynę, zapinaną z przodu na guziki z masy perłowej, pod nią białą marynarkę i także spodnie, z którymi kontrastowały czarne lakierki. Mimo pięćdziesięciu lat zachował młodzieńczą figurę i sprężystość ruchów. Na wygolonej głowie bielił się meszek, starannie przystrzyżone śnieżnobiałe wąsy i biała bródka odcinały się od ogorzalej cery. Wyraziście zarysowane brwi miał kruczoczarne i ostro wygięte, co w połączeniu z ciemnymi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi nadawało jego twarzy nieco azjatycki wygląd. Mierzył blisko metr dziewięćdziesiąt i towarzyszący mu sekretarz musiał wyciągać rękę, żeby utrzymać nad głową Mistrza olbrzymi czarny parasol. Otoczeni przez gromadę dziennikarzy, przedelfilowali obaj dostojnie do gmachu Zachęty.

Droński napał plecami na cisnący się za nim tłum, żeby zrobić przejście gościowi.

- Witamy, Mistrzu. Zaszczyt to, doprawdy, ogromny zaszczyt - wymamrotał, ściskając rękę artysty.

- Kralec jest? To zaczynamy - odparł Hornik obcesowo.

Odpiął pelerynę, rzucił ją sekretarzowi i w chwilę potem, witany oklaskami, sunął środkiem holu ku schodom.

Droński dreptał krok za nim. Helena Saafjan została nieco w tyle, żeby z sekretarzem Hornika omówić ostatnie szczegóły otwarcia wystawy. Minister Kralec przedarł się przez tłum, obciągnął kusą marynarkę i ukłoniwszy się pierwszy, powiedział wyuczoną na pamięć formułkę:

- Proszę przyjąć moje najszczerze gratulacje z okazji waszyngtońskiego wyróżnienia. Sukces niezaprzeczalny. I jaka chwała dla kraju. Bądź co bądź, jest pan pierwszym żyjącym artystą europejskim, który ma stałą ekspozycję w Museum of Modern Art.

- Pierwszym nieamerykańskim artystą - poprawił go Hornik. Nie zwalnając kroku, dodał: - Gwoli ścisłości, Museum of Modern Art jest w Nowym Jorku.

U szczytu schodów, na lewo od drzwi prowadzących do sali wystawowej, która tonęła jeszcze w ciemnościach, stały dwa mikrofony. Droński poprowadził gościa do jednego, sam stanął przy drugim. Wyjął z kieszeni marynarki kartkę, rozłożył ją nerwowo.

- Szanowni państwo - zaczął czytać z namaszczeniem - propozycja zorganizowania wystawy Witolda Hornika - tu dyrektor złożył głęboki ukłon w kierunku artysty - była dla mnie od początku ogromnym wyzwaniem, ale też powodem do radości. Wyzwaniem, albowiem zdawałem sobie sprawę, że talent tej miary zyskać musi należną mu oprawę. Powodem do radości, jako że Warszawa, uhonorowana wystawieniem dzieł tak

nieprzeciętnych, dołącza oto do grona światowych stolic sztuki. Zachęta może od dziś śmiało konkurować z placówkami muzealnymi, które wcześniej dostąpiły zaszczytu prezentacji prac Mistrza. Nie jesteśmy gorsi od Prado, Ermitażu, Metropolitan Museum of Art, Luwru czy Museum of Modern Art. A jednocześnie jesteśmy pierwsi. Wystawa dzisiejsza bowiem, która z całą pewnością stanie się wydarzeniem artystycznym roku, jest również premierą. Mistrz pokaże nam swoje najnowsze dzieła. - Skończył i z ulgą złożył kartkę. Spojrzawszy w stronę Hornika, dodał: - Nie jest dla nikogo tajemnicą, że Witold Hornik zainaugurował w tym tygodniu stałą ekspozycję swych prac w prestiżowym nowojorskim Museum of Modern Art. Od siebie dodam, że skrócił pobyt w Stanach o dwa dni specjalnie po to, by móc uczestniczyć w tym wernisażu. Drodzy państwo, artysta i jego dzieła są dzisiaj z nami.

Błysnęły flesze aparatów, huknęły oklaski. Hornik zaczął cicho mówić, nie czekając, aż brawa umilkną:

- Boskość odarta z życia. Bóg odarty z boskości. Bóg-człowiek. Może bardziej człowiek niż Bóg. Osądzony, przybity do krzyża, złożony do grobu. Martwy. Co go zabiło? Gwoździe. Prawda, zginął z czyjejś ręki, skazany czymś wyrokiem za takie czy inne winy. Bóg, Syn Boży i Duch Święty. Bóg w trzech osobach. I trzy gwoździe, które go uśmierciły. Po jednym na każde z boskich wcieleń. Trzy gwoździe. Trójgwożdzenie.

Helena Saafjan podsunęła Kralcowi srebrną tacę z nożyczkami. Minister ujął nożyczki w dwa palce i powolnym ruchem przeciął wstęgę zawieszoną u wejścia do sali.

- Szanowni państwo, mam przyjemność uznać wystawę za otwartą - oznajmił dramatycznie.

Pierwszy wkroczył na salę Hornik. Za nim, posuwając się niepewnie w ciemności, zaczęli wchodzić goście. W górze rozżarzyły się kuliste lampki; dawały akurat tyle światła, by idący nie wpadali na siebie. Nagle rozbłysnął na czerwono reflektor i wydobył z mroku wysoką postać. Hornik stał z rozłożonymi rękami pod górującym nad nim masywnym krzyżem, w snopie czerwonego światła jakby skąpany we krwi. Teraz, w równych odstępach, zapaliły się trzy punktowe jarzeniowe lampy, nakierowane na różne miejsca krzyża. Powstały trzy świetliste aureole; pośrodku każdej wbity był solidny gwóźdź przytrzymujący białą kartkę formatu A4, na której znajdował się tekst sporządzony z liter wyciętych z gazet. Nad głową Hornika widniały słowa „Bóg Ojciec”, nad jego prawą ręką rozciągał się napis „Syn Boży”, nad lewą zaś - „Duch Święty”. Artysta stał jak posąg, zapatrzony przed siebie. Nagle jego ciało przeszedł dreszcz. Wyciągnął się jak struna, wstrząsany drgawkami rozczapierzył palce. Głowa opadła mu na piersi. Nastąpiła kompletna cisza. Przerwały ją modulowane, narastające dźwięki dochodzące z niewidocznych głośników: łomot bębnow i kotłów

imitujących burzę, wściekłe buczenie wiatru, piskliwe zawodzenie skrzypiec targanych za struny. Przez tę kakofonię przebiło się wołanie Hornika:

- Bóg umarł!

Zgasły lampki na suficie, aureole na krzyżu zniknęły. Sala pogrążyła się na powrót w ciemnościach. Nie trwało to długo. Jak za włączeniem jednego przycisku rozbłysły setki wielobarwnych światełek. Stłoczeni pod ścianami widzowie patrzyli, jak Hornik, podobny do białoskrzydłego anioła, oddala się majestatycznie od stojącego pośrodku sali krzyża. Wykonało się. Bóg umarł. Bóg zmartwychwstał.

Pierwszy zaklaskał Wiesław Gibała, kierownik działu kultury w dzienniku „Racja”, a zarazem wszechmocny ekspert w sprawach sztuki i krytyk literacki w jednej osobie. Szybko dołączył do niego minister Kralec. W narastającej burzy oklasków dziennikarka telewizyjnej „Jedynki” rozpoczęła umówiony wcześniej wywiad z Mistrzem. Ekipa CNN, torując sobie drogę w tłumie zwiedzających, filmowała skrupulatnie każde z eksponowanych dzieł; równo za dwa miesiące przypadały pięćdziesiąte urodziny Witolda Hornika i z tej okazji CNN, wspólnie z ABC i NBC, zamierzała wyemitować specjalny program poświęcony twórczości artysty. Kamerzysta niemieckiej ARD wdał się w krótką sprzeczkę z Japończykami z NHK, którzy jego zdaniem zbyt długo okupowali miejsce przy krzyżu. W końcu dał za wygraną i z towarzyszącą mu reporterką przeszedł w zaciemniony kąt sali, który zajmowała trzymetrowej wysokości instalacja zatytułowana *Ubogi w Raju*. Figura Chrystusa - wykonany z drutu szkielet obciążony strzępami gazet i kolorowych czasopism - przybita była trzema zardzewiałymi gwoździami do sztucznej palmy imitującej drzewo poznania. Na lewo od rajskiej sceny ustawiono wolno obracający się walec, oblepiony papierowymi reprodukcjami najslawniejszych scen ukrzyżowania i przebity na wylot trzema długimi szpikulcami w kształcie gwoździ.

Przy przeciwległej ścianie piętrzyła się piramida z pustych kartonów po telewizorach Sony; oglądana z dowolnego miejsca, przypominała nieforemny krzyż, na którego szczycie tkwiła imitacja anteny telewizyjnej wykonana z trzech srebrzystych gwoździ.

Najwięcej widzów zgromadziła instalacja zatytułowana *Grobowanie*. W dużej drewnianej ramie artysta umieścił leżącego Zbawiciela. Figura miała kończyny z kawałków drewna połączonych drutem i przyczepiona była do górnej listwy za pomocą sznurków przywiązanych do trzech gwoździ. Wystarczyło lekko pociągnąć za koniec oznaczonego sznurka, by Chrystus - niczym drewniana marionetka - powstał z symbolicznego grobu.

- Niezwykle, bardzo refleksyjne - orzekł z zadumaną miną Kralec. Niepewnym ruchem pociągnął za koniec sznurka. Chrystus dźwignął się, niezdarnie potrząsając

drewnianymi kończynami, po czym osunął się z powrotem na niewidzialne mary. Minister zaczął kartkować katalog.

- Ramy to analogia ludzkiej egzystencji - przyszedł mu w sukurs krytyk Gibała, który zbliżył się z grubym notesem i otwartym piórem w rękę. - Człowiek zamknięty w celi życia: narodziny-śmierć. Stąd wołanie o nieśmiertelność. Szukając nieśmiertelności, instynktownie pragniemy Boga, który zmartwychwstaje. Ale karmimy się ułudą. Odradzamy się bowiem tylko na chwilę, by zaraz umrzeć. Bóg jako byt doskonały jest nieśmiertelnością, ale Bóg-człowiek w pełni uczestniczy w naszej nicości. Sznurek opada i Zmartwychwstały staje się na powrót skazaną na śmierć marionetką.

- Niebawale - mruknął Kralec. - Jakież to czytelne i proste.

- Doskonale pan to ujął. Ta wystawa jest dla mnie prawdziwym objawieniem. Genialne transponowanie religijnego uniwersalizmu do sfery indywidualnych doznań i doświadczeń. Bezblędne nakreślenie archetypu Bóg-Syn-człowiek. Dzieło na miarę talentu Mistrza. To kolejny krok w kierunku wyzwolenia sztuki ze sztywnych norm, zrzucenia kajdan konwencji. Cudowne, niebawale przeżycie. Będę o tym pisał w sobotnim numerze „Racji”.

\*

Kelnerzy krążyli po sali z tacami zimnych przekąsek i trunkami. Helena Saafjan zostawiła dyrektora Drońskiego, który nie odstępował Hornika na krok, pławiąc się w świetle telewizyjnych reflektorów. Przywołała kelnera i podeszła do stojącego samotnie Juliana Rotasa.

- Czerwone czy białe? - zapytała.

Drgnął zaskoczony.

- Słucham?

- Ja wolę czerwone.

- A... To i ja poproszę. - Wziął z tacy kieliszek i stał bez słowa, onieśmielony jej bezpośredniością.

Przechyliła głowę i przyjrzała mu się z uśmiechem. Kiedy się uśmiechała, w jej policzkach pojawiały się małe dołeczki, a brwi unosiły się filuternie.

- Helena Saafjan - przedstawiła się. - Asystentka dyrektora Drońskiego.

- Julian Rotas.

Rękę miała ciepłą, aksamitną w dotyku. Przeszedł go miły dreszcz.

- Wiem, widziałam tu już pana. To pan redagował katalog wystawy Hornika. Przejdźmy się. Przedstawię pana kilku osobom.

Pociągnęła go lekko w stronę Kralca i Gibały. Minister słuchał z boleśnią



zmarszczonym czołem wywodów Gibały. Odczekała, aż krytyk skończy, i zagadnęła:

- Panie ministrze, miło nam gościć pana w Zachęcie. Mam nadzieję, że za przykładem redaktora Gibały będzie pan u nas od dzisiaj stałym bywalcem.

- Istotnie, ta wystawa zachwyca, poraża - wydukał Kralec niezupełnie na temat.

- Chcę panom przedstawić Juliana Rotasa, współredaktora katalogu naszej wystawy. - Spojrzała badawczo na Gibałę. - Ale panowie się na pewno znają. Pracują panowie w jednej gazecie.

Gibała przyjrzał się Rotasowi.

- Niestety, nie kojarzę. Jaki dział?

- Redakcja działu miejskiego - bąknął cicho Rotas.

- A, wkładka stołeczna - skwitował Gibała bez zainteresowania. Nagle dojrzał Hornika, który zmierzał w ich stronę w towarzystwie dyrektora Zachęty. - Przepraszam, chciałem zamienić kilka słów z panem Hornikiem.

Odwrócił się, uśmiechnął promiennie i ruszył Hornikowi naprzeciw. Ale artysta minął go bez słowa. Wymachując katalogiem, sunął prosto na Juliana Rotasa.

- Pan mi za to odpowie! - krzyknął. - Jakim prawem zmienił pan moje *Artystyczne credo*?!  
Minister Kralec odsunął się od Rotasa na bezpieczną odległość.

- Niczego nie zmieniałem - wyjąkał dziennikarz. - W *Artystycznym credo* robiłem tylko korektę.

- Partacz! - wrzasnął Hornik. Nie zważając na tłum, przedarł katalog na pół i cisnął na podłogę. - Nigdy więcej niczego nie napiszesz! Żadna gazeta niczego od ciebie nie przyjmie. Mogę ci to obiecać!

- Ależ uspokój się, Witoldzie! - rozległ się z boku stanowczy męski głos.

Julian spojrzeł w stronę, z której głos dochodził. Mężczyzna przebił się przez krąg gości i podszedł do Hornika i Juliana. Był średniego wzrostu, choć z racji szczupłości sylwetki wydawał się nieco wyższy. Jasnyniebieski garnitur leżał na nim nienagannie, komponując się z granatowym golfem. Cerę miał jasną, lecz nie chorobliwie bladą, oczy ciemnoniebieskie, rzęsy i brwi prawie czarne, za to włosy - lekko kręcone, niezbyt długie, w tyle opadające na kołnierz golfu - jasne, jakby skąpane w słońcu. Wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat, ale w sposobie bycia miał coś, co sprawiało, że wydawał się dużo starszy.

Nieznajomy spojrzeł na Juliana z przeproszającym uśmiechem, po czym, wciąż uśmiechnięty, zwrócił się do Hornika:

- Niepotrzebnie się iryтуjesz, Witoldzie. To ja wprowadziłem w ostatniej chwili

poprawki. Zresztą niewielkie.

- Niewielkie? - prychnął Hornik.

- Ależ tak. „Trójpostaciowość Boga” zamieniłem na „wielopostaciowość Stwórcy”. No i od siebie dodałem wynikające z powyższego spostrzeżenie, że tak jak definicja i obszar funkcjonowania sztuki ulegają ewolucji, tak przemianie podlegają najważniejsze pojęcia dotyczące istoty boskości. Żeby nie szukać daleko, wystarczy przypomnieć słowa świętego Pawła, że wraz z przyjęciem chrztu wszyscy stajemy się pneumatykami. - Popatrzył po twarzach obecnych. - Oczywiście, mówię o rzeczach powszechnie znanych. Ta wystawa z pewnością przyczyni się do tego, że zaczniemy wybiegać spojrzeniem znacznie dalej i wyzbędziemy się lęku przed stawianiem odważnych pytań. - Ujął Hornika pod łokieć i lekko pociągnął. - Pozwól, Witoldzie, obiecałeś wywiad dla „Paris Match”. Specjalnie w tym celu przylecieli.

Rozpłynęli się w tłumie zwiedzających. Julian poczuł na ramieniu czyjś dotyk. Odwrócił szybko głowę. Helena Saafjan uśmiechała się z zażenowaniem.

- Przepraszam za ten incydent.

- Kto to był?

- Pogromca Hornika? Henryk Stockenhausen, pisane przez „ck”. Właściciel firmy reklamowo-promocyjnej TeNeT. Specjalista od treningu osobowości i kształtowania wizerunku.

- Ma na Hornika aż taki wpływ?

- Podobno zajmuje się wyszukiwaniem i promocją talentów. Nie znam początku całej historii, ale to właśnie dzięki niemu Hornik tak naprawdę zaistniał. W osobie Stockenhausena ma mecenasa, protektora i patrona.

- Pani Heleno, pani Heleno! - przerwał jej głos Drońskiego. Dyrektor stał przy nich i ocierał czoło chusteczką. - Może mi pani pomóc z Francuzami? Wie pani, jak to jest z tym moim francuskim...

- Już idę. - Stała twarzą do Juliana i wręczyła mu wizytówkę. Znowu poczuł dotyk jej ręki. - Cieszę się, że mogłam pana poznać. Proszę wybaczyć, obowiązki.

Rozejrzał się po sali. Goście, zbici w małe grupki, zajęci byli raczej degustowaniem alkoholi niż oglądaniem wystawionych prac. Z holu, gdzie niektórzy urządzili sobie palarnię, wciskał się na salę tytoniowy dym. Julian odstawił pusty kieliszek i ruszył ku wyjściu. Rozglądał się, czy nie zobaczy gdzieś Heleny. Przepadła jak kamień w wodę. Był już na parterze, przy drzwiach, kiedy usłyszał za sobą szybkie kroki. Obejrzał się mimowolnie. Zmierzał ku niemu w pośpiechu „protektor” Hornika.

- Pan już wychodzi? - zagadnął, zrównawszy się z Julianem.

- Mam rano dyżur w redakcji - skłamał.

- Ach, tak.

Rotas poczuł na sobie uważny wzrok rozmówcy.

- Domyślam się, że wyskok Hornika wyprowadził pana z równowagi. Przepraszam za jego zachowanie.

- Niepotrzebnie. To raczej ja powinienem panu podziękować. Odsiecz przyszła w samą porę. - Wyjrzał przez uchylone drzwi na ulicę. Ulewa nie ustępowała.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Henryk Stockenhausen - przedstawił się. - Chyba i ja już pójdę. Nie znoszę papierosowego dymu. Spacer dobrze mi zrobi.

- Spacer? Leje jak z cebra.

- Przystaje padać. Proszę zobaczyć.

Julian wysunął ostrożnie głowę. Światła Zachęty odbijały się w nieruchomych kałużach. Deszcz skończył się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Daleko pan mieszka? - Stockenhausen pierwszy wyszedł przed gmach. Nabral powietrza w płuca.

- Jakies dwadzieścia minut spacerkiem - odparł Julian. Zastanawiał się, czy nie powinien jednak zadzwonić po taksówkę.

- Przejdę się z panem kawałek, jeśli pan pozwoli - zaproponował Stockenhausen, tym samym rozstrzygając dylemat Rotasa.

Skierowali się w stronę ulicy Traugutta. Nad chodnikami unosiła się lekka mgielka parującej wody. Powietrze po deszczu było rześkie, stanowiło miłą odmianę po przebywaniu w zadymionych pomieszczeniach. Przez chwilę szli obaj w milczeniu. Stockenhausen odezwał się pierwszy:

- Prawdę powiedziawszy, celowo pana zagadnąłem. Po tej całej awanturze z katalogiem nie czuję się w porządku. W końcu to przeze mnie się panu oberwało.

- W niczym pan nie zawinił.

- Dziękuję za wyrozumiałość. A skoro mowa o katalogu, to naprawdę dobrze się pan spisał.

- Zwykła redakcja tekstu.

- Czytałem tekst Hornika. Wygladził pan chropawość języka, ujednoczył stylistycznie i wyłapał merytoryczne lapsusy. Dobra robota.

- Robię to na co dzień.

- Wiem, jest pan dziennikarzem. Ale nie o tym chciałem rozmawiać. Pisze pan?

Julian poczuł dobrze znany niepokój. Zaraz się zacznie: „Drogi panie, nie można się zrażać, trzeba mimo wszystko próbować, prawdziwy talent zawsze się obroni”. Stara śpiewka.

- Trochę. Nic wielkiego - odpowiedział ostrożnie.

- Rozumiem. Trudno się przebić. Wbrew temu, co się potocznie sądzi, sam talent nie wystarcza.

Rotas spojrział zaskoczony na rozmówcę. Stockenhausen chyba opacznie zrozumiał jego zdziwienie, bo pospieszył dodać:

- Nie uwierzy pan, jak dużo zależy od przypadku. Choć przypadek to, oczywiście, bardzo pojemne określenie. Dziś należałoby raczej powiedzieć „promocja”. Bez reklamy daleko się nie zajdzie.

Byli już przy Krakowskim Przedmieściu. Skręcili w prawo i minawszy kościół Świętego Krzyża, przeszli po pasach na drugą stronę ulicy. Ruszyli Obozną w dół.

- Opublikował pan coś? - zapytał nieoczekiwanie Stockenhausen.

- Kilka opowiadań - odparł Julian, zanim zdążył pomyśleć.

- Gdzie?

Dziennikarz zastanawiał się gorączkowo nad odpowiedzią. O mało wszystkiego nie zepsuł! Starnicki słusznie miałby do niego żal.

- Takie tam studenckie pisemka - odparł wykrętnie.

- Przymierza się pan do napisania czegoś większego?

Rotas zawahał się. Rozmowa ze Stockenhausenem zaczynała go irytować.

- Skończyłem niedawno powieść - rzekł ostrożnie - ale jak na razie nie mogę znaleźć wydawcy.

- Jak ja to dobrze znam! Wydawcy wolą pewniaków: Wilniaka, Toporniuka, Starnickiego. Tylko że ci rzadko piszą. Jak już mają coś nowego, to wydawca bierze w ciemno. Liczy się nazwisko. A za uznanym nazwiskiem idą pieniądze. O czym jest pańska powieść?

Na wzmiankę o Starnickim w głowie Juliana znowu zapaliło się ostrzegawcze światełko. Zeszli po schodkach prowadzących do parku przy Browarnej i pociągnęli jego obrzeżem, kierując się do ulicy Topiel.

- Trudno tak w kilku zdaniach - zaczął z namysłem. - Tłem jest Anglia elżbietańska, cała rzecz obraca się wokół głównego bohatera. To Christopher Marlowe. Ale nie jest to powieść historyczna. Postać Marlowe'a stanowi punkt wyjścia do zarysowania duchowego konfliktu.

- Marlowe? - spytał Stockenhausen z zainteresowaniem. - Marlowe prekursorem Szekspira, przerwane życie i nie spełniony talent, faustowskie dylematy autora *Tragicznych dziejów doktora Fausta*? O tym pan pisze?

- Skąd pan wie? - wyjąkał Julian.

- Ja tak bym właśnie do tego tematu podszedł. W swoim czasie sporo nad tym rozmyślałem.

Zatrzymali się przy jezdni. Na prawo zaczynała się ulica Topiel, na lewo ciągnęła się Browarna. Stockenhausen wyjął wizytówkę.

- Proszę mi przysłać maszynopis. Chętnie przeczytam. - Uścisnął Julianowi rękę na pożegnanie, wymienili się wizytówkami. - Ogromnie się cieszę, że pana poznałem. Tu się rozstaniemy. Pan skręca w prawo, a ja musiałbym za bardzo nadkładać drogi. Złapię taksówkę.

Zdażył to powiedzieć, kiedy tuż przy nich zatrzymał się czarny mercedes ze znakiem taxi. Stockenhausen wsiadł i przez otwartą szybę zawołał:

- Do rychłego zobaczenia.

Samochód zawrócił i pomknął w stronę Mariensztatu. Chowając wizytówkę Stockenhausena do bocznej kieszeni marynarki, Julian uzmysłowił sobie, że gdy żegnał się z Heleną Saafjan, nie wręczył jej wizytówki. Wzięła go złość na własne gapiostwo. W podłym nastroju podążył w prawo, Topielą. Przeciął Tamkę i szedł dalej Kruczkowskiego, kiedy przypomniały mu się słowa wypowiedziane przez Stockenhausena przy pożegnaniu. Z wrażenia aż się zatrzymał. Jakim cudem Stockenhausen wiedział, w którą stronę Julian zamierza skręcić?

Zaraz jednak i to pytanie zeszło na plan dalszy, przesłonięte przez powracający obraz dziewczyny. Myślał o niej przez resztę drogi. Minął tyły szpitala, biurowiec Nordic Park i skręcił w lewo w aleję 3 Maja. Był już przy kamienicy, kiedy na skrawku nieba między domami a wiaduktem błysnęła spadająca gwiazda. Zaczął się szybko zastanawiać. Miał dwa życzenia, tylko które wybrać? Namyslał się zbyt długo, bo po gwieździe pozostało ledwie wspomnienie. Może mu się jedynie przywidziało?

## Rozdział 3

### Ważą się losy literackich wawrzynów oraz czyjeś życie

Nazajutrz o dziesiątej rano Julian Rotas wysłał na adres podany na wizytówce maszynopis swojej książki. W tym samym czasie w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na Foksal rozpoczynała obrady kapituła Nagrody Literackiej im. Sztiglera.

- Szanowni koledzy - odezwał się na powitanie profesor Brzóska, przewodniczący pięcioosobowej kapituły. - To znaczy, rzecz oczywista, chciałem powiedzieć: Szanowna koleżanko i szanowni koledzy - poprawił się, przypomniawszy sobie o obecności Janiny Samosiejskiej.

Docent Samosiejska, socjolog kultury, podgarnęła opadającą na oczy rudą grzywkę i uśmiechnęła się z wyrozumiałością. Profesor Brzóska słynął z błyskotliwych analiz literackich, jednak w prostych sytuacjach życiowych odznaczał się nieporadnością. Typowa starokawalerska przypadłość, skomentowała w myślach, przyglądając się wyświechtanej marynarce profesora i koszuli z podwiniętym kołnierzykiem. Pięćdziesięcioletni literaturoznawca znał najgłębsze tajniki duszy bohaterek Jane Austen, potrafił wieść długie rozmowy z Antygoną, Joanną d'Arc i szekspirowską Desdemoną, nigdy jednak nie widziano, by rozmawiał sam na sam z kobietą.

- Co z Gibalą? Bez niego nie zaczniemy - odezwał się niskim głosem Andrzej Konar, laureat Nagrody im. Sztiglera sprzed dwóch lat.

Konar miał czterdzieści pięć lat, był wysokim szatynem o miłej powierzchowności i paskudnym charakterze. To ostatnie jednak nie odstraszało kobiet, które się za nim uganiały.

Brzóska zdjął okulary w grubej rogowej oprawce, przetarł szkła zmiętą chusteczką i założył okulary z powrotem.

- No tak, nie ma go. To znaczy, rzecz oczywista, nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. Musimy poczekać.

- Można by zadzwonić na jego komórkę - podpowiedział ze znużoną miną Maurycy Gorczyca, najmłodszy członek kapituły. Mimo że od trzech lat niczego nie napisał, prestiżowa Nagroda Kropielnickich, którą otrzymał w wieku trzydziestu lat, oraz poparcie Andrzeja Konara zapewniły mu w tym roku miejsce w jury decydującym o najważniejszej krajowej nagrodzie literackiej.

Profesor Brzóska zagłębił się w rozłożonych na stole notatkach, tak jakby ostatnia uwaga nie do niego się odnosiła. Gorczyca wyjął paczkę marlboro i spojrzął znacząco na zegarek. Docent Samosiejska chrząknęła z dezaprobatą. Gorczyca ostentacyjnie zapalił papierosa. Samosiejska wstała energicznie i otworzyła okno. Do środka wpadło majowe powietrze.

W tym momencie ktoś głośno zapukał i nie czekając na odpowiedź, złapał klamkę.

- Pewnie Gibała - mruknął Gorczyca, nie ruszając się z miejsca.

Docent ominęła go szerokim łukiem, podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Wpadł zziębnięty Gibała.

- Przepraszam za spóźnienie - wysapał, sadowiąc się przy stole. - Miałem kolegium redakcyjne.

Z teczki wyjął kołonotatnik. Na pierwszych dwóch kartkach zdążył naszkicować pochwalną recenzję z wystawy Hornika, zatytułowaną *Świat w Zachęcie*. Przewrócił zapisane kartki i popatrzył wyczekująco po obecnych.

- Musimy dziś, rzecz oczywista, spróbować wyłonić laureata - rozpoczął Brzóska, marszcząc nerwowo brwi. Obszedł stół i wręczył każdemu kartkę z pięcioma nazwiskami: „Wilniak, Toporniuk, Starnicki, Bereżańska, Kostaryn”. - Proszę zakreślić jedno nazwisko. Zobaczymy, jak rozkładają się głosy.

Odfajkował nazwisko na swojej kartce i poczekał, aż docent Samosiejska zbierze pozostałe głosy.

- No tak - zamruczał, przeglądając wyniki. - Mamy, rzecz oczywista, sytuację patową. Starnicki: dwa głosy, Wilniak: dwa głosy, Kostaryn: jeden.

- Kostaryn? - Gibała aż podniósł się na krześle. - Kto głosował na Kostaryna? Przecież to beztalencie. Jego dojście do finału to zupełny przypadek. Z dwojga złego wolałbym Bereżańską.

Gorczyca zdusił niedopałek papierosa w pustej szklaneczce po wodzie mineralnej.

- Bereżańska to rzemiosło! - wykrzyknął. - A u Kostaryna jest wszystko: sztuka i życie. Prawdziwa literatura.

- Raczej literacki bełkot - prychnął Gibała.

- Panowie - odezwał się mitygująco Konar. - Nie zebraliśmy się tu, żeby dyskutować o literackich gustach.

- Słusznie, rzecz oczywista - podchwycił Brzóska. - Fakty są następujące: Wilniak i Starnicki dostali po dwa głosy. Tak więc, rzecz oczywista, zagłosujemy jeszcze raz. Pani docent, mogę panią prosić o przygotowanie nowego zestawu kartek?

- Może głosujemy przez podniesienie rąk - zaproponowała Samosiejska. - W regulaminie nie ma wymogu tajnego głosowania.

- Jeśli nikt nie zgłasza sprzeciwu. - Profesor rozejrzał się po obecnych. Nikt się nie odezwał. - W takim razie głosujemy.

Docent Samosiejska zaczęła odczytywać nazwiska kandydatów. Toporniuk i Bereżańska nie otrzymali żadnego głosu. Brzóska i Samosiejska oddali głos na Wilniaka, Konar z Gibałą zagłosowali na Starnickiego. Gorczyca kręcił głową z niezadowoloną miną, dając do zrozumienia, że żadna z kandydatur nie jest po jego myśli.

- Maurycy - Konar pochylił się w jego stronę - musisz zdecydować, kto jest ci bliższy.

Gorczyca pojął aluzję protektora. Nie patrząc na przewodniczącego kapituły, powiedział wyraźnie:

- Starnicki.

Konar klasnął w dłoń.

- Mamy więc trzy do dwóch dla Starnickiego. Pani Janino, proszę o oficjalne wpisanie wyników głosowania do protokołu.

- Chwileczkę, panie kolego - przerwał mu Brzóska. Przyglądził niezgrabnym ruchem resztki czesanych do tyłu włosów. - Proszę nie zapominać, że przewodniczącemu kapituły przysługują dwa głosy. Jest więc, rzecz oczywista, trzy do trzech.

- Świński remis - skwitował Gorczyca. Po minie sądząc, nie wydawał się przejęty wynikiem.

- Rozważmy to spokojnie jeszcze raz - zaproponował cierpliwie Konar. Uśmiechnął się ciepło do Janiny Samosiejskiej i podjął słodkim głosem: - Pani docent, doskonale wiemy, że ma pani do twórczości Wilniaka bardzo osobisty stosunek. Nie zamierzam pani przekonywać, że na nagrodę bardziej zasługuje Starnicki. Proszę tylko wziąć pod uwagę, że Wilniak dostał Sztiglera dwa lata temu, a Starnicki nie był nigdy nawet nominowany. W końcu to nasz noblista.

Docent Samosiejska zacisnęła wargi.

- Regulamin nie zabrania wielokrotnego uczestnictwa - odparła lodowato. Zbyła milczeniem aluzję Konara do krótkotrwałego epizodu z końca lat osiemdziesiątych, kiedy pracowała u Wilniaka w charakterze osobistej sekretarki. - A skoro mowa o regulaminie, to właśnie względy regulaminowe nie pozwalają mi oddać głosu na Starnickiego.

- Ta sama stara śpiewka! - jęknął Konar.

Gibała poparł go wymownym wzruszeniem ramion i powiedział półgłosem:

- Bzdury.



- Wypraszam sobie! - obruszył się Brzóska. - Regulamin to podstawa. Nie wolno nam od niego odstępować.

- Ależ wcale tego nie negujemy - pospieszył zapewnić Konar. - Uważamy tylko, że akurat ten punkt regulaminu można inaczej interpretować. Skoro książka Starnickiego została wydana w ubiegłym roku, to spełnia podstawowy wymóg. Przecież gdyby było inaczej, w ogóle nie brano by jej pod uwagę przy nominacjach.

Brzóska poruszał wargami w zdenerwowaniu.

- Tomik Starnickiego, rzecz oczywista, wydano w ubiegłym roku, ale na osiem opowiadań tylko cztery są nowe - mówił, kartkując regulamin. - O, tu napisano wyraźnie: „Do nagrody mogą być zgłaszane utwory, które ukazały się po raz pierwszy w formie książkowej w roku kalendarzowym poprzedzającym kolejną edycję nagrody”. W moim przekonaniu książka Starnickiego nie spełnia tego warunku.

- Cztery opowiadania są zupełnie nowe - upierał się Konar. - Te zresztą powszechnie uważa się za najlepsze.

- Ale pozostałe cztery pochodzą sprzed dziesięciu, piętnastu lat - odparował Brzóska.

- Świński remis - powtórzył Gorczyca ze znudzoną miną.

- Panie kolego! - zachnął się profesor.

Gibała podniósł rękę.

- Głosujmy jeszcze raz - zaproponował. Spojrzał wymownie na docent Samosiejską. - Może niektórzy zmienią zdanie.

Ponowne głosowanie nie przyniosło rozstrzygnięcia.

- Klasyczny impas - jęknął Gibała. - Jakież propozycje?

Brzóska poprawił okulary i pochylony nad kartkami regulaminu przeczytał po cichu stosowny fragment.

- Mogę zwrócić się do rady kapituły o poszerzenie składu kapituły o jedną osobę - oznajmił. - Ten dodatkowy głos powinien zdecydować.

- Ja jestem za - podchwycił Konar. - A kto miałby zgłaszać kandydata?

- Przewodniczący kapituły - zakomunikowała triumfalnie docent Samosiejska.

Profesor potwierdził skinieniem głowy.

\* \* \*

Po wyjściu z siedziby Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich redaktor Gibała przeszedł ulicą Foksał do Chmielnej. Upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie, wyjął komórkę i wybrał numer. Kiedy rozpoznał głos Stockenhausena, powiedział bez żadnych wstępów:

- Nie mam dobrych wieści.

- Wilniak przeszedł? Niemożliwe!

- Profesor i Samosiejska obstają przy jego kandydaturze. Na razie jest remis. Profesor zaproponował dokooptowanie jeszcze jednej osoby, żeby przełamać impas. Ale zgodnie z regulaminem o wyborze dodatkowego członka decyduje przewodniczący. Całkiem możliwe, że spotkamy się w nowym składzie już za trzy dni. Co mam robić?

- Samosiejskiej nie da się przekonać?

- Zagłosuje tak jak Brzóska.

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza.

- Proszę nic nie robić. Sam się tym zajmę - oznajmił Stockenhausen. Zaraz potem się rozłączył.

## Rozdział 4

### *Hamlet, Lord Jim i kanarek*

Profesor Henryk Brzóska zdążył wejść do windy kamienicy na Jaracza, kiedy trzasnęły drzwi klatki i ktoś szybko wbiegł po schodach. Profesor próbował zamknąć windę, ale już w polu widzenia ukazała się torba z zakupami i młody kobiecy głos zawołał:

- Dzień dobry, panie profesorze! Jak to miło, że pan poczekał.

W odpowiedzi bąknął „Dzień dobry” i wcisnął się w kąt kabiny. Starał się nie patrzeć na dziewczynę, żeby nie stwarzać pretekstu do rozmowy. Nie pamiętał nawet, jak dziewczyna się nazywa ani na którym piętrze mieszka. Odetchnął z ulgą, kiedy na trzecim wysiadła. Dojechał na piąte, szybko przekręcił klucz w zamku i już od progu zawołał:

- Jestem, Zuziu! Już do ciebie idę!

Powiesił marynarkę na wieszaku w szafie, ustawił równo buty na półce w przedpokoju i w papuciach przeszedł do salonu.

- Zuzia tęskniła? A była grzeczna? Chyba nie bardzo. Kto tak porozsypywał ziarno? Grzeczny kanarek tak nie robi.

Wsadził palec między pręty klatki. Zuzia tylko na to czekała: sfrunęła z żerdki i przysiadła na nim. Czuł jej drobne, chłodne łapki. Przekrzywiając łebek, przyglądała mu się bacznie. Skubnęła go kilka razy w palec, jak zawsze przy powitaniu.

Kiedy podsypywał jej ziarna, wdzięczyła się do niego, trzepocąc skrzydełkami. Podgrzał zupę pomidorową, którą gospościa zostawiła na kuchence. Zjadł zupę przy kuchennym stole, skąd miał widok na klatkę z kanarkiem. Potem przeszedł do gabinetu i z przepastnej skórzanej teczki, mocno sfatygowanej przez dwadzieścia lat używania, wydobyl przyniesione z uczelni książki. Ułożył je starannie na biurku. Wziął do ręki pierwszą z góry - niewielki tomik zatytułowany *Fikcja heurystyczna w przekazie Conrada* - i wyjął z niej kopertę pełniącą funkcję zakładki. Z koperty wyciągnął złożoną w czworo kartkę papieru. Rozpostarł ją, poprawił okulary i po raz trzeci tego dnia zaczął czytać długi list skreślony drobnym kobiecym pismem:

Wielce Szanowny Panie Profesorze

Jestem niezmiernie wdzięczna, że był Pan łaskaw odpowiedzieć na mój pierwszy list. Pochlebia mi, że zechciał Pan poświęcić cenny czas bibliotekarce z prowincjonalnego miasteczka. Od lat śledzę Pańskie literaturoznawcze publikacje, ale to tylko po części usprawiedliwia moją śmiałość. Tym bardziej cieszę się, że nie wziął mi jej Pan za złe.

Pragnę serdecznie podziękować za złożenie wpisu w książce i odesłanie mi jej w tak krótkim czasie. Pański autograf będzie dla mnie równie cenną pamiątką jak sama książka.

Jak poprzednio zaznaczyłam, udało mi się zgromadzić wszystkie Pańskie publikacje, włącznie z niedawno wydaną *Fikcją heurystyczną w przekazie Conrada*. Jestem świeżo po lekturze i wciąż nie mogę ochłonąć z wrażenia. Nikt jeszcze nie przedstawił w sposób równie spójny całości archetypowych przekazów w Conradowskiej prozie. Uważam zarazem, że profesor Hercern nie ma absolutnie racji, gdy poddaje krytyce stosowanie przez Pana tego samego paradygmatu badawczego w stosunku tak do Szekspira, jak i Conrada. Ja poszłabym zresztą jeszcze dalej i umieściła znak równości między postawami Hamleta i Lorda Jima w aspekcie samopermisywizmu moralnego, który u jednostek tak dojrzałych prowadzić musi z czasem do krytycznej samooceny i następstw typu winakara. Byłabym ogromnie ciekawa zdania Pana Profesora na ten temat.

Panie Profesorze, w najbliższą sobotę przyjeżdżam do stolicy na coroczny kurs dokształcający dla bibliotekarzy. Będę bawić w Warszawie do poniedziałku. Byłabym ogromnie rada, gdybym przy tej okazji mogła osobiście przekazać Panu wyrazy podziękowania.

Z poważaniem

Zofia Sarecka

Brzóska położył list na biurku. Zdjął okulary, pochuchał na szkła i starannie przetrął je chusteczką.

- Hamlet i Lord Jim - powtórzył głośno. - Rzecz oczywista, jednostki o rozwiniętym poczuciu prawideł moralnych surowiej oceniają własne naganne postępowanie. Skoro od innych wymagają spełniania wysokich norm, wobec siebie stosować muszą równie ostre kryteria. Paradygmat winakara prowadzi w konsekwencji do wymierzenia sobie kary własnymi rękami, dosłownie bądź w sensie przenośnym. - Założył okulary i przyglądał się listowi, powtarzając po cichu ostatnie zdania. Pokiwał głową. - Trafne ujęcie, rzecz oczywista, bardzo ciekawe rozumowanie. Hm, Hercern miałby się z pyszna! Boi się paralelnych dywagacji jak diabeł święconej wody. - Zachichotał. Zanotował uwagę o Hercernie w grubym notesie, na osobnej stronie napisał zaś skrótowo: „winakara - Hamlet-Lord Jim”. - Trzeba odpowiedzieć, rzecz oczywista. Tylko co?

Decyzję podjął w miarę szybko. Autorka listu była postacią na tyle abstrakcyjną, że nie dostrzegł w niej kobiety - przynajmniej nie do takiego stopnia, by świadomość tego

działała na niego paraliżująco. Ponadto bibliotekarka budziła w nim ciekawość naukowca: była jak nowa, obiecująca książka, której nigdy nie pozna, jeżeli nie zdecyduje się jej przeczytać. Otworzył wieczne pióro, wziął czystą kartkę papieru maszynowego i postawiwszy datę, zaczął pisać:

Szanowna Pani

Dziękuję za miły list. Pani uwagi o paralelnych związkach między postaciami Hamleta i Lorda Jima wydały mi się nader ciekawe. Pomysł wart rozwinięcia. W miarę możliwości chętnie się z Panią spotkam podczas Jej pobytu w Warszawie. Podaję numer domowy i telefon na uczelnię.

Załączam wyrazy szacunku

Henryk Brzóska

Przeczytał tekst ponownie, złożył kartkę i wsadził do koperty. Zaadresował: WP Zofia Sarecka, Biblioteka Miejska, Górowo Iławeckie... Upewnił się, że nie pomylił się przy nazwie ulicy i numerze posesji, po czym schował list do przegródki w teczce i zdjął okulary. Wróciwszy do salonu, sprawdził, czy okna są zamknięte, i dopiero wtedy otworzył klatkę. Zuzia namyślała się chwilę. Sfrunęła z żerdki na dno klatki, potem wróciła na żerdkę, by, jak to miała w zwyczaju, wskoczyć na pręty otwartych drzwiczek. Stamtąd wzbila się lekko, okrążyła żyrandol, zatoczyła dwa duże koła po salonie i usiadła na ramie portretu rodziców profesora. Brzóska posprzątał starannie klatkę. Kiedy zmieniał wodę w pojemniku i dosypywał ziarna, Zuzia przystąpiła do wieczornej toalety.

## Rozdział 5

### Może jednak miłość

Ścienny zegar w pokoju redakcyjnym działu miejskiego „Racji” wskazywał trzecią po południu. Julian przejrzał i poprawił notatkę o trudnościach w komunikacji miejskiej spowodowanych zamknięciem wiaduktu w Alejach Jerozolimskich. Następnie kolejny raz obdzwonił szpitale i miejskie służby interwencyjne. Niewiele się dziś wydarzyło: dwie niegroźne stłuczki w centrum, zderzenie tramwaju z autobusem bez strat w ludziach, ofiara ulicznej bójki przewieziona do szpitala na Banacha z raną kłutą brzucha. Zastanawiał się, czy tej ostatniej wiadomości nie sprawdzić; może jest coś, co warto będzie pociągnąć? Sięgnął już po słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon.

- Dział miejski.

- Dzień dobry, panie Julianie. A ja w interesie.

Rozpoznał specyficzny, rozwlekły sposób mówienia, jakby rozmówca bawił się słowami, akcentując poszczególne sylaby według sobie tylko znanych zasad. Młodszy aspirant Biebrzo. Hasło „w interesie” oznaczało, że aspirant ma do przekazania informację.

Julian chwycił długopis.

- Masz coś? - spytał, siląc się na obojętny ton.

- Może. Za dwieście.

- Zobaczymy. Słucham.

- Topielec w Wiśle.

- Kto taki?

- Nie wiem. Jeszcze pływa. Przyjedź zaraz, to będziesz pierwszy. Więc jak?

- Biorę to.

- Stoimy na wysokości mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Poznasz po radiowozie. Tylko się pośpiesz.

- Piętnaście, góra dwadzieścia minut.

Chwycił dyktafon i wybiegł z pokoju.

- Krysiu - zawołał do stażystki, która pełniła funkcję sekretarki - wróć po siedemnastej. Przekręć do szefa i powiedz, że chyba będę miał coś do jutrzejszego wydania.

Dojechał na miejsce około szesnastej. Zaparkował na chodniku na wysokości mostu.

Nad wodą zebrał się spory tłumek gapiów. Julian zbiegł schodami na rozkopaną wiślaną skarpę. Biebrzo poznał go z daleka i kazał przepuścić.

- Jeszcze pływa - oznajmił, kiedy zmierzali szybkim krokiem nad brzeg.

Dwóch policjantów w motorówce próbowało wtaszczyć zwłoki do środka. W końcu zrezygnowali i zaczęli holować ciało do brzegu. Trzeci, stojąc na najniższym stopniu schodów, przyciągnął je bosakiem. Nachylił się, chwycił za ubranie na plecach i szarpnął. Miał gumowe rękawiczki i mokry materiał wyslizgiwał mu się z rąk. W tym momencie fala od motorówki dotarła do brzegu, zakręciła ciałem. Policjant stracił równowagę.

- Kurwa, leczę! - wrzasnął.

Julian stał najbliżej. Dосkoczył i złapał go za pasek u spodni. Dołączył do nich Biebrzo, w trójkę wtaszczyli zwłoki na betonowy stopień. Rotas odszedł na bok i starannie wytarł dłonie o spodnie.

- Babka - zakomunikował Biebrzo.

- Młoda? - spytał drugi policjant.

- A niby jak teraz poznasz? - Po chwili jednak rzucił: - Cholera, chyba nie więcej jak dwudziestka. Po co jej to było?

- Pewnie ruska.

- Co ty tam wiesz.

- Już nieraz tak było. Przyjedzie taka, puści się, a potem widzi, że żarty się skończyły.

- Nie, to nasza. Ma medalik z Matką Boską.

- Aha... Pewnie zaszła.

- Przecież od razu nie skaczą.

- Jak trafi na dziewczynę ze wsi, to czasem tak się kończy.

- Albo głupia się zakochała.

- Albo i tak. Może to jednak z miłości...

\* \* \*

Kiedy po siedemnastej wrócił do redakcji, miał już szkic notatki. Nie było tego dużo: wiek denatki około dwudziestu lat, brak dokumentów, wstępne oględziny wykluczają udział osób trzecich. Niewiele da się z tego wycisnąć. Wraz z policyjnym zdjęciem artykuł pójdzie jutro w dziale „Ktokolwiek widział”.

W drodze do pokoju wszedł do toalety i wyszorował ręce. Sekretariat był pusty. Na swoim biurku zobaczył kartkę od sekretarki: „Dzwoniła p. Helena Saafjan, prosi o telefon”.

Krew uderzyła mu do głowy. Wyjął z portfela wizytówkę i porównał numer telefonu z numerem na kartce. Zadzwoniła z pracy. Pewnie w służbowej sprawie. Lepiej sobie za wiele

nie obiecywać.

Wybrał numer i czekał ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Od razu rozpoznał jej głos.

- Galeria Zachęta, słucham.

- Julian Rotas. Dzień dobry. Podobno chciała pani ze mną rozmawiać.

- O, dobrze, że pan dzwoni. - Wyraźnie się ucieszyła. - Nie wiedziałam, jak pana znaleźć. W końcu przypomniałam sobie, że wystarczy przecież zadzwonić do redakcji.

- W całym tym zamieszaniu nie dałam pani wizytówki. Moja wina.

- Miał pan prawo być zdenerwowany. - Zrobiła krótką przerwę. - Właściwie w tej sprawie dzwonię.

- To znaczy?

- Czujemy się wobec pana nie w porządku. Dostał pan niezасłużone cięgi. Czy w ramach przeprosin da się pan zaprosić na obiad?

Więc jednak służbowa sprawa. Niepotrzebnie się łudził.

- Nie są mi państwo nic winni. Naprawdę. Otrzymałem należność, wszystko jest w porządku.

- Przepraszam, źle się wyraziłam. Mówiłam wyłącznie w swoim imieniu. Więc jak, zgadza się pan?

- Skoro uważa pani, że to dobry pomysł...

- Jutro o trzynastej?

- Wyrwę się z redakcji na dwie godziny.

- Co pan powie na kawiarnię Czytelnika? Wie pan, gdzie to jest?

Aż się uśmiechnął. Jego prywatna mapa Warszawy składała się głównie z adresów wydawnictw.

- Na Wiejskiej, przy siedzibie Czytelnika. To rzut kamieniem od redakcji.

Coś musiało jej przeszkodzić, bo szybko zakończyła rozmowę, potwierdzając wcześniej godzinę i miejsce. Zabrał się do redagowania artykułu o samobójczyni. Szło mu niesporo, bo myślami był już gdzie indziej. Przeczytał całość, poprawił wyłapanne błędy i dał tekst do korekty.

Siedziba dziennika „Racja” znajdowała się przy rondzie de Gaulle’a, w dawnym lokum PAP-u. Po wyjściu z budynku poszedł w stronę Smyka i zrobił cotygodniowe zakupy w Remie. Obładowany torbami dojechał tramwajem do mostu Poniatowskiego, skąd do domu miał już tylko dwieście metrów. Majowy wczesny wieczór zachęcał do spaceru. Minął pijaczków sączących tanie wino pod sklepem na Solcu, przeszedł na drugą stronę jezdni i wzdłuż wiaduktu dotarł do kamienicy. Nie oglądał się za siebie, nie mógł więc zauważyć



czarnego psa, który błąkał się w okolicach wiaduktu. Zwierzę było rosłe, masywnie zbudowane, przypominało skrzyżowanie doga z mastiffem, a przy tym całe czarne, bez jednej jasnej plamki czy siwego włosa. Kiedy Julian zniknął w bramie domu, pies postąpił jeszcze chwilę, po czym potruchtął w stronę dworca Powiśle, bezpiecznie przebiegł ruchliwą jezdnią i rozpląnął się w parku, między drzewami.

\* \* \*

Noc źle przespał. Dręczyły go jakieś koszmary, choć po przebudzeniu niczego nie pamiętał. Wziął zimny prysznic, ale dopiero mocna kawa postawiła go na nogi. Z myślą o dzisiejszym spotkaniu włożył szarą polówkę i dżinsy. Zanim wyszedł, cicho uchylił drzwi pokoiku babci i zajrzał do środka. Nie spała już. Odmawiała różaniec, poruszając bezgłośnie wargami. Na jego widok przerwała.

- Wychodzę do pracy. Podać ci coś? - zapytał.

- Opiekunka powinna być o dziewiątej. Idź, idź, poczekam na nią.

Uchylił okno, żeby wpuścić świeże powietrze.

- Zostawię otwarte. Nie powinno dziś padać.

Przytaknęła, na powrót zajęta paciorkami różańca. Odwracał się już, kiedy niespodziewanie powiedziała:

- Zadzwoń do księdza. Do Janiaka. Poproś, żeby przyszedł.

- Przecież to nie pierwszy piątek.

- Chcę księdza - powtórzyła stanowczo. - Zadzwońisz?

- Zadzwonię.

Czas w redakcji dłużył mu się niepomiarowo. Od dziesiątej co kilka minut spoglądał na zegarek. Tuż po dwunastej zadzwonił młodszy aspirant Biebrzo. Artykuł najwyraźniej odegrał swą rolę: na policję zgłosiła się kobieta, która na zdjęciu rozpoznała denatkę.

- Młoda była, dopiero dziewiętnaście lat - referował Biebrzo. - Przyjechała do pracy gdzieś spod Łowicza. Zamieszkała u koleżanki. To właśnie ta, co zadzwoniła. W sumie banalna historia. Zakochała się, po czterech miesiącach chłopak ją rzucił, bo okazało się, że jest w ciąży. Usunąć nie chciała, bo grzech, a chodzić z panieńskim brzuchem się wstydziła. No i skoczyła. Wie pan, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze?

- No? - spytał przynaglająco. Było piętnaście po dwunastej.

- Od tygodnia rozповідаła, że ze sobą skończy, ale nikt jej nie wierzył. Głupia szczeniara! - Biebrzo głośno wytarł nos. - A o tych dwóch słowach zapomnijmy.

- To i tak biurowe.

- Jakoś nie mam do nich serca...

Julian szybko skończył rozmowę. Powiedział sekretarce, że będzie dostępny pod komórką, i wybiegł z redakcji. Doszedł Nowym Światem do placu Trzech Krzyży, minął Sheraton i kwadrans przed umówioną godziną znalazł się w kawiarni Czytelnika. Zajął stolik w rogu pod oknem i czekał. Na sali poza nim były tylko trzy osoby. Przy pierwszym stoliku od okna siedział łysawy sześćdziesięciolatek w towarzystwie atrakcyjnej blondynki, która wyglądała na trzydzieści lat; powiesił marynarkę na oparciu krzesła, poluzował krawat i przeglądając plik kartek, dyktował coś kobiecie. Dwa stoliki od nich siedział przystojny szatyn po czterdziestce. Udawał zajętego czytaniem gazety, ale co chwila zerkał na blondynkę. Jego twarz wydawała się Julianowi znajoma. Próżno jednak starał się przypomnieć sobie, gdzie mógł go spotkać.

Helena przyszła tuż przed pierwszą. Miała na sobie kremową bluzkę zapinaną na guziczki i beżową spódniczkę za kolana, na nogach lekkie sandały o cienkich paseczkach. Julian poderwał się z krzesła niczym uczeń. Szatyn też ją zobaczył. Ukłonił się szarmancko i zrobił krok w jej stronę z głośnym „Dzień dobry, pani Heleno”. Odpowiedziała mu ruchem głowy i bez słowa przeszła obok.

- Niewiele brakowało, a bym się spóźniła.

Julian niezgrabnie ujął jej rękę.

- Dopiero pierwsza.

Usiedli, przyglądając się sobie ukradkiem. Szatyn też zajął swoje miejsce. Nie spuszczał wzroku z Heleny.

- Andrzej Konar, pewnie pan o nim słyszał - wyjaśniła, dostrzegłszy pytanie w oczach Juliana. - Pisarz, guru krytyki, dyktator literackich gustów. Miałam okazję go poznać. Nieciekawy typ.

Powiedziała to w taki sposób, że Rotas od razu poczuł do Konara niechęć.

- Dwa lata temu dostał Sztiglera za *Ptaki w słońcu* - przypomniał bez entuzjazmu. - Miał głośny debiut. Nawet Wilniak wypowiadał się wtedy z uznaniem o jego *Śmieciarni świata*. Dla mnie to sztampa.

Przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

- Chyba sporo pan czyta?

- Pewne rzeczy dla przyjemności, inne z obowiązku. Przeważnie to drugie.

- Myśli pan o zostaniu krytykiem literackim?

Zaśmiał się tak głośno, że nawet Konar spojrzał w jego stronę.

- Ani mi to w głowie. Za bardzo lubię czytać, żeby mi przykładać rękę do niszczenia pisarzy.

Helena uśmiechnęła się. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo w tym momencie do kawiarni wszedł Gibała. Poznał Helenę i uklonił się z daleka. Obecność Juliana skwitował zdziwioną miną. Dosiadł się do Konara i zaczęli ściszonymi głosami rozmowę, zerkając od czasu do czasu w stronę stolika Juliana i Heleny. Naraz Konar parsknął śmiechem. Gibała perorował dalej, patrząc już bez żenady na Rotasa.

Julian poczerwieniał ze zdenerwowania. Nigdy przedtem nie czuł takiego przyływu agresji. Najchętniej wstałby od stolika i trzepnął któregoś porządnie. Aż sam się zdziwił, że taka myśl mogła mu przyjść do głowy. Helena dotknęła jego ręki uspokajającym gestem.

- Proszę się nimi nie przejmować. Gibała teraz przynajmniej pana rozpoznaje. Wcześniej nawet nie wiedział, że pracujecie w tym samym dzienniku.

- Gibała powiedziałby raczej, że on pracuje w prawdziwej gazecie, a ja tylko w dodatku miejskim.

Na moment odwróciła głowę w stronę rozbawionych mężczyzn. Konar jakby tylko na to czekał: uniósł się z krzesła i posłał jej promienny uśmiech.

- Może pójdziemy gdzie indziej? - zaproponowała.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Ominąwszy szerokim łukiem stolik Gibały i Konara, wyszli przed kawiarnię.

- Pomysł z Czytelnikiem okazał się nie najlepszy. Dokąd teraz? - Przechyliła lekko głowę i uśmiechnęła się przepaszająco. W jej oczach pojawił się figlarny błysk.

Ta krótka chwila sprawiła, że powróciło głęboko skrywane wspomnienie. Poczuł się młodszy o piętnaście lat: pierwsza randka, to samo majowe słońce, figlarne spojrzenie dziewczyny, psotnie odchylona głowa. Całe zdenerwowanie minęło jak ręką odjął. Przy Helenie nie czuł onieśmienia nie opuszczającego go w obecności kobiet, na których mu zależało.

- Dokąd? Przed siebie!

Ruszyli wolnym krokiem w stronę placu Trzech Krzyży. Kiedy mijali kościół, doszli zgodnie do wniosku, że pora mówić sobie po imieniu.

- Wyglądasz bardzo majowo - orzekł.

Pewnie trąciło to kiepską poezją, ale takie właśnie skojarzenie przyszło mu do głowy. Stali właśnie przed przejściem dla pieszych na wysokości empiku.

- Czy to komplement?

- Jak najbardziej. Maj to mój ulubiony miesiąc.

Zapaliło się zielone światło. Przebiegli jezdnią i zapuścili się w wąż sklepowych wystaw na Nowym Świecie. Działo się z nim coś dziwnego. On, który uchodził za mruka,

przy Helenie miał ochotę mówić nieprzerwanie. Nie był to tylko monolog, co to, to nie. Helena była wdzięcznym słuchaczem, ale z rodzaju tych, którzy mają zwyczaj komentować i zadawać pytania. Zanim się spostrzegł, zaczął się jej zwierzać. Widocznie bardzo tego potrzebował. Opowiedział o skrzypiących drewnianych schodach w rodzinnym domu, w którym po śmierci rodziców mieszkał już tylko z dziadkami. O tym, jak skradał się po tych schodach, by zaszyć się na strychu z nowo zdobytą książką z biblioteki dziadka: Barrie, Dickens, Hawthorne, Poe, starobaśniowy Kraszewski, Dumas, Scott i Cooper, wreszcie Dostojewski, który zwałił się na jego chłopięcą głowę z siłą meteorytu tunguskiego. Wspomnienia, do których sam chętnie wracał. Ale były też inne wspomnienia z dzieciństwa, takie, które skrzętnie skrywał przed innymi. Helena była pierwszą osobą, której opowiedział historię z psem. Babka kazała mu się pozbyć tego psiaka; w mroźny grudniowy wieczór musiał wywieźć go na drugi koniec miasta i tam porzucić. Pamiętał spojrzenie kundla, kiedy zostawiał go przywiązanego do drzewa. Tego samego wieczoru babka jak co dzień przyjęła w kościele ciało Chrystusa. Jemu też kazała iść do komunii. Był nieczysty, bo czuł do niej nienawiść, więc komunia była świętokradczą. Przyjmując hostię, popełnił grzech śmiertelny. A babka zawsze powtarzała, że każdy grzech to zatruty gwóźdź wbity w ciało Zbawiciela. Czyli świadomie zranił Chrystusa. Nigdy się z tego nie wyświadczył. Pewnie gdyby umiał wybaczyć babce, w końcu zdobyłby się na szczerą spowiedź i oczyścić z grzechu. Z czasem przestało mu na tym zależeć. A może - i w tym miejscu zawahał się, a Helena wcale go nie ponaglała - może tak naprawdę miał wtedy żal do Boga, bo winił Go za śmierć rodziców? Zemścił się więc tak, jak potrafił: wystawiając cierpliwość Boga na próbę.

- I co?

- Nic. To tylko w Biblii Jahwe zsyła karę na grzeszników. Myślałem więc sobie, że skoro tak, to albo Boga nie ma, albo przestał się mną interesować. A ty jak myślisz?

- Bo ja wiem? Wolalabym, żeby jednak coś tam było.

Po incydencie w Czytelniku nie mieli ochoty iść do restauracji. Na Starym Mieście kupili bułki z pieczarkami i usiedli na murze Barbakanu. Helena splotła nogi, dla wygody podciągnęła spódniczkę i oparta jedną ręką o ceglany mur, wystawiła twarz do słońca. Zwrócona profilem do Juliana gryzła bez pośpiechu bułkę.

- Nigdy jeszcze nikomu o sobie w ten sposób nie opowiadałem.

Dokończyła bułkę, zgmiotła brudną serwetkę i nie wstając, cisnęła ją do pobliskiego kosza.

- Pewnie teraz chciałbyś dowiedzieć się czegoś o mnie.

Zamierzał być pisarzem, pisarze zaś uwielbiają snuć domysły. Układają dziesiątki

wariantów tej samej sytuacji w poszukiwaniu rozwiązania, które im samym wydaje się najbardziej wiarygodne, choć niekoniecznie musi odpowiadać prawdzie.

Zatem w zgodzie z pisarskim sumieniem zamierzał skłamać, że nie interesuje go nic, co wiąże się z jej przeszłością.

Helena wzięła milczenie za objaw rozterki, bo odezwała się pierwsza:

- Bez obawy, nie chowam trupów w szafie. Możesz pytać, o co chcesz.

- Dlaczego chciałaś się ze mną umówić?

- No tak. Może akurat o to jedno nie powinieneś pytać. - Zeskoczyła z murku. - Ciekawość. Odrobina przekory. Pewnie też kobieca próżność. A może coś więcej... Chodźmy już.

I tak właśnie miało być tego dnia do końca. Ilekroć dotykał tematu, który najwyraźniej pragnęła przemilczeć, uciekała w śmiech albo zbywała go gładkimi kłamstwami.

Pogoda sprzyjała gładkim kłamstwom i długim spacerom. Zapuscili się w uliczki Nowego Miasta. Przy kościele Nawiedzenia NMP zeszli schodami po skarpie, pokonali ruchliwą Wisłostradę i dotarli nad rzekę. Było bezwietrznie, kajaki ślizgały się po gładkiej tafli Wisły. Na wysokości mostu Świętokrzyskiego skręcili w Tamkę i poszli w górę, do Krakowskiego Przedmieścia.

Pożegnali się na przystanku przy uniwersytecie. Helena wsiadła do zatłoczonego autobusu i zniknęła mu z oczu. Dochodziło wpół do ósmej. O tej porze nie miał po co wracać do redakcji. Cofnął się do Oboźnej i najkrótszą drogą dotarł do domu.

Drzwi do pokoiku babci Janiny były otwarte na oścież.

- Nie mówiłeś, że wrócisz później - powitała go z pretensją w głosie.

- Musiałem wziąć dyżur za kolegę - skłamał. Szybko wycofał się do kuchni.

- Dzwoniłeś do księdza Janiaka?

Zaklął pod nosem. Że też musiał o tym zapomnieć!

- Przepraszam - zawołał z kuchni. - Zupełnie wyleciało mi z głowy. Jutro zadzwonię. - Nie musisz. Krysia już to zrobiła - odrzekła z wyraźną satysfakcją.

Zajrzał do pokoiku staruszki. Leżała w łóżku, przebrana do snu.

- Kiedy ksiądz ma przyjść? - spytał, udając zainteresowanie.

- W piątek, koło południa. Krysia obiecała, że będzie wcześniej i wszystko przygotuje.

Postał jeszcze chwilę, by wysłuchać stałego koncertu narzekań przeplatanych pobożnymi westchnieniami. Po kilku minutach uspokoiła się, przymknęła oczy. Zgasił światło, wyszedł i cicho zamknął drzwi.

Dopiero teraz zauważył, że na automatycznej sekretarce miga czerwone światełko.

Włączył odtwarzanie.

- Mówi Stockenhausen - usłyszał znajomy głos. - Dzwoniłem kilka razy do redakcji, ale nie zastałem pana. Przeczytałem książkę. Chciałbym się spotkać i porozmawiać. Najlepiej jutro. Proszę zadzwonić do mnie z samego rana.

## Rozdział 6

### Diabły przychodzą po Alleyna

Ed Alleyn stał przy otwartym oknie, jakby tam wypatrywał ratunku. Wysoki na ponad sześć stóp, miał na sobie czarne rajtuzy i czarny kaftan, zwieńczony białą niegdyś, teraz zaś mocno zszarzałą już i poplamioną kryzą, na głowę wcisnął kapelusz o szerokim rondzie. Gdzieś w dali rozbrzmiewał chór jękliwych głosów. Stopniowo się przybliżały. Alleyn odwrócił się z ociąganiem i ciężko westchnął. Nie żałował sobie dzisiaj pudru: twarz miał tak przejmująco bladą, że starsza jejmość stojąca tuż pod sceną zaszlochała rozpaczliwie. Wyprostował zgarbione plecy. Dramatycznym gestem złożył ręce na piersiach i spojrzął przed siebie niewidzącym wzrokiem, gdzieś ponad głowami widzów. Nagle zegar zaczął wybijać godziny. Alleyn drgnął. Poruszając bezgłośnie ustami, liczył uderzenia. Po jedenastym zegar umilkł. Alleyn wznosił oczy ku górze i wyciągnąwszy przed siebie ręce, z palcami rozczapierzonymi jakby do obrony przed niewidzialnym wrogiem, zawołał przejmująco:

Ledwie jedna godzina życia ci pozostała,  
potem czeka cię wieczne potępienie!  
O, wstrzymajcie bieg, sfery niebieskie.  
Niech czas się zatrzyma i północ nigdy nie nadejdzie.  
Jasne oko Natury, wszędzie i zaprowadź  
wieczny dzień; albo niechże ta godzina  
w rok się zamieni, w miesiąc, tydzień, choćby dzień jeden,  
by Faust mógł odpokutować i duszę swą ocalić!  
*O lente, lente currite, noctis equi!*  
Gwiazdy nadal świecą, czas biegnie, zegar wnet wybije godzinę,  
diabeł przybędzie i Faust będzie potępiony.

W tym miejscu, jak zawsze, Alleyn przerwał i zwiesił głowę, by lepiej unaocznić cierpienie Fausta. Zerknął spod szerokiego ronda na widownię licznie przybyłą tego dnia do Róży: wszyscy czekali w napięciu, co stanie się dalej. Kątem oka dostrzegł, że Kit Marlowe,

ukryty za bocznym filarem, szykuje diabły do wypuszczenia na scenę. Jeszcze kilka minut i na dzisiaj koniec. Na myśl o pasztecie z dziczyzny i butelce czerwonego bergeraca Alleyn poczuł ssanie w żołądku. Czas umierać, Fauście. Oberżysta w Jednorożcu pewnie szykuje już stoły do wieczerzy.

Alleyn ściągnął kapelusz i rzucił na deski. Załamując ręce, z oczami wzniesionymi ku powale, wyrecytował tubalnym głosem, by słyszeli go widzowie na najwyższym piętrze galerii:

O, wzbiję się ku Bogu. Lecz któż mnie ściąga ku ziemi?

Tam, tam, na firmamencie krew Chrystusa płynie.

Jedna jej kropla...

Przerwał mu donośny krzyk na widowni. Przez tłum pod sceną przedzierał się postawny młodzian w brązowym kubraku nie pierwszej już świeżości. Jedną ręką torował sobie drogę, drugą przyciskał coś do piersi. Próbował go gonić korpulentny jegomość wbity w czerwono-żółty dublet i w czarnym aksamitnym berecie; dobył rapiera i wymachując nim ponad głowami widzów, wrzeszczał jak opętany:

- Łapać psubrata! Drań porwał mi sakiewkę! Trzymać rzezimieszka!

Nikt się nie kwapił, by uciekającego osiłka pochwycić. Ludzie rozstępowali się natomiast przed tańczącym ostrzem rozsierzonego tłusciocha i odległość między rabusiem a jego ofiarą szybko się zmniejszała. Pojawszy, że nie przebiję się przez ciżbę, złodziej ruszył ku scenie. Chwycił się drewnianego obramowania, podciągnął i wgramolił na deski. Spod kubraka wysunęły mu się trzy okazałe sakiewki i upadły na posypaną świeżym piaskiem ziemię. Ci, którzy stali najbliżej, rzucili się, by je podnieść. Z tyłu napierali inni. Grubas, dźgając rapierem, usiłował dopchać się do swojej własności, dołączyli do niego pozostali nieszczęśnicy, którzy dopiero teraz spostrzegli utratę sakiewek. Powstał straszny tumult.

Alleyn na scenie daremnie próbował recytować monolog. Krzyczał już prawie, lecz jego głos ginął w hałasie. Kiedy zatem na deskach sceny pokazał się sprawca całego zamieszania, Alleyn dopadł go w dwóch susach i z całej siły rąbnął w szczękę. Drab, machając rękami, poleciał do tyłu i zwałił się ze sceny na piasek, co widzowie powitali salwami śmiechu. Śmiali się jeszcze głośniej, kiedy pełzając na czworakach, usiłował wydostać się z tłumu.

Alleyn, czerwony na twarzy i na dobre już rozsierdzony, wychrypiał z zaciekłością nie przystającą do wypowiedzanej kwestii:



Boże, mój Boże, nie spoglądaj tak groźnie!  
Żmije i węże, dajcież choć tchu zaczerpnąć!  
Zniknij, ohydne piekło! I ty, Lucyferze!  
Spalę swoje księgi! Odejdź, Mefistofelesie!

Ale diabły, wiedzione przez Mefistofelesa, obstały już Fausta, chwyciły go za poły kaftana i czyniąc piekielny tumult, ciągnęły za kulisę. Ich pojawienie się nie zrobiło tego dnia wielkiego wrażenia na widzach, zajętych zgoła innym widowiskiem. Kiedy Faust przy akompaniamencie lamentującego chóru uprowadzany był do piekła, z widowni raz po raz rozlegały się śmiechy i przekleństwa, przeplatane odgłosami kuksańców.

Marlowe powitał aktorów z cierpką miną. Zanim zdążył się odezwać, Ed Alleyn niespodziewanie rzucił się na Roba Grattona, który wcielił się w postać Mefistofelesa.

- Co, pokurczu jeden, mnie kopniakami raczysz?! - ryknął. Jedną ręką przyciągnął Grattona, drugą zerwał mu rogi umocowane na głowie i cisnął je na ziemię.

- Przecie udawałem tylko - wystękał Gratton, daremnie próbując wyswobodzić się z uchwytu. - Nie chciałeś zejść ze sceny...

- Daj mu spokój - odezwał się mitygująco Philip Henslowe, właściciel Róży. - Tak się miotałeś, jakby ci kto gorącego sadła nalał za kołnierz. Nie trzymałeś się roli.

- A niby jak miałem grać w tym rozgardiaszu? - burknął Alleyn.

Posłuchał jednak Henslowe'a, z którego pasierbicą za trzy miesiące miał się żenić. Gratton oddalił się bez ociągania, mieląc w zębach przekleństwa i unosząc ze sobą nadwreżone rogi.

- Wystarczy, by kilka sakiewek zmieniło właściciela, a tragedia zmienia się w komedię - zauważył sentencjonalnie Marlowe, kiedy w trójkę skierowali się ku garderobie. Był już tam John Heminge, który w sztuce Marlowe'a grał Lucyfera, oraz młodziutki Tom Percy, wcielający się całkiem udanie w postać kusząco powabnej Heleny.

Henslowe poklepał Marlowe'a po ramieniu.

- Sam kiedyś orzekłeś, mój drogi, że to życie pisze za nas sztuki. Dziś miałeś tego dowód.

- Ale słów raz spisanych na papierze aktor winien się trzymać - odparował Marlowe twardo, kierując te słowa do Alleyna. I zaraz dodał oskarżycielsko: - A nasz Faust skakał po tekście jak wygłodzona pchła pod ubraniem. Ot, choćby na samym początku. Zamiast „Musimy więc grzeszyć” wymyśliłeś sobie „Spieszmy więc grzeszyć”.

Z kąta garderoby dobiegł ich śmiech. Percy-Helena zdjął już ciemnoblonde perukę

fryzowaną w loki i przeciągnął się lubieżnie.

- Głodnemu chleb na myśli - zanucił. - Ed nie może się doczekać, kiedy wcieli się w rolę młodego żonkosia.

Heminge-Lucyfer, który zdążył się uwolnić od długiego czarnego płaszcza i spiczastego kapelusza, dorzucił z przekąsem:

- Nareszcie będzie mógł za darmo korzystać z uciech, które teraz słono go kosztują.

Była to aluzja do Philipa Henslowe'a, który poza teatrem i arenami, gdzie pokazywano dzikie zwierzęta, był również właścicielem kilku dobrze prosperujących domów uciech na Bankside.

Henslowe, choć sam dość popędliwy, nie zamierzał dolewać tego dnia oliwy do ognia. Uznawszy przezornie, że ostatnia uwaga nie jego dotyczy, dobył z szerokiego rękawa pękaty mieszek i potrząsnął nim z zadowoloną miną.

- Była mowa o sakiewkach, więc powiem jeszcze, że nasza całkiem sporo przybrała na wadze. Zarobiliśmy dzisiaj blisko piętnaście gwinei.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - skomentował Kit.

- Dobry tytuł na komedię - rzucił Heminge od niechcenia, kierując się ku wyjściu.

- Nie wybierasz się z nami do Jednoroźca? - zdziwił się Henslowe. Poruszył kusząco sakiewką.

- Może mam ochotę na piecyste z jedną z twoich gąsek? W takich razach zwykłem się obywać bez dodatkowego towarzystwa.

\*

Poszli do gospody Pod Jednoroźcem w czwórkę: Henslowe, Marlowe, Alleyn i Percy. Ledwie zdążyli usiąść i zamówić pieczony drób i cielęcinę zapiekaną w cieście, od stołu w ciemnym kącie sali podniósł się łysawy mężczyzna. Już z daleka uśmiechał się przymilnie. Henslowe na jego widok sapnął i przewrócił oczami. Zrobił ruch, jakby chciał się podnieść, ale mężczyzna przyspieszył kroku i już stał przy nich. Ukłoniwszy się kanciasto, przemówił uniesieniem do Kita:

- Miałem wychodzić, a tu raptem kogo widzę? Autor we własnej osobie! Wspaniała sztuka. Niepowtarzalna. Piękna, wstrząsająca i tragiczna. Widziałem *Fausta* czterokrotnie, a przecież za każdym razem jest to dla mnie nowe przeżycie!

- Zwłaszcza dzisiejsze przedstawienie - wtrącił z chichotem młody Percy.

Tamten omiół go ledwie spojrzeniem. Ukłoniwszy się poniewczasie Henslowe'owi i Alleynowi, zwrócił się prosiącym tonem do Kita:

- Poprawiłem *Henryka*, panie, tak jak radziłeś. Wiem, że to zbyt wielka śmiałość z

mojej strony, ale czy nie zechciałbyś raz jeszcze rzucić okiem na tekst?

Marlowe nawet się nie skrzywił. Machnął przyzwalająco ręką i powiedział niecierpliwie, bo córka oberżysty szła już w ich stronę z parującą miską:

- Dobrze, przynieś. Najlepiej zostaw w teatrze.

Gość spojrzał znacząco na wolne miejsce przy stole, nikt jednak nie kwapił się, by go zaprosić. Kiedy zjawiała się gospodyni z dzbanem wina i czterema kubkami, pokręcił się jeszcze chwilę i z ociąganiem odszedł.

- Kto to? - zapytał Percy. Nie czekając na odpowiedź, sięgnął po dzban, by rozlać wino do kubków.

- Willie Shagspeare - wybełkotał Kit z ustami pełnymi jedzenia. Przełknął kawałek cielęciny zapiekanej w cieście i popił bergerakiem. - Różnie piszą jego nazwisko: Skackspere, Shagspere, Shakespeare, Shagspeare.

- Kiepski pisarz i jeszcze gorszy aktor - skomentował Henslowe z niechęcią. - Męczył mnie, męczył, aż obsadziłem go kiedyś w *Tragedii hiszpańskiej*. Do dziś tego żałuję.

- Potwierdzam, bo sam grałem w *Tragedii* - mruknął Alleyn. - Shakespeare co najwyżej nadaje się do biegania po scenie i potrząsania włócznią. Nazwisko ma odpowiednie.

- Ale z pisaniem radzi sobie niezgorzej - zauważył Kit. - Szybko się uczy. Umysł ma jak gąbka. Łaził za mną ostatnio, bo zaczął komponować sztukę o Henryku VI i potrzebował, jak to określił, fachowej pomocy. Posiedziałem z nim parę wieczorów nad tekstem. Co nieco wygładziłem kanciasty styl, podsunąłem kilka rozwiązań.

- Śmierdzi wsią - prychnął Percy, zasłaniając nos chusteczką, jakby nadal był na scenie i grał Helenę Trojańską.

- Nic dziwnego - włączył się Henslowe. - A ty to niby co? Sam jeszcze niedawno ciągnąłeś krowy za cycy. Dzisiaj co trzeci londyńczyk ma wiejski rodowód.

- W tym połowa z nich to gąski z twoich burdeli - odparował młodzik. - Zdrowe, młode i nawykłe do ciężkiej pracy.

Ale Henslowe'a, który czuł miły ciężar sakiewki, trudno było tego dnia wyprowadzić z równowagi.

- I owszem, nie narzekam. A jakie bestyjki zdolne. - Nadział na nóż spory kawałek cielęciny i włożył do ust. - Myślę, żeby pewnego dnia wprowadzić którąś na scenę. Tylko że wtedy nasz piękny Percy będzie mógł co najwyżej grać włócznika, jak ten niewydarzony Shagspere.

Percy z nadętą miną zabrał się do obgryzania kurzego udka. Marlowe roześmiał się. Nie odrywał oczu od Marthy, córki oberżysty. Odstawił kubek i przywołał ją, by naląła wina.

Kiedy się nad nim pochyliła, wyprostował się na ławie i niby przypadkiem dotknął policzkiem na w pół odsłoniętych piersi dziewczyny. Odskokczyła z krzykiem, ale odchodząc, nie przestawała się do niego uśmiechać.

Kit Marlowe upił wina i otarł usta rękawem kaftana.

- Z Shagspeare'em rzecz tak się ma, że nie otrzymał solidnego wykształcenia. W wiejskiej szkole liznął trochę łaciny i greki, ale nawet z prostym tekstem sobie nie radzi. Szykuje się teraz do pisania jakiejś nowej sztuki. Czegoś o Tytusie Andronikusie. Wciąż mnie nachodzi, żebym mu objaśniał fragmenty z *Żywotów* Plutarcha. Trzeba przyznać, że i tak daleko zaszedł, bo w domu ojciec i matka niepiśmienni.

Ed Alleyn czknął głośno.

- Wiem od kuzyna z Warwickshire - zaczął - że ci Shakespeare'owie to nieciekawe towarzystwo. Jeden z przodków skończył na szubienicy za kradzież. A i sam Willie, który z powodu biedy w rodzinie przerwał szkołę w wieku trzynastu lat i zaczął się uczyć rzeźnickiego fachu, uciekł ponoć ze Stratfordu do Londynu, żeby uniknąć kary za kradzież jelenia z lasów sir Thomasa Lucy'ego.

Marlowe pokręcił głową.

- Że uczył się na rzeźnika, to prawda, ale z tym jeleniem to zwykły wymysł. W istocie uciekł od gderliwej żony i rodzinnych obowiązków, którym nie potrafił sprostać.

- Jeszcze jeden powód, by się nie żenić - zawyrokował Percy. - Mów dalej, Kicie. Może nasz drogi Alleyn jeszcze zmieni zdanie.

- Nie sądzę - odrzekł Kit ze śmiechem. - Ed jest dojrzałym mężczyzną i bierze za żonę urodziwą młodkę, a z Shagspeare'em było całkiem na odwrót. Wpadł w małżeńskie sidła, jeszcze zanim osiągnął pełnoletność, a do tego dziewczka była osiem lat starsza. Ledwie z nią legł, zaszła w ciążę i biedak musiał się żenić. Wypijmy za jego parszywy los. - Wzniósł kubek i pociągnął spory łyk wina.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zdziwił się Percy.

- Skąd? - Kit zaśmiał się głośno. - Ludzie dużo mówią, a ja uważnie słucham. Dla poety to nieocenione źródło wiedzy.

- O tak, pan Marlowe zgromadził sporą wiedzę - dobiegł ich szorstki głos. - Zapewniam panów, że ma do tego wyjątkowy talent.

Kit przesunął się na ławie i spojrzął za siebie. Przy sąsiednim stole, zupełnie pustym, jeśli nie liczyć kieliszka i dzbana z sherry, siedział Richard Baines. Kit widział go pierwszy raz od czasu wydarzeń we Flushing. Baines niewiele się zmienił: ta sama chuda twarz, chytre spojrzenie, zmarszczki na wysokim czole, lekko opadająca lewa powieka, najbardziej

widoczna pamiątka po pobycie w więzieniu we Flushing. Wyłysiał tylko i we włosach na skroniach pojawiła mu się siwizna.

- Pan Marlowe zna wiele sekretów - wychrypiał Baines. Drżącą ręką uniósł kieliszek i wychylił. Mrużąc oczy, popatrzył na Kita i dokończył bełkotliwie: - Ale i sam skrywa parę tajemnic. Popytajcie go, przyjacielom może coś zdradzi.

- Znasz go, Kicie? - zapytał Alleyn, bardziej zaintrygowany niż rozgniewany.

- Moczygęba jakiś. Ubzdurał coś sobie i tyle. Każę gospodarzowi go wyrzucić.

- Sam to zrobię - huknął Alleyn i podniósł się od stołu.

Na ten widok Baines poderwał się z ławy. Nad podziw żwawo okrążył swój stół i zataczając się nieco, dobiegł do drzwi.

- Pięknie to zagrałeś! - zaśmiał się Henslowe, kiedy Baines wypadł na ulicę. - Ledwie cię zobaczył, od razu wytrzeźwiał.

Zamówili nowy dzban czerwonego wina. Przy czwartym kubku Henslowe'owi język się rozwiązał. Zaczął opowiadać takie sprośności o swoich dziełkach z domów uciech, że córka oberżysty schowała się w spiżarni. Kit poczuł parcie na pęcherz. Wstał od stołu.

- Idę za potrzebą - mruknął niewyraźnie i skierował się ku drzwiom.

Zmrok już zapadł. Powietrze było rześkie, przesycone zapachami wiosny. Potykając się w ciemności, obszedł gospodę, stanął w miejscu, gdzie do budynku przylegała drewnitnia, i zaczął obsikiwać równym strumieniem ścianę z belek. Przez okopcone szyby sąsiedniego okna przebijało światło świec. Strząsnął resztki moczu na ziemię i ruszył z powrotem tą samą trasą. Nie zdążył wyjść zza załomu budynku, kiedy ktoś zagroził mu drogę.

- Królu mój łaskawy - odezwał się intruz pijackim bełkotem - podaruj kilka pensów na kwaterkę piwa.

Kit zdjął rękę z gałki sztyletu i obciągnął kaftan. Zrobił krok w prawo, by minąć obdartusa. W tym momencie dwie pary rąk chwyciły go od tyłu. Zanim się spostrzegł, stał przyparty do ściany. Szarpnął się, tamci jednak trzymali mocno. Nie zdziwiło go nawet, kiedy zobaczył, że zza budynku wylania się Baines. Powinien spodziewać się takiego obrotu rzeczy.

- Ciepły wieczór, jak wtedy, we Flushing - wychrypiał Baines ściszonego głosem.

Z kieszeni kaftana wyjął kilka monet i rzucił je za siebie. Żebrak na czworakach zaczął zbierać drobniaki.

- Przynajmniej te są prawdziwe - dokończył Baines ze złowieszczą nutą.

Nie spiesząc się, dobył nóż ukryty pod kaftanem. Kit chciał krzyknąć, ale jeden z osiłków zatkał mu usta skórzaną rękawicą. Baines przełożył nóż do lewej ręki i przeciągnął ostrzem po wnętrzu prawej dłoni, aż pokazała się krew.

- Sam powtarzałeś, że dobry pieniądz z czasem zawsze wyprze fałszywy - podjął dziwnie spokojnym tonem. - Podobnie rzecz się ma z ludźmi.

Zamachnął się ręką uzbrojoną w nóż. Kit zacisnął powieki i skulił się. Cios nie następował. Kiedy odważył się otworzyć oczy, zobaczył, jak Baines pochyla się nad żebrakiem i wbija mu nóż w plecy. Uderzał fachowo, między łopatki.

Zaraz potem silny cios w głowę pozbawił Kita przytomności.

\* \* \*

Ocknął się w zatechłej ciemnicy, na wiązce zbutwiałej słomy. Ledwie się poruszył, rozległy się gniewne pofukiwania i piski. Coś przebiegło mu po piersiach. Usiadł raptownie, strącając na ziemię pozostałe szczury. Kaftan miał w strzępach, ale do ciała jeszcze się nie dobrały. Pomacał rękami wokół siebie. Pomieszczenie było tak niskie, że mógł się poruszać tylko na czworakach. Przyłgął plecami do wilgotnej ściany, podciągnął kolana pod brodę i siedział tak, pilnując, by szczury nie podchodziły zbyt blisko. Kiedy zamajaczyło światło pochodni, odskoczyły z piskiem pod przeciwległą ścianę. Pochodnia zbliżała się. Szczęknęła kratka zamykająca wejście do nory. Uniosła się z chrobotem.

- Wylaź! - burknął strażnik.

Kit przeczołgał się pod kratą. Pilnowany przez mrukliwego strażnika przemierzył długi korytarz, pokonał kilkadziesiąt śliskich stopni i znalazł się w niewielkiej czworobocznej sali. Przez dwie wąskie szczeliny sączyło się światło. Na prostej ławie z oparciem siedział Robert Poley. Był jak zawsze elegancki: w ciemnych, jednobarwnych rajtuzach, czerwonym aksamitnym dublecie z czarnymi wypustkami, z miękką, starannie ufryzowaną brodą i ciemnobrązowymi włosami, które na modłę holenderską miał ułożone w loki. Agent w Tajnej Służbie Jej Królewskiej Mości, jeden z najwierniejszych psów gończych królowej, niezmordowany w tropieniu katolickich spisków. Zarazem wypróbowany pomocnik sir Francisa Walsinghama oraz lorda Burghleya w fabrykowaniu intryg na zgubę wrogów królowej i ku chwale Kościoła Anglii. Poley i Baines, dwie karty z jednego rozdania. Mocne atuty w ręku osoby, która nimi dysponowała. Grając przeciwko takim kartom, miało się mizerne szanse na sukces.

- Wpakowałeś się w niezłą kabałę, Kicie - zaczął Poley, oglądając swoje wypielęgnowane paznokcie.

- Ty i Baines mielibyście więcej do powiedzenia na ten temat - odparował Marlowe.

Poley zaśmiał się. Odprawił strażnika, po czym z zaciekawieniem rozejrzał się po prawie pustej sali. Sam jako agent prowokator spędził wiele dni w więziennych lochach, z miłości do królewskiego majestatu wyrzekając się bez żalu eleganckiego odzienia i pachnideł,

by podstępem wydobyć ze współwięźniów dowody winy.

- Brawo, Kicie. - Roześmiał się ponownie i klasnął w dłonie. - Widzę, że jedna noc w Newgate nie pozbawiła cię dobrego humoru.

- Nie mam nic na sumieniu.

- Dowody mówią co innego.

- Dowody?

- Zeznanie Richarda Bainesa poparte urzędowym sprawozdaniem konstabla Sutcliffe'a, który w chwilę po morderstwie zjawiał się na miejscu zbrodni.

- Baines łże.

- Czyżby? Ma dwóch świadków gotowych potwierdzić jego słowa. Widzieli, jak w pijackim szale rzuciłeś się na Bogu ducha winnego włóczęgę. Kiedy Baines próbował ci przeszkodzić, dźgnąłeś go w dłoń sztyletem. Na dowód tego ma wyraźny ślad. Dopiero w trójkę dali ci radę. Musieli ogłuszyć cię kamieniem.

- Baines kłamie. Wszystko zostało ukartowane.

- Śmierć zadano twoim sztyletem.

- To Baines zaszlachtował włóczęgę.

- Komu uwierzy sąd? Duchownemu Kościoła anglikańskiego czy członkowi teatralnej trupy?

- Baines ma powód, żeby się mścić. Ubzdurał sobie, że to ja go wydałem w sprawie fałszywych szylingów w Niderlandach.

- A było inaczej? Obaj fałszowaliście monety, a do więzienia we Flushing trafił tylko on. Ty wróciłeś bezpiecznie do Anglii, Baines o mało nie stracił głowy.

- Dobrze wiesz, że wstawił się za mną lord Burghley.

- Teraz się nie wstawi. Chyba że okażesz swą przydatność.

- W jaki sposób?

Poley stanął przy szczelinie okiennej tak wąskiej, że nie sposób było przecisnąć głowy.

- Wrócisz do Służby - zażądał.

Marlowe oparł się ręką o ławę. Sceny z egzekucji wryły mu się w pamięć równie trwale jak każde słowo jego dramatów. Cóż w tym dziwnego, skoro w obu przypadkach mógł się śmiało poczuwać do autorstwa. Wnętrznosci wypływające z brzucha żywego jeszcze Babingtona i głowa królowej Szkotów, która dopiero po trzecim cięciu spadła na deski. Kiepski finał i uboga fabuła. Żaden szanujący się dramaturg tak by tego nie zostawił.

- Wystąpiłem ze Służby - odparł.

Poley zwrócił się twarzą do niego.

- Ze Służby nie można zrezygnować. Co najwyżej Służba może zrezygnować z ciebie. Zbyt długo byłeś z nami, by tego nie wiedzieć. Musisz wybierać: więzienie i pewna szubienica albo powrót do Służby.

- Baines sam by tego nie wymyślił. Kto za tym stoi? Lord Burghley? Whitgift?

- Wszyscy służymy Jej Królewskiej Mości i Anglii.

- Co miałbym robić?

Poley usiadł z powrotem na ławie i założył nogę na nogę.

- Pojedziesz do Szkocji. Ten purytański męcziciel John Penry jest gorszy od katolików. Swoimi pismami wbija klin w nasz Kościół. Atakuje biskupów, podważa autorytet królowej.

- Czego ode mnie oczekujecie?

- Zaprzyjaźnisz się z nim. Zna cię tylko jako autora *Fausta* i *Tamerlana*. Łatwo go przekonasz, że myślisz podobnie jak on. Wmówisz mu, że jest was więcej, plany są już gotowe, potrzeba tylko pewnych ludzi, którzy mogą zamiar zrealizować. Masz go ściągnąć do Anglii.

- Co go tu czeka?

- Szubienica, mój drogi Kicie. - Poley wstał z ławy i spoglądając na poszarpany kaftan Marlowe'a, poprawił haftowane mankiety koszuli. - Każdy ma taki koniec, na jaki zasłużył.



## Rozdział 7

### Koło fortuny rozpędza się

Agencja Stockenhausena miała siedzibę w jednopiętrowym pałacyku na obrzeżach parku przy Foksal. Po uprzedniej rozmowie telefonicznej z sekretarką Stockenhausena Julian Rotas zjawił się punktualnie o dziesiątej. Biura mieściły się w lewym skrzydle odrestaurowanego budynku. Przed wejściem wisiała tablica z matowego szkła z napisem: „Agencja reklamy i promocji TeNeT”.

Sekretariat wraz z przylegającym do niego rozległym holem miał nowoczesny biurowy wystrój. Za to pokój właściciela firmy przypominał gabinet osobliwości. Stockenhausen na widok Juliana poderwał się zza solidnego biurka z orzechowego drewna. Posadził gościa przy mahoniowym stoliku zdobionym intarsją, która przedstawiała japoński krajobraz. Sam usiadł na sąsiednim fotelu. Julian, wbrew swoim zwyczajom, nie przestawał się rozglądać. Najpierw jego uwagę przykuła dwuskrzydłowa biblioteczka w stylu eklektycznym. Wykonana z drewna koloru ciemnej wiśni i zdobiona na krawędziach złoceniami, wysoka niemal pod sufit, ciągnęła się od drzwi pokoju przez całą długość ściany i wzdłuż ściany sąsiedniej, solidna jak mur obronny średniowiecznej warowni. Za szybami stały książki o zdobnych grzbietach, choć obok bibliofilskich wydań były też egzemplarze mocno podniszczone, niektóre bez grzbietów, a kilka w tak kiepskim stanie, że jedynie opasujące je wstążki ratowały kartki przed rozpierchnięciem. Ze swego miejsca Julian odczytać mógł tylko niektóre tytuły. Wypatrzył łacińskie wydanie historii Kościoła angielskiego świętego Bedy, kazania Johanna Eckharta w języku niemieckim, rozważania świętego Jana od Krzyża, niewątpliwie zabytkowe wydanie Biblii króla Jakuba, rozważania świętego Augustyna, *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Gibbona, oprawne w czarną skórę prace Blaise'a Pascala, coś o Trójcy Świętej autorstwa Johna Owena, zaraz obok łacińskie wydanie pracy Corneliusa Agrippy o okultyzmie, dalej dzieła Hugo, Prousta i Dostojewskiego, wielotomową edycję filozofów angielskich, a tuż przy niej opasłe tomy z pracami Platona i Sokratesa w językach niemieckim, francuskim i angielskim. Były też tytuły w językach zupełnie Julianowi nie znanych, przywodzące na myśl inskrypcje, jakie pamiętał z malowideł koptojskich czy może aramejskich. Książki dominowały w pokoju, ale nie one jedne stanowiły o jego specyficznym charakterze. Wolne miejsce na ścianach zajmowały obrazy,

sztuchy i rysunki. Żadnej z prac nigdy przedtem nie widział, a jednak wszystkie wydawały mu się znajome. Rozpoznawał metafizyczną prostotę Chagalla, ludyczno-rozpasany styl Bruegla, Dürerowsko surowy monumentalizm postaci i manieryczność Rubensa; najwidoczniej jakiś utalentowany kopista zdołał po mistrzowsku oddać to, co w dziełach każdego z tych artystów najbardziej charakterystyczne. Zwracało też uwagę, że wszystkie kopie, choć różne pod względem stylu i maniery, łączy ten sam temat. Z braku lepszego słowa Julian określił go w myślach przymiotnikiem „metafizyczny”. Anioły z ptasimi skrzydłami przelatywały nad dachami domów; połamany artretyzmem diabeł grzał się przy inkwizycyjnym stosie; smok Lewiatan niósł na grzbiecie baranka; wreszcie Śmierć z liczydłem, przedstawiona na podobieństwo Salomona, czuwała przy łożu konającego, gotowa asystować w sporze Lucyfera z Michałem Archaniołem o ulatującą z ciała duszę.

Julian wypatrzył jeszcze połyskliwą czaszkę pod szklaną kopułą na biurku i wypchanego czarnego psa o groźnym wyglądzie, warującego przy posągu z brązu, na którym wryto napis „Cornelius Agrippa”. W rzeźbionym stojaku w rogu pokoju tkwiła muzealna włócznia, nad biurkiem wisiała imponująca kolekcja ogromnych śnieżnobiałych motyli, a na prawo od drzwi leżała bryła surowego marmuru, ledwie napoczęta przez rzeźbiarza, mająca zapewne przedstawiać klęczącą postać. Na małym stoliku, obok egipskiego sarkofagu naturalnej wielkości, stała szklana gablota, a w niej trzcinowy kosz o rzadkim splocie.

Rotas zdał sobie sprawę, że gospodarz od dłuższego czasu mu się przygląda. Poczul się w obowiązku coś powiedzieć, jednak Stockenhausen go uprzedził.

- Trochę się tego zebrało - zaczął z niekłamanym zadowoleniem, obiegając wzrokiem pokój. - Sporo podróżuję po świecie. Moją wadą jest to, że łatwo przywiązuję się do rzeczy.

- Wszyscy jesteśmy zakładnikami materialnego świata - wyrwało się Julianowi.

Stockenhausen uniósł brwi, jakby nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- To prawda - przyznał - chociaż w moim przypadku jest nieco inaczej. Te wszystkie rzeczy mają dla mnie wartość osobistych pamiątek. Trochę przeszkadzają, ale nie chciałbym się ich pozbywać. Przystąpmy jednak do rzeczy.

Przeszedł do biurka i wrócił z grubym plikiem kartek. Rotas rozpoznał swój maszynopis.

- To dobra książka, panie Julianie - rzekł w skupieniu Stockenhausen. - Dotyka pan w niej ważnych spraw. Nie widzę tu pogoni za efektem, chowania się za piękną frazą. Przekazać opowieść jest najtrudniej. Żeby zainteresować czytelnika historią, trzeba samemu w nią uwierzyć. Pan uwierzył. Taka wiara w dzisiejszych czasach to prawdziwa rzadkość. - Wyłowił z maszynopisu kilka kartek i zaczął je przeglądać. - Historia jest na swój sposób

zajmująca - kontynuował. - Oczywiście, wielu się oburzy na takie ukazanie Szekspira, ale pan jako pisarz ma prawo snuć własne fantazje. No i ten Marlowe... w pańskim ujęciu jest naprawdę przekonujący. Autor *Fausta* sam staje się Faustem. Nieco ryzykowne, ale pan wyszedł z tego obronną ręką. Jak choćby tutaj: śmiertelnie ranny Marlowe dokonuje rozrachunku z przeszłością, posługując się cytataми z własnej sztuki. Rzeczywistość splata się z fikcją. Kiedy czytałem tę scenę, miałem wrażenie, jakbym przy tym był. - Stockenhausen odłożył kartki na stolik i rozparłszy się wygodnie na fotelu, spojrzał przenikliwie na Juliana. - Właśnie to przekonało mnie ostatecznie do pańskiej powieści - podjął zyczliwie. - *Metafizyka. Tajemnica. Dopuszcza pan myśl, że to, co widzimy, jest zaledwie fragmentem rzeczywistości, tą częścią świata, która jest przed nami odkryta. Resztę musimy poznawać sami. Bo odkąd łuski spadły nam z oczu, jesteśmy skazani na trud poznawania. Wie pan, co mam na myśli?*

- Owoc z rajskiego drzewa poznania.

- W samej rzeczy - przytaknął Stockenhausen z ożywieniem. Raptem zmienił temat. - Wysłał już pan książkę do jakiegoś wydawnictwa, zgadza się? Do kogo?

Julian zawahał się. Zbliżała się najtrudniejsza część rozmowy. Wydziwianie na wydawców, krytykowanie opieszałości redaktorów - lecz wszystko to podszyte aluzją, że książka widocznie nie jest wystarczająco dobra.

- Maszynopis zaproponowałem siedmiu wydawcom - odpowiedział nienaturalnie głośno, jak człowiek, który się broni. - Wszyscy odrzucili.

- Siedmiu? To niewielu. Czemu robi pan zdziwioną minę? Proszę posłuchać. Podczas kilkuletniego pobytu w Paryżu miałem okazję przyjrzeć się pracy jednego z tamtejszych wydawnictw. Editions de Minuit. Oficyna nieduża, ale dosyć znana, istnieją na rynku ponad pół wieku. Wsławili się między innymi tym, że jako pierwsi wydawali Sartre'a i Becketta. Ale do czego zmierzam. W ciągu roku napływa do nich ponad dwa i pół tysiąca maszynopisów od debiutantów. I wie pan, ile z tego wybierają do publikacji? Jeden tytuł! No, czasem dwa. Czy naprawdę wierzy pan, że można wyłowić z takiej masy rzecz zdecydowanie najlepszą? Gdyby przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku nie robili nic innego poza czytaniem nadesłanych prac, to musieliby dziennie uporać się z siedmioma tekstami! A jest tam ich w redakcji bodajże dziesięć osób, które przecież mają także inne zajęcia. Oczywiście, zlecają czytanie również redaktorom współpracującym z wydawnictwem, ale jakkolwiek by na to spojrzeć, wniosek nasuwa się jeden: o wyborze często decyduje przypadek. Ślepy los.

Stockenhausen przerwał i pochylony nad stolikiem zaczął pedantycznie układać kartki maszynopisu. Julian patrzył jak zauroczony. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że

książka znalazła się w odpowiednich rękach. Z drugiej strony nie mógł się pozbyć wrażenia, że sprawy wymykają się spod kontroli. Dziwne uczucie. Bo niby cóż złego miałyby się zdarzyć? Zdając się na ślepy los, tym bardziej godził się na to, że nie będzie miał żadnej kontroli nad przyszłością książki.

Stockenhausen skończył porządkować strony. Przysunął bliżej maszynopis. Julian odetchnął z ulgą.

- Kiedy do wydawnictwa napływa nowa propozycja Wilniaka albo Starnickiego - szef TeNeT-u podjął tonem dalekim od mentorstwa - wszyscy się na nią rzucają, każdy chciałby przeczytać pierwszy. Debiutanci trafiają do wielkiego wora. Większość zostaje w nim na zawsze. Jeśli nie chce pan podzielić losu większości, trzeba zabrać się do tego inaczej. Mogę w tym pomóc.

- Jako agent literacki? Obawiam się, że niewiele pan na mnie zarobi.

Stockenhausen zaśmiał się szczerze.

- Nie nazwałbym siebie agentem. Prędzej już sponsorem. Dawniej takich jak ja nazywano mecenasami sztuki albo patronami artystów. W pańskim maszynopisie widzę materiał na dobrą książkę. Jestem pewny, że odniesie sukces. - Przerwał, jak gdyby chciał, by jego ostatnie słowa zapadły rozmówcy w pamięć.

Julian poruszył się niespokojnie.

- Zastanawia się pan pewnie, czego oczekuję w zamian? - ciągnął Stockenhausen. - Nie interesują mnie pieniądze. Przynajmniej nie jest to główny powód. Nie żądam też podpisywania umowy. Wszystkich formalności dopełnimy wówczas, kiedy będzie pan miał pewność, że chce się ze mną związać na stałe. Więc jak? To chyba uczciwe postawienie sprawy?

Rotas był zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Uniósł się na krześle i uściśnął wyciągniętą do niego rękę. Stockenhausen chwilę przytrzymał mu dłoń, powtarzając kilkakrotnie:

- Cieszę się, panie Julianie. Naprawdę się cieszę.

Z szuflady biurka wyjął nową tekturową teczkę, ułożył w niej starannie maszynopis i napisawszy coś na wierzchu, schował teczkę do biurka. Wrócił do Juliana z grubym notesem i zaczął go kartkować.

- Zastanówmy się, kogo wybrać - myślał głośno. - Nasze Słowo odpada. Pańska książka nie pasuje do sieczki, którą teraz wydają. Może Superior? Nie, ostatnio za dużo zainwestowali w przekłady i pewnie niedługo padną. Lepsza byłaby jakaś mniejsza oficyna. O, na przykład Domino. Sparzyli się, wznawiając nagrodzoną powieść Gorczycy, i teraz

szukają okazji, żeby się odegrać. Potrzebują sukcesu i pieniędzy. Pańska książka może im to zapewnić.

Julian nawet nie próbował wyjaśniać, że właśnie dostał odmowny list z Domina. Kiedy pół godziny później zebrał się z gospodarzem, był dobrej myśli. Świącie wierzył, że w ciągu dwóch, trzech dni ktoś z Domina odezwie się do niego. Bo też Stockenhausenowi trudno nie wierzyć, mówił do siebie, kiedy mijał siedzibę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, w której zazwyczaj obradowali członkowie kapituły Nagrody im. Sztiglera. Stockenhausen ma wyjątkowy dar przekonywania. I zna się na ludziach. Ktoś taki potrafi dochodzić do celu.

## Rozdział 8

# Jedni szukają pewnego czasopisma, inni pewnego autora

Po wyjściu z domu profesor Brzóska skierował się do najbliższego kiosku na ulicy Dobrej. W rękę ścisnął karteluszek z zapisanym tytułem. Powtarzał w myślach każde słowo odbytej wczoraj telefonicznej rozmowy z Zofią Sarecką, bibliotekarką z Górowa Iławeckiego. Pani Zofia - bo tak już zaczął ją nazywać - okazała się osobą rzeczową i nawet miłą. Całą rozmowę zamknęła w sześciu zdaniach i nie siliła się na typowe dla kobiet słodkie słówka oraz niezrozumiałe dla profesora dziwactwa. Zadzwoiła wczoraj na uczelnię, żeby podziękować za otrzymaną właśnie odpowiedź, i przy tej okazji ponowiła propozycję spotkania. Brzóska przystał bez żadnych ceregieli. Nie była to przecież, Boże ucho, randka! Jeśli nawet, to można by to nazwać randką literaturoznawcy zakochanego w Conradzie ze znawczynią Conradowskiej spuścizny. Żarliwa miłość do literatury, poparta rzetelną wiedzą, należy dziś do rzadkości. A bibliotekarki z małych miasteczek również coraz rzadziej zapadają na tę przypadłość. Miłość, profesor wiedział ze słyszenia, to choroba jak każda inna. Jednak miłość w sensie literackim, zwłaszcza miłość do literatury, jest przypadłością znacznie mniej dokuczliwą. Niekiedy zaś bywa źródłem prawdziwych uniesień. Choćby *Fikcja heurystyczna w przekazie Conrada*. Jaki sens uganiać się za mrzonkami, gdy na wyciągnięcie ręki ma się tak realną obietnicę spełnienia? Skoro bibliotekarka z Górowa Iławeckiego żywi wobec Conrada i literatury podobne co profesor zamiary, w pełni zasługuje na jego zainteresowanie.

Zwolniwszy kroku, Brzóska rozpostarł trzymany w rękę karteluszek i przeczytał na głos: „Olsensis. Dwumiesięcznik społeczno-kulturalny ziemi olsztyńskiej”. Zofia Sarecka, osoba doskonale zorganizowana, umawiając spotkanie na placu Zamkowym, zaproponowała ten właśnie lokalny periodyk jako znak rozpoznawczy. To był ów rodzaj praktyczności, którą profesor pochwalał. Praktyczność i naukowe podejście do problemu doskonale się uzupełniają.

Skręcił z Jaracza w Dobrą. Nie miał w zwyczaju oglądać się za siebie, nie mógł więc zauważyć niepozornego mężczyzny w szarej marynarce i jasnobieżowej koszulce polo, który

wytrwale za nim podążał. Mężczyzna był niewysoki i obdarzony krótkimi nogami, drobił zatem szybko, żeby nie zostać w tyle. Ocierając chusteczką pot z łysiny, w myślach posyłał do diabła dyrektora wydawnictwa Domino i jego zwariowane pomysły.

Kiedy Brzóska wszedł do sklepiku z prasą, mężczyzna zrobił to samo. Zwrócony bokiem do naukowca, zajął się studiowaniem tytułów gazet i czasopism wyłożonych na ladzie.

- Dzień dobry, panie profesorze. - Kioskarka nie pytana położyła przed Brzóska złożony w pół egzemplarz „Racji”. - Piątkowe wydanie, dwa pięćdziesiąt.

- Piątkowe, rzecz oczywista - powtórzył profesor. Wyjął z portfela dziesięciozłotowy banknot, po czym wyrecytował wyuczony na pamięć tekst: - Poproszę jeszcze najnowszy numer „Olsensis”.

Kioskarka tylko dla porządku przebiegła wzrokiem kolorowe okładki.

- Tego nie dostaję. Co to jest?

Brzóska zmarszczył nerwowo nos.

- Pismo społeczno-kulturalne ziemi olsztyńskiej - wyjąkał, pomagając sobie karteczką.

- Dwumiesięcznik, rzecz oczywista - dokończył. Patrzył na nią z wyczekiwaniem.

- Nie ma.

- Jak to? Mam wyraźnie napisane!

- Pismo regionalnych nie prowadzimy.

- „Olsensis” - powtórzył Brzóska, bezwiednie ugniatając karteluszek w kulkę. - Proszę sprawdzić.

Kioskarka wzięła do ręki wykaz tytułów i wodząc palcem po kartce, przejrzała wszystkie pozycje.

- Nigdy tego nie miałam - oznajmiła z boleściwą miną. - W kiosku pan czegoś takiego nie dostanie.

- Ależ ja muszę to mieć! Od tego wszystko zależy! - Profesorowi trzęsły się ręce. - Nie chodzi o moje widzimisię. Z tego może się coś narodzić. To rzecz na miarę Conrada, może nawet coś więcej. Szansa jedna na sto, jedna na tysiąc. Przegapić nie wolno, rzecz oczywista! Literatura nie może być stratna.

- Co ja panu poradzę? - Kioskarka spojrzała na klienta w szarej marynarce i ostentacyjnie westchnęła. - Proszę spróbować w empiku.

Dalej wypadki potoczyły się szybko. Młoda ekspedientka w empiku na Nowym Świecie, po krótkiej naradzie z koleżanką, chwyciła za telefon. Sprowadzony na pomoc kierownik działu poprosił Brzóska o powtórzenie tytułu, po czym przepadł na dobry

kwadrans. Kiedy wrócił, niósł z triumfalną miną nieco pognieciony egzemplarz dwumiesięcznika „Olsensis”, który znalazł w dziale „Hobby” w sąsiedztwie periodyków poświęconych wędkarstwu. Profesor z okrzykiem „Literatura ocalona!” przepchał się do wyjścia. Na ulicy ruszył dziarsko do przystanku autobusowego. Zanim jegomość w szarej marynarce odszukał ostatni z dwóch egzemplarzy dwumiesięcznika „Olsensis” i po uiszczeniu zapłaty wypadł przed sklep, Brzóska siedział już w autobusie wiozącym go na uczelnię przy Krakowskim Przedmieściu.

\* \* \*

Stanisław Arnicz, dyrektor Oficyny Wydawniczej Domino, pracował przy biurku w przestronnym gabinecie, kiedy drzwi uchyliły się i do środka zajrzał Zenon Fajbusiewicz, zastępca sekretarza redakcji. Arnicz sprawdził godzinę na zegarku: dochodziła dziesiąta trzydzieści. Niedobrze. O tej porze Fajbusiewicz powinien być jeszcze w mieście. - Zgubiłeś go?! - huknął.

Fajbusiewicz wślizgnął się do pokoju. Minę miał nietęgą. Otarł chusteczką pot z czoła i zbliżył się do masywnego biurka. Przestronny gabinet i ogromne biurko były widowym dowodem ambicji, które pchały Arnicza ku nowym wyzwaniom. Jednak ostatni rok zamiast spodziewanych sukcesów przyniósł wydawnictwu poważne straty. Spłata kredytu zaciągniętego na wybudowanie własnej drukarni pochłaniała niemałą część wpływów. Same wpływy zaś niepokojąco malały. Książka Gorczyca, w której wznowienie Arnicz zaangażował spory kapitał, sprzedawała się kiepsko. Luksusowa seria „Nobliści XX wieku” okazała się handlowym niewypałem. Oficyna potrzebowała pieniędzy. Jedynym ratunkiem było wydanie trafionego tytułu. Taką możliwość stwarzało zbliżające się rozstrzygnięcie piątej edycji Nagrody Literackiej im. Sztiglera. Było tajemnicą poliszynela, że największe szanse na jej zdobycie mają Starnicki i Wilniak. Niestety, Arnicz nie zapewnił sobie praw do żadnej z dwóch faworyzowanych książek. Miał za to prawa do kilku wcześniej wydanych utworów obu pretendentów. Powziął zatem następującą myśl: przygotuje posiadane tytuły do wznowienia, tak by w kilka dni po ogłoszeniu nazwiska laureata pierwsza partia egzemplarzy trafiła do księgarń. Dla wydawnictwa z własną drukarnią wypuszczenie kilkunastotysięcznego nakładu w kilka dni nie stanowiło problemu. Pozostawało tylko odpowiedzieć na pytanie, kogo wybrać: Starnickiego czy Wilniaka? Pytanie najistotniejsze, jako że od prawidłowej odpowiedzi zależało powodzenie całego przedsięwzięcia. I tu właśnie zaczynała się rola Fajbusiewicza. Na zmianę z trzema innymi pracownikami redakcji miał śledzić profesora Brzóske, który jako przewodniczący kapituły Nagrody im. Sztiglera mógł mieć w kwestii ostatecznego wyboru decydujący głos. Arnicz nie użył słowa „śledzić”,



niemniej cała rzecz właśnie do tego się sprowadzała. Fajbusiewicz i jego koledzy nie mieli wprawy w pracy detektywistycznej, ale też rozkojarzony naukowiec nie wydawał się trudnym obiektem do śledzenia. Wystarczyło mieć oczy i uszy otwarte. Tak w każdym razie uważał Arnicz.

Im bliżej biurka, tym bardziej Fajbusiewicz tracił pewność siebie. Nie będzie mu łatwo wytłumaczyć, dlaczego wraca przed końcem swojej zmiany. Zdobył się na odwagę i położył na biurku egzemplarz „Olsensis”.

- Chyba coś mamy.

Arnicz zaczął przerzucać kartki. Spojrzał na Fajbusiewicza.

- Co to jest? - zapytał złowieszczo uprzejmym tonem. - Organ prasowy samorządu lokalnego?

- Proszę zajrzeć na pięćdziesiątą trzecią stronę - odpowiedział szybko Fajbusiewicz.

Między działem „Warmia i Mazury zapraszają” a częścią zatytułowaną „Zasłużeni dla regionu” wciśnięto „Wiadomości kulturalne”. Połowę dziesięciostronicowego dodatku zajmowało opowiadanie *Pewnej jasnej nocy*. Autor, Julian Rotas, przedstawiony był w notce informacyjnej jako dziennikarz warszawskiej redakcji dziennika „Racja”. Arnicz przebiegł wzrokiem notkę, po czym przeczytał kilka pierwszych zdań opowiadania.

- Po co mi ta makulatura?

- Brzóska biegał od kiosku do kiosku, żeby to zdobyć. Opowiadanie Rotasa to jedyny literacki kawałek w całym numerze. Brzósce musiało na nim bardzo zależeć.

- Myślisz? - Arnicz ponownie zerknął na notkę o autorze. - Rotas. Kto to jest? Nazwisko z niczym mi się nie kojarzy. Brzóska obleciał pół Warszawy tylko po to, żeby przeczytać wypociny jakiegoś nieznanego pismaka? - Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Stałem tuż koło niego! Słyszałem, jak mamrotał do siebie: „Muszę to mieć. Z tego może się coś narodzić. To rzecz na miarę Conrada, szansa jedna na tysiąc”. I coś tam jeszcze w rodzaju: „Tego nie wolno przegapić. Literatura nie może być stratna”.

- Tak powiedział? - Arnicz ożywił się.

Kazał Fajbusiewiczowi usiąść. Wcisnął guzik interkomu i polecił sekretarce wezwać Majmańca i Kucaja. Zjawili się w dwie minuty. Józef Majmaniec był kierownikiem literackim, Wiktor Kucaj sekretarzem redakcji. Posłusznie usiedli i w milczeniu wysłuchali relacji Fajbusiewicza. Kiedy ten skończył, Arnicz popatrzył na obu przynaglająco.

- Julian Rotas. Co o nim wiecie?

Kucaj pokręcił powoli głową.

- Nie pamiętam takiego nazwiska - odparł z przekonaniem.

- Coś kojarzę. - Majmaniec zmarszczył czoło. - Dostaliśmy chyba od niego maszynopis. Tak, Julian Rotas, tytuł bodajże *Christofer*.

- Komu dałeś do czytania?

- Nikomu. Odpowiedzieliśmy odmownie.

Arnicz uniósł się w fotelu.

- Co to za zwyczaj? Podejmujesz decyzję, nawet nie rzuciwszy okiem na tekst?

- Zgodnie z pańskimi wytycznymi. Sam pan zapowiedział, że przez najbliższe dwa lata nie wydajemy żadnego debiutu. Od trzech miesięcy wszystkie propozycje odrzucamy bez czytania.

Arnicz zabębnił palcami po biurku.

- Maszynopis odesłałeś?

- Nie mamy takiego obowiązku. Zostawiłem. I nawet połowę przeczytałem. Nieźle.

- Możesz powiedzieć coś więcej?

- Dobry styl, swobodna narracja, ciekawa i dobrze opowiedziana historia. Właściwie trudno się do czegoś przyczepić. W normalnej sytuacji rekomendowałbym do wydania.

- Masz na niego namiary?

- Można zadzwonić do gazety, w której pracuje - przypomniał Fajbusiewicz.

- Słusznie. - Arnicz wybrał numer działu kultury „Racji”. Uruchomił odsłuch. Kiedy odezwała się sekretarka, poprosił do telefonu Gibałę i po krótkim „Dzień dobry” przystąpił do rzeczy: - Słuchaj, Wiesiek, pracuje tam u was Julian Rotas. Jest dzisiaj w redakcji?

- Rotas? - Chwila milczenia, a potem urażony ton: - Owszem, jest taki, ale nie w kulturze. W dziale miejskim. Spróbuj przez centralę.

Kiedy Arnicz, tym razem z pomocą sekretarki, dotarł wreszcie do Rotasa, czekała go kolejna niespodzianka.

- Tak, wysłałem do państwa maszynopis - usłyszał ostrożną odpowiedź. Sądząc po tonie, Rotas był zadowolony z telefonu, ale daleki od entuzjazmu. - Kilka dni temu dostałem odpowiedź odmowną.

- Widocznie sekretarz redakcji się pospieszył. Przepraszam za całe to zamieszanie. Ale przechodzę do rzeczy. Właśnie trafiła do mnie pańska powieść, już po końcowych recenzjach. Być może będziemy zainteresowani jej wydaniem. Moglibyśmy się umówić na rozmowę?

- Państwa zainteresowanie mi pochlebia. Natomiast co do strony formalnej, nie mogę działać bez wiedzy mojego agenta literackiego.

Arnicz zaniemówił. Popatrzył zbaraniałym wzrokiem na zgromadzonych w gabinecie. Majmaniec rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Kto pana reprezentuje? - spytał Arnicz, poluzowując krawat.

- Henryk Stockenhausen.

- Szef TeNeT-u?

- Zgadza się. Dać panu numer?

- Nie trzeba, mam jego wizytówkę - odparł i po chwili dodał: - Dobrze, skontaktuję się z nim w najbliższych dniach. - Odłożył słuchawkę. Wziął głęboki wdech. - Niech mnie diabli! - zawołał podekscytowany. - To może być to! Stockenhausen nie bierze się do niepewnych interesów. Jeżeli przyjął Rotasa do swojej stajni, to facet musi być tego wart! - Wcisnął guzik interkomu i polecił sekretarce: - Proszę cztery szklaneczki i butelkę Jim Beana. - Zaczął szybko notować w kalendarzu, komentując głośno: - Trzeba skserować maszynopis. W pięciu egzemplarzach. Oryginał i dwie kopie trzymamy, pozostałe dajemy do czytania i redakcji. Wiktor, wybierz najlepszych redaktorów - polecił Kucajowi. - Odpowiadasz za cały projekt. Macie na wszystko tydzień. Spróbuję jeszcze dzisiaj skontaktować się ze Stockenhausenem. Musimy się spieszyć, żeby nas ktoś nie ubiegł.

\* \* \*

Julian Rotas nie pojawił się w redakcji Oficyny Wydawniczej Domino. Zarówno na rozmowach wstępnych, jak i przy ustalaniu szczegółów umowy reprezentował go Henryk Stockenhausen. On też przedstawił mu gotową już umowę, zgodnie z którą autor zachowywał wszystkie prawa do dzieła, włącznie z prawami pokrewnymi. Stosowny zapis gwarantował Rotasowi dwunastoprocentowy udział w obrotach, co w przypadku utworu debiutanta było prawdziwą rzadkością. Julian był zbyt oszołomiony tempem wydarzeń, by móc w pełni docenić negocjacyjne umiejętności Stockenhausena. Od pierwszej wizyty w siedzibie TeNeT-u do podpisania umowy z Dominem upłynęły zaledwie trzy dni. Nie sposób było objąć wszystkiego rozumem. Ktoś taki jak Stockenhausen okazywał się w takich sytuacjach niezastąpiony.

Podobnego zdania był Stanisław Arnicz. Powód do zadowolenia upatrywał nie tylko w tym, że udział Stockenhausena w lansowaniu nowego autora dobrze wróżył całemu przedsięwzięciu. Cieszyło go coś jeszcze. Kiedy podzielił się z szefem TeNeT-u wątpliwościami, czy wydawać Wilniaka czy Starnickiego, ten odpowiedział krótko: „Starnickiego. Tegoroczny Sztigler właśnie jemu przypadnie”. Mówił to z taką pewnością siebie, że Arnicz przestał się wahać. Stockenhausen miał dar przekonywania. Oraz długą listę sukcesów na swoim koncie. Komuś takiemu jak on można zaufać w ciemno.

## Rozdział 9

### Białe kości a nieśmiertelność

Julian, zgodnie z radą Stockenhausena, grał przed Arniczem chłodno kalkulującego profesjonalistę, ale w środku aż kipiał z podniecenia. Miał przykazane, by w pracy też o niczym nie rozpowiadać. Utrzymanie wszystkiego w tajemnicy okazało się niezwykle trudnym zadaniem. Musiał podzielić się z kimś radością.

Babcia Janina na wieść o podpisanej umowie pokiwała melancholijnie głową, bąknęła: „Czy to aby porządna książka?” i podjęła przerwana Litanię do Najświętszego Serca Pana Jezusa. Zadzwoił do Zachęty, żeby porozmawiać z Heleną. Odezwała się automatyczna sekretarka. Nagrał wiadomość, ale nie doczekał się odpowiedzi. Nazajutrz ponowił telefon. Helena nie oddzwoniła. Może chciała go w ten sposób ukarać za to, że przez trzy dni, które upłynęły od ich spotkania, ani razu się nie odezwał? W duchu przyznawał jej rację. Rozgrzeszenia szukał w tym, że oszołomiony tempem wydarzeń, stracił poczucie czasu. Świat jakby poruszał się szybciej, niemożliwe stawało się możliwe. Musiał tylko bez zadawania pytań zaakceptować logikę tego, co się działo.

Postanowił, że w przerwie na lunch pojedzie do Zachęty i porozmawia z Heleną. Sekretarce oznajmił, że będzie robił materiał i może wrócić nieco później. Ledwie wysiedział w pracy do pierwszej. Zamówił taksówkę i kazał się wieźć do Zachęty. Na Szpitalnej wpakowali się w gigantyczny korek. Pożałował, że wziął taksówkę. Na domiar złego przy placu Powstańców ruch był zamknięty z powodu wypadku. Wysiadł i resztę drogi postanowił odbyć pieszo. Kiedy skręcił z Mazowieckiej w Kredytową, naszła go myśl, że skoro trafił tutaj, może powinien najpierw zajrzeć do Starnickiego.

\*

Drzwi otworzyła mu żona Starnickiego. Nigdy jeszcze pani Ludmiły takiej nie widział: ani śladu makijażu, długie siwe włosy związane recepturką, worki pod oczami od niewyspania. Spod kusego szlafroka wystawały chude białe łydki poprzecinane fioletowymi siatkami żyłaków.

- Więc już pan wie? - odezwała się pierwsza. Nie czekając na odpowiedź, poprowadziła go do pokoju gościnnego i kazała poczekać.

Rozejrzał się niepewnie. Zwiędłe kwiaty na stole, na podłodze przy kuchennych

drzwiach wysoki plik gazet. Na oparciu krzesła niedbale rzucone bluzka i rajstopy. Od jego ostatniej wizyty przed ponad miesiącem wiele się zmieniło.

- Niech pan wejdzie. - Ludmiła wysunęła się z sypialni i zostawiła drzwi uchylone. Podszedł z wahaniem. Złapała go za rękę. - Tylko proszę z mężem za długo nie rozmawiać. Mówienie bardzo go męczy.

Kiedy wszedł, Starnicki mozolił się jeszcze ze sztuczną szczęką. Umocował ją wreszcie w ustach. Położył chude, żyłaste dłonie na kołdrę. Odpoczywał, oddychając ze świstem. Głowę opierał na dwóch grubych poduszkach.

- Kazałem zasłonić okno - wychrypiał. - Chyba ci to nie przeszkadza...

Mimo półmroku widać było, jakie spustoszenie poczyniła choroba przez kilka ostatnich tygodni. Starnicki miał zapadnięte oczy, nos mu się wyostrzył, kości policzkowe opinała cienka, żółta skóra. Jeszcze pięć tygodni wcześniej sam wychodził na krótkie spacer, a popołudnia spędzał na pisaniu przy biurku. Kiedy przed dwoma laty zachorował na raka prostaty, zapowiedział, że łatwo się nie podda. Szpitale, kuracje, leki. Teraz walka zbliżała się ku końcowi.

- W samą porę się zjawileś. - Zakasłał. Palcem wskazał Julianowi krzesło przy łóżku. Rotas posłusznie zajął miejsce. - Jeszcze parę dni i byłoby za późno... Julian poprawił się na krześle.

- Ależ panie Bolesławie, na pewno pan z tego wyjdzie! - powiedział nienaturalnie głośno.

Starnicki spróbował się uśmiechnąć.

- Ja już przegrałem, mój chłopcze. Źle rozłożyłem siły. Walczyłem z rakiem, a umieram na serce. Kiepski ze mnie strateg.

Zakrztusił się śliną. Rotas przytrzymał mu głowę. Chwycił ze stolika szklaneczkę z wodą i przystawił do ust chorego. Ten zwilżył wargi, podziękował ruchem powiek i opadł na poduszki. Podjął urywanym szeptem:

- Gdy miałem pięć lat, wpadłem do studni. Podrapałem sobie tylko kolana. W Hawanie zawalił się hotel, w którym mieszkałem, ale moje piętro ocalało. - Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. - Na Jawie cudem uszedłem z życiem z trzęsienia ziemi. Nasza awionetka zdążyła wzbic się w powietrze, a zaraz potem w miejscu, gdzie był pas startowy, powstała ogromna rozpadlina. Zawsze miałem szczęście. Ale śmierci nie uciekniesz. Mógłbyś zamknąć drzwi?

Dopiero teraz Julian zauważył, że pani Ludmiła zostawiła drzwi uchylone. Kiedy je domykał, wydało mu się, że widzi jej przesuwający się szybko cień.

- Nie to, żebym się skarżył - podjął cicho Starnicki. - W końcu umieram we własnym łóżku. - Wykręcając głowę, zerknął w stronę drzwi, po czym dał mu ręką znak, by się przybliżył. Rotas przysunął się z krzesłem. - Wiesz, czego się boję? Rozkładu. Tego całego gnicia, smrodu. Zawsze przykładalem wagę do porządku. Na biurku utrzymywałem idealny ład: równo ułożony plik kartek, przycisk do papieru tuż przy terminarzu, długopisy w marmurowych podstawkach, w szufladach chronologicznie ułożone notesy z zapiskami... Porządek i czystość. A teraz będę się rozpadał. Kawalek po kawałku...

Julian czuł, że musi coś powiedzieć. Milczeć w takiej chwili nie wypadało.

- Zawsze pan wierzył, że to nie koniec - zaczął ostrożnie. - Jak pan to pięknie ujął w *Tęczowych drogowskazach*, śmierć to przejście na drugą stronę. Spotkanie z Bogiem.

- A, tak, Bóg - mruknął Starnicki. Nagle się ożywił. - Wiesz, co mi w takich chwilach pomaga? Myśl o raj. Nie, nie tym biblijnym. Mam własny raj, przeze mnie wymyślony. No więc tak sobie myślę, że kiedy z człowieka zostają same kości, to jakby rodził się na nowo. Takie swoiste zmartwychwstanie. Co miało odpaść, odpadło, robaki wyjadły resztę, piasek i woda wypolerowały kości. Wyobraź sobie taką czaszkę. Gładka, czysta... mógłbyś ją wziąć do ręki i podziwiać niczym dzieło sztuki. Albo postawić na półce nad biurkiem. Przeciągniesz palcem po nieskazitelnie gładkiej potylicy, bez obrzydzenia dotkniesz oczodołu. Gdy wszystko, co zostaje z ciebie, to czysty szkielet, rodzisz się do nieśmiertelności. Białe kości jak biała szata oblubieńca. - Starnicki przymknął oczy. Prawie się uśmiechał. - Wyobrażam sobie, że wszystkich ich tam spotkam. Leonarda, Petrarke, Bruegla, Bacona, Michała Anioła, Boscha, Chaucera, Homera, Rembrandta, Hemingwaya... Chociaż nie, zawsze wołałem pisarstwo Faulknera.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i Starnicka wkroczyła do sypialni.

- Panie Julianie - powiedziała z wyrzutem, poprawiając mężowi poduszki - pora na zastrzyk.

- Już wychodzę. - Rotas poderwał się z krzesła.

Starnicki powstrzymał go słabym ruchem ręki.

- Jeszcze chwila, skarbie - poprosił żonę.

Niezadowolona wycofała się z pokoju. Drzwi zostawiła uchylone.

- Chodzi koło mnie jak kwoka koło jajek. - Pisarz uśmiechnął się z rozrzewnieniem. - Wiesz dlaczego? Bo nigdy nie zwątpiła, że ją kocham. Dam ci dobrą radę. Jeśli żona przyłapie cię kiedyś na zdradzie, nigdy się nie przyznawaj. Choćby nawet widziała na własne oczy, że leżysz na gołej babie, ty wszystkiemu zaprzeczaj. Uwierzy ci. One chcą wierzyć. Chcą wiedzieć, że są jedyne.

Julian zerknął niespokojnie w kierunku otwartych drzwi. Starnicki zaśmiał się. Chichotał jak małe dziecko.

- Żartowałem - wykrztusił. - Mówiłem do ciebie tekstem literackim. Dalesz się nabrać? Rotas niechętnie skinął głową.

- O to właśnie chodzi - ciągnął Starnicki. - Sztuka to gra na uczuciach. Nie inaczej jest z literaturą. Odzwierciedlanie rzeczywistości wypada blado, nie przekonuje. Żeby fikcja nabrała cech realizmu, trzeba ją ubarwić, zastosować mistyfikację. Dopiero wtedy jest wiarygodna. Powiedz, wspominałeś coś komuś o swoich opowiadaniach?

- Oczywiście, że nie! Tak jak się umawialiśmy...

- Sam więc widzisz. Mistyfikacja. Dlatego dali się nabrać...

Starnicki najwyraźniej zaczął odczuwać trudy rozmowy. Powieki mu się kleiły. Przymknął oczy. Oddech miał teraz krótki i urywany. Usta rozdziawił, chrapnął dwa razy, zatrzepotał powiekami, ale oczu nie otworzył. Po chwili oddech mu się uspokoił. Julian odczekał, wstał i wyszedł jak najciszej. Pani Ludmiła siedziała w pokoju gościnnym przy owalnym stole, tyłem do drzwi sypialni; przed sobą miała plik listów. Płakała cicho. Rotas przemknął na palcach do przedpokoju. Kiedy znalazł się na korytarzu, zbiegł szybko po schodach. Wciąż miał przed oczami zmienioną przez chorobę twarz Starnickiego. Zły znak. Cała ta wizyta to zły omen. Przyniosła efekt odwrotny do zamierzonego. Szedł do Starnickich, by podzielić się dobrą nowiną, a wychodzi pełen najgorszych przeczuc. Tak już widać musi być. Gdy los jedną ręką darowuje hojny prezent, to drugą wyciąga po zapłatę.

Powietrze na ulicy było ciężkie od spalin. Na wysokości hotelu Victoria kupił u ulicznej kwiaciarki bukiet róż i już nie zwlekając, skierował się do Zachęty.

W holu szkolna wycieczka szykowała się do zwiedzania. Zdążył minąć schody, kiedy usłyszał za sobą szybkie kroki.

- Pan do kogo?

Strażnik lustrował go, zastanawiając się zapewne, jaki ton powinien przybrać. Zanim Julian zdążył odpowiedzieć, na schodach ukazał się krępy mężczyzna w grubych szklach krótkowidza. Strażnik wyprężył się słuźbiście. Rotas rozpoznał dyrektora Zachęty. Droński spojrzał przelotnie na Juliana i już miał go minąć, kiedy w jego oczach pojawił się błysk. Z uśmiechem wyciągnął rękę.

- Pan Rotas, prawda? Robił pan dla nas katalog? Tak, pamiętam pana z tego incydentu z Hornikiem. Pan do mnie?

- Właściwie do pańskiej asystentki.

- Aha. Pokój czternaście, w głębi korytarza. Z tym że obowiązki Heleny Saafjan

przejęła tymczasowo pani Domańska.

- Coś się stało?

Dyrektor przyjrzał mu się bacznie. Spozstrzegł róże, które Julian próbował ukryć za plecami.

- Ale pan chyba w prywatnej sprawie. Helena już u nas nie pracuje. Od dawna starała się o posadę w Instytucie Kultury Polskiej w Nowym Jorku. Trzy dni temu dostała wiadomość, że zwolniło się tam miejsce. Ktoś miał wypadek czy coś takiego. Z tego, co wiem, wczoraj wyjechała do Ameryki, żeby omówić resztę szczegółów.

Julian zdobył się tylko na zdawkowe „Do widzenia” i wyszedł. Zachmurzyło się, mimo to postanowił wrócić do redakcji pieszo. W tłumie pozostawał anonimowy i nie musiał z nikim rozmawiać. Wybrał okreśną drogę przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat. Właśnie mijał kościół Świętego Krzyża, kiedy przypomniał sobie o różach. Zaczynało już kropić. Wbiegł po schodach, pchnął drzwi świątyni i znalazł się w przedsionku. Miał wejść dalej, jednak po namyśle zostawił kwiaty w kruchcie. Zanim dotarł do pracy, był przemoczony do suchej nitki. Próbował przejść cichaczem do swojego pokoju, ale na korytarzu natknął się na Chłuszczka, kierownika działu miejskiego. Chłuszczek rozmawiał z Gibalą z redakcji działu kultury. Na jego widok obaj zamilkli. Ledwie uszedł trzy kroki, dogonił go głos Chłuszczka:

- Jeśli zjedzenie obiadu zajmuje panu dwie godziny, to radziłbym korzystać z tutejszej stołówki.

Julian spojrział na zegarek: dochodziła trzecia. Nie miał ochoty na dyskusje. Zwłaszcza dzisiaj. Zmusił się do przeproszającego uśmiechu.

- Musiałem załatwić parę spraw na mieście. Posiedzę za to dłużej.

Chłuszczek spojrział znacząco na Gibalę.

- Może zrobimy inaczej - zaczął sztucznie uprzejmym tonem. - Jeżeli ma pan ciekawsze propozycje pracy, to droga wolna. Nikt tu pana nie będzie na siłę zatrzymywał.

Julian zdusił w sobie odpowiedź i zaszył się w swoim pokoiku. Niedługo cieszył się spokojem. Weszła sekretarka i zaczęła wydziwiał, że w takim stanie gotów się przeziębic. Dał się namówić na szklankę gorącej herbaty i tabletkę aspiryny, po czym zabrał się do pracy. Do dziewiętnastej uporał się ze wszystkim, ale nabawił się bólu głowy. Do domu wrócił taksówką. Ledwie przekroczył próg mieszkania, ból głowy się nasilił. Do tego doszło kołatanie serca. Otworzył na oścież okno w jadalni i stał przy nim przez chwilę, oddychając głęboko. Pewnie to wszystko z powodu wiosennego przesilenia i ostatnich emocji. Ponadto jeszcze ten niespodziewany wyjazd Heleny. Wyjazd? A może raczej ucieczka?



Drzwi do pokoiku babki jak zwykle były uchylone. Wyczekiwała zapewne jego przyjścia, bo kiedy odszedł od okna i zapalił światło, zawołała:

- Przyjęłam dziś księdza. Zostawił ci na stole kopertę z zaproszeniem.

W kopercie znalazł obrazek „Jezu, ufam Tobie!” wraz z zaproszeniem na spotkanie w duszpasterstwie środowisk twórczych. Włożył wszystko z powrotem do koperty i schował do ostatniej szuflady sekretarzyka. Kiedy się odwrócił, nad drzwiami do przedpokoju zobaczył drewniany krucyfiks. Przyjrzał mu się z bliska. Sam krzyż, niewiele większy od męskiej dłoni, był czarny jak heban, natomiast figurę Chrystusa zrobiono z czerwobrunatnego drewna poprzecinanego jasnoczerwonymi żyłkami. Zapukał do pokoiku babki. Dokończyła zawodzącym głosem „Któryś za nas cierpiał rany, Jezu Chryste zmiłuj się nad nami!”

- Chciałeś coś? - spytała niecierpliwie.

Leżała w łóżku przy zgaszonych światłach. Obok obrazu Świętej Rodziny paliła się czerwona lampka.

- Ten nowy krzyż też od księdza? - zapytał, siląc się na obojętny ton.

- Atak. Milenijny, z Ziemi Świętej. Sam papież go poświęcił. Kazałam powiesić u ciebie, bo tam przecież żadnego krzyżyka nie ma.

Udał, że nie słyszy pretensji w jej głosie. Życzył jej dobrej nocy i zamknął drzwi. Zrobił dwie grzanki, ale wmusił w siebie jedną. Chwyciły go dreszcze. Tego tylko brakowało! Pewnie się przeziębił. Umył się szybko i zmierzył temperaturę: prawie trzydzieści dziewięć. Wziął pyralginę i położył się do łóżka. W nocy budził się kilka razy, ale rano wstał bez gorączki. Dla pewności zaaplikował sobie dwie polopiryny. Czuł się względnie dobrze. Nawet łupanie w głowie zniknęło bez śladu. Pojawiło się za to dokuczliwe swędzenie pod lewą łopatką. Obejrzał się w lustrze: nic wielkiego, zwykle zaczerwienienie. Może zjadł coś, na co jest uczulony? Ubrał się i poszedł do pracy.

W redakcji zajął się tekstem i zapomniał o uczuleniu. Po godzinie swędzenie wróciło ze zdwojoną siłą. Drapanie nie pomagało. Sekretarka dała mu do wypicia wapno, ale i to nie przyniosło ulgi. Poszedł do toalety, ściągnął koszulę i obejrzał w lustrze plecy. Zaczerwienienie skupiło się pod łopatką i było teraz dużo wyraźniejsze: nieregularne cienkie pasy, jakby pręgi od uderzenia różgą. Może to półpasiec? Tak podobno się zaczyna. Ostatnio lekarze mówili o nowej fali zachorowań. Przestrzegali przed lekceważeniem objawów, bo groziło to poważnymi komplikacjami. Nie czekał do końca pracy. Urwał się przed piątą i poszedł do spółdzielni lekarskiej na Ordynackiej.

Dermatolog obejrzał go ze wszystkich stron i dokładnie zbadał.

- Półpasiec wykluczam - orzekł zdecydowanie.

- Jest pan pewny?
- Odczuwa pan przy tym nadwrażliwość skóry?
- To znaczy?
- Coś jakby przypalano panu skórę.
- Aż tak to nie. Nazwałbym to raczej swędzeniem.

- Wygląda mi to na rodzaj alergii, choć podłoża nie potrafię w tej chwili ustalić. Wie pan, czasem tak się objawia reakcja na stres. Może ostatnio doznał pan jakichś silnych wzruszeń? Proszę sobie przypomnieć. W każdym razie to nic groźnego. Zrobmy tak: zapiszę wapno i maść. Gdyby to nie pomogło, proszę się pokazać za tydzień.

Być może słowa lekarza podziałały jak placebo, bo już w drodze do domu Julian czuł, że nieміłe doznanie w okolicach łopatki zaczyna ustępować. W domu dla pewności łyknął jeszcze jedno rozpuszczalne wapno. Do wieczora zapomniał o swędzeniu. Przypomniał sobie o nim dopiero wtedy, kiedy poszedł do łazienki wziąć prysznic. Jak zawsze przy myciu zębów obejrzał się w lustrze. Zamarł ze szczoteczką w ustach: na plecach, tuż pod lewą łopatką, widniały sinoczerwone pręgi, które układały się w znak przypominający cyfrę 4. Pomacał to miejsce palcem. Miał wrażenie, że dotyka grubej blizny. Uszczypnął się. Wbił w bliznę paznokieć. Nic nie poczuł, zupełnie jakby dotykał obcego ciała.

## Rozdział 10

# Wyrywanie sztuki z utartych kolein albo sztuka pociągania za sznurki

Okna na dwudziestym piętrze apartamentowca przy Elektoralej wychodziły na Ogród Saski. Rozległa panorama obejmowała plac Piłsudskiego i Teatr Wielki, część Starego Miasta oraz spory fragment prawobrzeżnej Warszawy. W pogodny dzień można było dojrzeć kajaki na wodzie i sylwetki samochodów przemykających mostami na drugą stronę rzeki. Miasto oglądane z tej wysokości stawało się mniej rzeczywiste, przypominało krajobraz wymalowany na olbrzymim płótnie.

Witold Hornik dopalił papierosa. Przechylił się ostrożnie nad balustradą łodzi, wycelował i cisnął niedopałek na balkon piętro niżej. Wrócił do salonu. Pokój wysłany grubym, białym dywanem był niemal pusty, jeśli nie liczyć zestawu kina domowego i czterech olbrzymich, skórzano-aluminiowych foteli, które otaczały niski stolik ze szklanym blatem. Hornik wszedł do przestronnego holu, minął obwieszoną obrazami pracownię i z narożnego stolika zabrał plik gazet. Zaszył się w łazience wyłożonej białym marmurem i czarnymi kafelkami. Przyciskiem pilota uruchomił zestaw grający ukryty w specjalnie wykutych wnękach. Kiedy z głośników popłynął głos Pavarottiego śpiewającego partię w *Carmen*, Hornik ściągnął spodnie i usiadł na sedesie w kształcie muszli, inkrustowanym z zewnątrz masą perłową.

Znowu to cholerne zaparcie! Konował Biernacki miał rację. Trzeba jeść więcej warzyw. Zgięty wpół na muszli napiął się, pomógł sobie stęknięciem. Ulżyło. Sięgnął po gazety. W „Nowinach” duży tytuł wybity czerwoną czcionką głosił: *Hornik przekracza nowe rubieże sztuki*. „Echo Warszawy” już na pierwszej stronie zapowiadało obszerny artykuł w środku numeru, zatytułowany *Triumfalny powrót Mistrza*. Odłożył obie i wziął do ręki „Rację”. Na stronie piątej były dwie kolumny poświęcone wystawie oraz recenzja pióra Gibały. Wszystkie teksty znał już niemal na pamięć, ale czytanie ich sprawiało mu przyjemność. W tekście Gibały, któremu autor dał krótki tytuł *Świat w Zachęcie*, odszukał fragment, który najbardziej przypadł mu do gustu. Przeczytał półgłosem: „W swej ostatniej ekspozycji Hornik prezentuje dzieła na wskroś oryginalne, koncepcyjnie bardzo dojrzałe, o

wysublimowanym, mocno naznaczonym symbolizmem artystycznym. W *Trójugwożdżeniu* przedstawił cały bogaty kosmos idei, pragnień, wyborów i szaleńczych porywów, które od wieków wyznaczają cywilizacyjną drogę ludzkości w jej zmaganiach z definiowaniem koncepcji Boga. To, że Warszawa nie jest już artystycznym zaściankiem Europy, jest w dużej mierze zasługą Witolda Hornika. Żeby obcować z ponadczasową Sztuką, nie trzeba dziś zwiedzać sal wystawowych Museum of Modern Art czy Luwru. Wystarczy wybrać się do Zachęty”.

Hornik dorzucił gazetę do pozostałych. Posiedział jeszcze chwilę na sedesie, podtarł się i wstał. Machinalnie uruchomił spłuczkę i podciągając spodnie, patrzył obojętnie, jak szybki wir porywa ekskrementy. Na dnie śnieżnobiałej muszli pozostała czysta woda. W tym momencie Hornik doznał owego specyficznego uczucia, które sam nazywał iluminacją. Patrzył na dno sedesu i przez głowę szybko przebiegały mu myśli. Pozapinawszy w pośpiechu guziki spodni, pobiegł prosto do pracowni, chwycił ze stołu dyktafon i zaczął mówić do mikrofonu, połykając z przejścia głoski:

- Sedes-kał-woda, spłukiwanie sedesu, oczyszczanie życia. Symbolika: kał - brudy świata, woda - oczyszczająca sztuka...

Odłożył dyktafon i wziął czysty arkusz papieru. Próbował naszkicować pomysł, był jednak zbyt podekscytowany, by zmusić się do myślenia o szczegółach. Odsunął czystą kartkę, chwycił słuchawkę bezprzewodowego telefonu i wystukał numer. Długo nikt nie odbierał. Zaczynał się już niecierpliwić, kiedy nareszcie usłyszał znany sobie głos:

- Stockenhausen, słucham.

- O, jesteś! Tu Witold. Wpadł mi do głowy pomysł na nowy projekt! Musiałem od razu do ciebie zadzwonić...

- Prawdę powiedziawszy, nie trafiłeś na odpowiednią chwilę.

- Zajmę ci tylko dwie minuty!

- Mów.

- To będzie wielka szklana instalacja! Cała sala ekspozycyjna wypełniona systemem połączonych rur ze szkła. Jeden koniec wybiega ze szklanej muszli klozetowej, drugi łączy się z przezroczystym zbiornikiem. W warstwie dosłownej ma to być wyobrażenie drogi, jaką odbywają ludzkie ekskrementy z sedesu przez kolejne etapy uzdatniania wody. W ujęciu symbolicznym to paralela świata i człowieka zarazem: ścieki jako transparentny obraz wszechobecnych sieci oplatających świat, a zarazem przedstawienie krwioobiegu człowieka. I tu, i tam, w zgodzie z odwiecznym rytmem natury, przepływają i podlegają procesowi oczyszczania organiczne brudy. To zaś, co zostaje, wpada do czystego źródła, czyli życia i

sztuki. Sztuka oczyszczona z kału kabotynizmu i bigoterii, czysta jak źródłana woda. Pomyśl, można by to nawet wpasować w nurt ekologiczny. No oczywiście, że też od razu o tym nie pomyślałem! Mnogość interpretacji, wieloznaczność aluzji i symboli, zagmatwanie archetypowych znaczeń...

- Wiesz co? Porozmawiajmy o tym jutro. Do tego czasu może trochę ochłoniesz.

- Ochłonę? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mnie się to nie podoba.

Hornik przysiadł na krawędzi stołu.

- Ale co konkretnie? Szczegóły można dopracować.

- Mówię o całym projekcie. Chcesz posunąć się za daleko.

- I ty to mówisz? A gdzie twoja awangardowość, gdzie opowiadanie się za postępem?

- To żadna awangardowość. Wszystko to już było. Obrazy ze zwierzęcych odchodów, happeningi ze stawianiem kupy w galeriach. Nie proponujesz nic nowego.

- Ale moja koncepcja prezentuje zupełnie nowe podejście!

- Nie aprobuję koncepcji, które wprowadzają kał na sale wystawowe.

- Mam rozumieć, że mi nie pomożesz?

- Rozczarowałeś mnie, Witoldzie. Cofasz się. Dla artysty to początek końca.

- Grozisz mi?

- Mówię tylko, że nie poprę pomysłu tej absurdalnej instalacji.

- Nie zapominaj, że miałeś mi zawsze służyć pomocą.

- Owszem, ale na warunkach objętych umową.

- Czyli nie? - Hornik patrzył na czarno-białe fotogramy przedstawiające jego milenijną ekspozycję *Rzeźboprzestrzeń* w nowojorskim Central Parku. W głowie świtła mu myśl, której przedtem nawet by do siebie nie dopuścił. Uśmiechnął się. - Dobrze. Sam się wszystkim zajmę.

Stockenhausen zaśmiał się.

- Nawet nie wiesz, na co się porywasz.

- Dam sobie radę. Mam wyrobione nazwisko i zajmuję niekwestionowaną pozycję na rynku sztuki. Każda galeria przyjmie mnie dzisiaj z otwartymi rękami.

- Zapominasz, kto pociąga za sznurki.

- Nie zapominam. Ale Witold Hornik nie jest już nikim. Nawet ty powinieneś zrozumieć, że pewne sprawy zaszły za daleko. Stałem się instytucją. Autorytetem. Taka jest prawda i musisz się z tym pogodzić...

Usłyszał trzask w słuchawce. Odczekał trochę, ale nadal panowała w niej cisza. Na

chwilę uległ panice. W pierwszym odruchu chciał pobiec, wszystko odkręcić, przeprosić. Jednak w miarę upływu czasu nabierał pewności, że postąpił właściwie. Czuł się w pełni dojrzałym artystą. Był jak płód, który dojrzał do porodu. Najwyższy czas przerwać krępującą go pępowinę.

\* \* \*

Profesor Brzóska nie mógł wiedzieć, że rozmowa Hornika ze Stockenhausenem dotyczyła również jego. Dotyczyła w sposób bardzo pośredni, niemniej znamieny dla przyszłych wydarzeń, szczególnie brzemienny zaś dla samego profesora. Literaturoznawca daleki był od jakichkolwiek podejrzeń choćby z tego powodu, że żadna z dwóch wymienionych osób nie była mu znana. I choć niewiedza nie może stanowić parawanu dla popełnianych błędów, zasady tej nie należy odnosić w tym konkretnym przypadku do Henryka Brzóska. Albowiem w sprawę były zaangażowane siły znacznie od niego potężniejsze.

Nie dziwny się zatem, że tego majowego popołudnia krzątał się po kuchni w pogodnym nastroju. Trudno powiedzieć, co cieszyło go bardziej: perspektywa kolejnej wizyty Zofii Sareckiej czy zapowiedź, że gość przywiezie wileńskie wydanie *Lorda Jima* z autografem autora, które było ozdobą bibliofilskiej kolekcji, jaką pani Zofia odziedziczyła po ojcu. Profesor zjadł z apetytem smażone jajka, popił herbatą, a następnie poszedł wypuścić Zuzię z klatki. Upewnił się uprzednio, że wszystkie okna w salonie, włącznie z balkonowym lufcikiem, są pozamykane. Zuzia usiadła mu na ramieniu, potem pofrunęła na stół, ze stołu na szafę. Zabrał się do sprzątania klatki. Kiedy wrócił z kuchni ze świeżą wodą, poczuł na twarzy lekki podmuch. Lufcik przy oknie balkonowym był otwarty! W tej samej chwili zobaczył Zuzię: siedziała na krawędzi rusztowania przylegającego do boku balkonu. Brzóska w kilka sekund znalazł się na balkonie. Wyciągnął powoli rękę i zaczął przywoływać kanarka.

Zuzia potrząsnęła łebkiem, nastroszyła piórka. Najwyraźniej przerażona nowym otoczeniem, bała się poruszyć. Przytrzymując się prawą ręką balustrady, profesor wychylił się z balkonu. Powoli wyciągnął wolną rękę, nie przestając przywoływać kanarka. Nagle stracił równowagę. Usiłował jeszcze złapać się rusztowania. Przeleciał przez balkon, uderzył bokiem o rusztowanie i runął ku chodnikowi. Był coraz bliżej spotkania z Conradem.

## Rozdział 11

### Mnożą się znaki, ale nie każdy potrafi je odczytać

Śmierć profesora Brzóska przyszła zupełnie nie w porę. Z drugiej strony trudno twierdzić, że zdarzenia tego rodzaju są wyczekiwane. Jako że śmierci obce jest poczucie przyzwoitości i za nic ma ludzkie miary czasu, sam fakt jej krępującej obecności należałoby uznać przynajmniej za towarzyskie *faux pas*. W tej kwestii najmniej mają do powiedzenia osoby z natury rzeczy najbardziej zainteresowane - ale też zdanie nieboszczyków nikogo nie obchodzi. Sami więc odnotujmy dla porządku, że nagłe odejście profesora zasmuciło spore grono osób. Zaliczała się do nich pani Zofia Sarecka, która utraciła w zmarłym pokrewną duszę i towarzysza literackich peregrynacji. Nad utratą profesora ubolewali także jego studenci... oraz gospoia. Ta ostatnia słusznie zapewne przypuszczała, że kolejny pracodawca może się okazać znacznie bardziej skrupulatny w kontroli domowych finansów. Prawdą jest, że sąsiedzi odnieśli się dość obojętnie do nagłego odejścia profesora; na ich usprawiedliwienie trzeba wszakże powiedzieć, że widywali go rzadko i dopiero po tygodniu zauważyli jego nieobecność. Pochopne byłoby też twierdzenie, jakoby absencja członków rodziny na pogrzebie wynikała z jakichkolwiek animozji. W rzeczywistości jedyną bliską krewną zmarłego była kuzynka z odległych Suwałk, ta zaś dowiedziała się o śmierci Brzóska dopiero przy okazji najbliższych świąt Bożego Narodzenia.

Wśród uczestników pogrzebu znalazł się natomiast Andrzej Konar, członek kapituły Nagrody Literackiej im. Sztiglera. W imieniu całej kapituły pożegnał jej przewodniczącego, podkreślając zasługi zmarłego w dziedzinie literaturoznawstwa.

Dwie godziny później otwierał kolejne zebranie kapituły.

- Jak państwo zapewne wiedzą - rozpoczął z żałobną miną - rada kapituły wyznaczyła mnie na nowego przewodniczącego. Powiem krótko: do ogłoszenia werdyktu i ceremonii wręczenia nagrody pozostały zaledwie trzy dni. To nas obliguje. Mamy dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji. - Wspierany przez redaktora Gibałę popatrzył znacząco na docent Samosiejską i Maurycego Górczycę, po czym dokończył: - Oczekuję konstruktywnej współpracy. Żadnych kłótni, przepychanek, prób wygrywania własnych ambicji. Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie wybierzemy laureata. Pani docent, proszę o protokołowanie obrad.

Zebranie zakończyło się po niespełna czterdziestu minutach. Protokół sygnowany przez wszystkich czterech członków kapituły głosił, że zwycięzcę wyłoniono jednomyślnie. Zgromadzeni poświadczili wynik głosowania własnoręcznym podpisem, zobowiązując się jednocześnie do zachowania nazwiska laureata w tajemnicy do dnia ogłoszenia werdyktu. Konar prosto z zebrania udał się do siedziby rady kapituły, wioząc w zalakowanej kopercie protokół.

W tym czasie Gibała zdążył zadzwonić do Henryka Stockenhausena, by przekazać mu pomyślną wiadomość.

\* \* \*

Julian Rotas wchodził do gabinetu lekarskiego na ugiętych nogach. Profesor Bartniak, onkolog z trzydziestoletnią praktyką, na jego widok poderwał się od biurka. Mina profesora nie wróżyła nic dobrego.

- Bardzo proszę - powiedział, sadzając Juliana na krzesło naprzeciwko. - Mam już wyniki badań cytologicznych. W zasadzie mogę pana uspokoić. Nie wykryto żadnych zmian onkologicznych.

- W zasadzie? - powtórzył Julian.

Bartniak skrzywił się. Założył okulary, jakby chciał się za nimi ukryć.

- Widzi pan - podjął z ociąganiem - wyniki są zdecydowanie negatywne. Na pewno nie mamy do czynienia z komórkami rakowymi. Chciałbym jednak oddać wycinki do ponownego przebadania.

- Coś pan jednak podejrzewa?

- Nie, nie, źle mnie pan rozumiał. Po prostu jedna rzecz mnie zastanawia. Ta pańska narośl to zupełnie świeża sprawa, prawda? Natomiast badania pobranego materiału wykazały jednoznacznie, że są to komórki wieloletnie. Nie chce mi się wierzyć, by nasi laboranci popełnili błąd przy analizie. Może zawiniła aparatura, może źle dokonano odczytu. Powtórzmy badanie. A dla pewności próbkę materiału wyślę też do współpracującego z nami szpitala klinicznego w Bostonie. Mają doskonale wyposażone laboratorium. Wyniki powinny przyjść po jakichś dwóch tygodniach. - Żegnając się z Julianem, zapewnił z przekonaniem: - Tak czy inaczej, może pan spać spokojnie. Jestem pewny na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że Boston potwierdzi nasze wyniki. Prawdę powiedziawszy, kieruje mną głównie ciekawość naukowca.

Mimo tych zapewnień Rotas wracał do domu niespokojny. A jeżeli pomyłono próbki? Stanowczo za wiele spraw zważyło mu się ostatnio na głowę! Nagły wyjazd Heleny, choroba Starnickiego, a teraz te kłopoty ze zdrowiem. Tak jakby Anioł Stróż o nim zapomniał. Mimo



woli Julian uśmiechnął się. Przez chwilę próbował sobie przypomnieć dziecięcy wierszyk, którego słowami modlił się do Anioła Stróża. Nic z tego. Pamiętał tylko dwie pierwsze linijki. Zbyt wiele czasu upłynęło, odkąd recytował go po raz ostatni.

Wysiadł z autobusu na Nowym Świecie i skręcił w Foksał. O dwudziestej panował tu niewielki ruch. Minał księgarnię PIW-u i zanim się spostrzegł, był już przy siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Kiedy przekroczył bramę prowadzącą do parku, spojrzał w stronę skrzydła pałacyku, w którym mieściła się agencja TeNeT. W gabinecie Stockenhausena paliło się światło. O mało nie uległ pokusie, by zakraść się pod któreś z okien i spróbować podejrzeć, co dzieje się w środku. Powoli zaczynało szarzeć. Poszedł alejką w prawo, potem schodami w dół skarpy i dalej, koło Klubu Bankowca. Mijał właśnie budynek, kiedy poczuł uderzenie w tył głowy. Zamroczyło go. Instynktownie skoczył do przodu i drugi cios wylądował na plecach. Ktoś chwycił go od tyłu. W tej samej chwili zza krzaków przy kolejowej skarpie wypadł drugi napastnik. Powalili Juliana i zaczęli obszukiwać mu kieszenie. Nie szarpał się i nie krzyczał, by nie prowokować ich do większej agresji. Nagle obaj niemal jednocześnie się poderwali. Zaczęli wycofywać się tyłem w stronę torów, patrząc w ten sam punkt gdzieś za plecami Rotasa. Zdążyli zrobić pięć kroków, kiedy dopadł ich ogromny pies i przewrócił na ziemię. Czarny jak smoła, o masywnym łbie zwieńczonym spiczastymi uszami, przypominał skrzyżowanie doga z mastiffem. Pochylony nad oboma mężczyznami, szarpał ich zawzięcie na przemian, nie wydając ani jednego dźwięku. Zanim Julian podniósł się i rzucił do ucieczki, psa już nie było.

## Rozdział 12

### Diabeł wychodzi z cybucha

Kit ubrał się szybko i rzucił pieniądze na łóżko. Dziewka, nie okrywając się nawet, pozbierała je i przeliczyła.

- Dorzuć jeszcze - zażądała.

- Umówiliśmy się na dwa szylingi.

- Właś we mnie tyle nasienia, że starczyłoby na trzy razy. A coś mi się widzi, że to mój płodny dzień. Jak nic będę musiała się wykosztować na miksturę doktora Mainsa.

Zaklął szpetnie, ale wydobył szylinga. Wyszedł, obiecując sobie, że następnym razem pójdzie do którejś z dziewczyn Henslowe'a. Głupia dziewczka! Nawet nie miał z nią wiele uciechy. Podczas pobytu w Szkocji tak się wypościł, że dzisiaj już po minucie igraszek w łóżku nie zdzierzył i wystrzelił. Tak, Szkocję nieprędko zapomni. Przez trzy długie miesiące mieszkał w jednej izbie z Penrym i musiał odmawiać sobie nie tylko trunków. John Penry! Purytański klecha chciał być chyba bardziej święty od Chrystusa. Bał się podstępów wysłanników królowej angielskiej i do każdego przybysza z Anglii odnosił się nieufnie. Kit musiał się bardzo starać, żeby wkraść się w jego łaski. Długo trwało, zanim przekonał Penry'ego, że w Anglii czekają ludzie gotowi obalić królową i oczyścić Kościół; są silni, lecz potrzeba im duchowego przywódcy, kogoś, kto swoim przykładem zdolny byłby poderwać innych do działania. Kit tak długo go zwodził, mamił gładkimi kłamstwami, aż Penry ostatecznie uwierzył w swoje posłannictwo. Pewnie każdemu w skrytości ducha marzy się rola zbawiciela świata. To ich w końcu gubi. Porywają się na wielkie czyny, a nie potrafią uratować własnej skóry. Co jakiś czas kolejny Chrystus ginie niepotrzebnie na krzyżu.

Ledwie to pomyślał, stanął mu przed oczami obraz Judasza. Prychnął głośno, próbując pokryć zmieszanie śmiechem. Dobre sobie! Ograny temat, a rozwiązanie aż nadto dobrze znane. Żaden szanujący się teatr nie wystawiłby sztuki opartej na takim schemacie. Nie, Penry nie jest Chrystusem, a on, Marlowe, postąpił tak, jak powinien. Purytański spiskowiec dopuścił się zdrady wobec królowej, nikt więc nie może stawiać takiej zdrady na równi ze zdradą Marlowe'a. Zdrada zdradzie nierówna. Że to tylko słowa? A któż lepiej niż on zna się na układaniu pięknych słów? Dzięki nim dał życie Faustowi, wyprowadził z piekła na scenę Mefistofelesa i Lucyfera. Poradzi sobie i z Judaszem.

- A oto i nasz zdrajca! - usłyszał tuż nad uchem. - Gdzie się podziewałeś tyle czasu? Wyjechałeś bez pożegnania.

Odwrócił się gwałtownie. Przed nim stał Ed Alleyn. Niewiele się zmienił. Tylko twarz miał bardziej puciołowatą i brzuch zaokrąglił mu się pod kaftanem.

- Byłem w Canterbury - zaczął gładko opowiadać zmyśloną historię. - Dostałem wiadomość, że ojciec zachorował i rodzina popadła w długi. Długi zdołałem spłacić, a ojciec na szczęście wydobrzył. Prawda, że wyjechałem z Londynu nagle, ale przed wyjazdem powiadomiłem Henslowe'a. Zdałem mu ze wszystkiego relację i kazałem powtórzyć innym.

- A jakże, mówił, mówił - przytaknął Ed. - Odkąd się jednak ożeniłem, bardziej słucham córki Henslowe'a niż jego samego. Przez te trzy miesiące, mój drogi Kicie, wiele się zmieniło.

Położył mu rękę na ramieniu i powiódł do tawerny Pod Syreną. Mimo przedpołudniowej pory w środku było już tłoczno. W jednym końcu sali, wokół połączonych trzech stołów, rozsiadła się gwarna kompania. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, kiedy usiedli w zaciemnionym kącie i zamówili dzban piwa. Kit nalał sobie pełny kufel i opróżnił go łapczywie.

- Widzę, że w Canterbury warzą cienkie piwo - zażartował Alleyn. Napełnił Kitowi kufel.

- Gorzej, bo musiałem się obejść bez towarzystwa. W dobrej kompanii nawet kiepskie piwo smakuje. Co to za jedni? - zapytał, wskazując rozbawioną gromadę.

- Nie poznajesz? Toż to twój dobry znajomy, Willie Shakespeare. Prawie codziennie bawi się w Syrenie. Odkąd wystąpił na dworze królowej, wszyscy do niego ciągną jak pszczoły do miodu.

- Willie przed królową? - Kit zaśmiał się rozbawiony. - Kto rozpowiada takie banialuki?

- Żadne banialuki! Wiem, bo sam z nim występowałem. Mówię ci, los się do niego uśmiechnął. Podczas twojej nieobecności wyrósł na pierwszego w Londynie autora. Biją się o niego Kompania Lorda Admirala, Kompania Królowej i Kompania Lorda Strange'a. Nikomu już nie przeszkadza, że aktor z niego żaden. Nawet mój drogi teściunio wpuścił go bez szemrania na scenę Róży.

- Napisał coś nowego? - zainteresował się Marlowe. Spojrzał ukradkiem w przeciwległy kąt sali. Wśród zebranych rozpoznał jednego z wydawców, Henry'ego Chettle'a. Był też James Burbage, właściciel teatrów Theatre i Curtain, oraz kilku aktorów: Crampson, Hawkes i Condell.

- A jakże, napisał! - odparł Alleyn ze śmiechem. - No więc po kolei: *Henryka VI*, *Tytusa Andronikusa* i *Poskromienie złoŃnicy*. Oczywiście, nikomu się nie chwali, że w pisaniu pomagał mu Kit Marlowe. Sam kiedyś mówił, że Willie ma umysł jak gąbka. Chodzi, obserwuje, przysłuchuje się pilnie. Co usłyszy, notuje. Nasiąka słowami jak gąbka wodą. - Alleyn rozlał resztę piwa z dzbana. Upił trzy łyki i odstawił kufel. - To jeszcze nie wszystko. Gdybyś spotkał Thomasa Kyda, to lepiej nie wspominaj w jego obecności o Shakespearze. Biedak twierdzi, że skończył niedawno nową sztukę i zamierzał ją wystawić, a Willie mu ją ukradł. Jedyne egzemplarz! Kyd nie zdążył go jeszcze przepisać. Mroczna historia o jakimś duńskim księciu, który mści się na zabójcach swojego ojca.

- Zemsta przystoi mężczyźnie. Thomas powinien wziąć przykład z księcia i przynajmniej złoic Williemu skórę.

- PrędeŃ Willie naśle na niego płatnych pacholców. Ma dziś zbyt wielu wpływowych przyjaciół. - Alleyn przywołał oberżystę i zamówił nowy dzban piwa. Rozlał do obu kufli, nie roniąc kropli. - Za twój powrót do Londynu. - Napił się i dokończył: - I za, daj Boże, nowe sukcesy. Henslowe chwalił się, że ma dojścia do mistrza ceremonii na dworze i mógłby załatwić występ przed królową. Kto wie, może uda ci się przytrzeć Williemu rogów. Co mógłbyś wystawić?

Kit nie namyślał się długo.

- Damy *Masakrę w Paryżu*. Dużo krwi i patriotyzmu. W sam raz dla królowej.

Alleyn rozejrzał się przytomnie. Przy sąsiednim stole zasiadło dwóch nowych gości. Popijali polewkę z piwem, ale strzelali oczami na wszystkie strony.

- Hamuj język - mruknął, nachylając się w stronę Kita. - Znam tych rzezimieszków za nami. To William Ball i Edward Smiley, płatni szpicle Tajnej Rady.

Marlowe wznosił kufel i powiedział głoŃno:

- Za zdrowie królowej, w której ojczyźnie piwa i wieprzków nigdy nie zabraknie. - Opróżnił naczynie do połowy. Spojrzenie miał jeszcze przytomne, ale język zaczynał mu się już plątać. - A jak u Henslowe'a z aktorami? Na kogo mogę liczyć?

- Są prawie wszyscy. Ze starego składu ubył tylko Rob Gratton. Wybrał Kompanię Pembroke'a. Aha, straciliśmy też Toma Percy'ego.

- Do kogo przeszedł?

- Dał drapaka, bo zrobił bachora córce konstabla. Pewnie nieprędko pokaże się w Londynie. Szkoda chłopaka, miał talent.

- Wszystkiemu winne dziewczki! - orzekł Kit i walnął kuflem w stół. - Mamią, czarują, obnażają wdzięki, a potem biadolą. Ledwie mężczyzna pokosztuje igraszek, im zaraz brzuch

rośnie.

- Co chcesz - rzekł Alleyn z westchnieniem - jak nasienie pada na żyzną glebę, to tylko czekaj plonu. Takie prawo natury.

- Chyba że gleba jest jałowa.

- Jak to rozumieć?

- Mężczyzna może mieć z mężczyzną taką samą przyjemność jak z kobietą, a ryzyko żadne.

- Ależ to prostackie! Niczym akt sodomii!

- Prostackie? - Marlowe prawie zawołał. - Starożytni cenili ten rodzaj miłości bardziej niż stosunki z kobietami.

Alleyn energicznym ruchem ręki dał mu znak, by mówił ciszej. Nachylił się nad stołem i zapytał z wahaniem, krzywiąc się przy tym:

- Powiedz mi, Kicie, czy ty także hołdujesz takim skłonnościom?

Marlowe zaśmiał się tak głośno, że aż kompani Shakespeare'a zamilkli i spojrzeli w ich stronę.

- Dalibóg - wykrztusił, wciąż się śmiejąc - co też ci przyszło do głowy?! Zaręczam ci, że robię to jak Pan Bóg przykazał.

- Dobrze, ja ci wierzę, ale ludzie różne rzeczy rozpowiadają - podjął Alleyn niepewnie. - Na przykład to, że w Durham House odbywają się męskie orgie. Zamykacie się tam podobno na całe noce i dopuszczacie bezceństw. Oczywiście, ja tylko powtarzam, co niektórzy mówią.

- Czego oczy nie widzą, to zawiść podpowie. Spotykamy się w domu sir Waltera Raleigha, by wieść uczone dysputy i napić się dobrego wina. Gospodarz ma całkiem niezłe zaopatrzoną piwniczkę. A to, że sami mężczyźni? Skoroby przykładać taką samą miarę, to cóż nasi tropiciele występku powiedzieliby o Chrystusie? Przecież nasz Pan przebywał z apostołami dzień w dzień i noc w noc. Razem jedli, razem pracowali i razem kładli się do snu.

- Pst! Nie bluźnij! - syknął Alleyn, kładąc palec na ustach.

Ale Kitowi piwo rozwiązało język.

- Wcale nie twierdzę, że żyli w grzechu. Ale też ze słów Pisma jednoznacznie wynika, że Chrystus stronił od kobiet.

- Miał boską naturę.

- Był Bogiem i człowiekiem. Dobra wymówka, żeby od czasu do czasu pogrześcić. Ewangelści często podkreślają, że ukochanym uczniem Pana był Jan. Ciekawe, dlaczego tak bardzo go sobie upodobał?

- Dosyć już piwa i dosyć gadania! Ball i Smiley właśnie wstają i się wynoszą. Chyba nie spodziewali się aż tyle usłyszeć. Uważaj na siebie! Jeśli masz wrogów, to niezadługo dadzą o sobie znać.

\* \* \*

Królowa siedziała sztywno na wysokim krześle. Splecione dłonie trzymała na sukni w miejscu, gdzie znajdowało się królewskie łono. Dziewicze łono, którego nie dotknęła dłoń mężczyzny. Kit o mało nie zaśmiał się na głos do swoich myśli. Kochankowie nie potrzebowali dłoni, żeby jej dogodzić. Fałszywe dziewictwo pod wyblakłym płaszczykiem cnoty.

Elżbieta ożywiła się na moment, kiedy zatruty sztylet katolickiego mnicha śmiertelnie ugodził Henryka III. Głowę uniosła wyżej i patrzyła w skupieniu, jak król Francji, żegnając się z życiem, każe wołać do siebie angielskiego posłańca. Tę scenę Alleyn oddał tak udanie, że nawet Marlowe grający posłańca przeraził się na widok jego wykrzywionej bólem twarzy. Alleyn przywołał go słabym ruchem ręki i podjął łamiącym się głosem:

Posłańcu z Anglii, opowiedz swej pani,  
co podły frater zdradziecko uczynił.  
Rzeknij jej przeto, że jeśli przeżyję,  
szczerze papieski monarcha, a wraz z nim  
upadnie nikczemne królestwo antychrysta.  
Zerwę mu z głowy potrójną koronę  
i ogniem zniszczę Rzym przeklęty.  
Spalę szaleńcze budowle i z ziemią  
zrównam wieże papiestwa.  
Daj rękę, królu Nawarry: ślubuję ci oto,  
że w perzynę obrócę niecny Kościół rzymski,  
co dopuszcza się uczynków tak krwawych.  
Ślubuję miłość wieczną tobie,  
a nade wszystko królowej angielskiej,  
którą Bóg niech błogosławi w jej nienawiści do papiestwa.

Trucizna była dobrze przyrządzona i król Henryk umierał w męczarniach. Kit, ukryty już za kurtyną, oglądał z zajęciem drugą, dla niego ciekawszą stronę przedstawienia - tę z królową Elżbietą w roli głównej. Gdyby mógł teraz zajrzeć w jej myśli! Wiele by dał, by móc

się przekonać, w którym momencie Dziewica Anglii przełękła się najbardziej. Czy wtedy, gdy zatrute ostrze śmiertelnie kaleczyło Henryka, czy może raczej przy samej scenie śmierci, gdy władca, plując żółtą ciecżą, umierał jak zwykły śmiertelnik. Musiało przemknąć jej przez głowę, że królobójstwo ukazane na scenie roznosić się może niczym morowe powietrze. Co innego pokazać od święta żywą królewską krew na szafocie, co innego zaś przelewać królewską krew każdego dnia na oczach nieokrzesanej gawiedzi. Przywykną, zasmakują i sami zechcą spróbować.

Ale Elżbieta zdawała się nieporuszona, tak jakby wydarzenia na scenie nie jej dotyczyły. Jeśli nawet tylko udawała obojętność, robiła to znakomicie. Czemu zresztą on, Kit, tak bardzo się dziwił? Wszak w życiu nie tylko grała dobrze w sztuce o królobójstwie, ale sama z talentem podobną napisała. Krew Marii Szkockiej popłynęła za jej przyczyną. Gdyby nie nieudolność kata, byłoby to całkiem udane przedstawienie. Ale też premierę poprzedziły solidne próby generalne: w poruszających scenach patroszenia, wieszania i ćwiartowania wystąpiło spore grono statystów, wśród nich zaś największą sławę zdobyli panowie Ballard, Babington i Savage. Długo się męczyli na błoniach Świętego Idziego, zanim wyzionęli ducha ku chwale królowej i Kościoła Anglii. Święta Elżbieta Angielska, w ślad za przedsiębiorczym tatusiem, nie ustawała w trudzie tworzenia nowego Kościoła. Nowy Kościół? Jeśli trzeba, dla dobra nieskalanej Anglii stworzymy nowego Chrystusa! Albo tego, który kiedyś ponoć istniał, podzielimy na dwie części, sobie biorąc, co najlepsze, a ochłapy rzucając katolikom.

Błuznił? Jeśli nawet, to i tak dawno już stracił duszę. Nie, nie stało się to od razu. Tracił ją stopniowo, niejako kawałek po kawałku, gdy kat odcinał głowę Marii i ćwiartował jej domniemanych współników. Teraz na ołtarzu świątobliwej królowej złożył ofiarę z Johna Penry'ego. Dziwne, ale na samą myśl o tym czuł ucisk w żołądku. Widać duszy nie tak łatwo się pozbyć.

Kiedy pół godziny później opuszczali po przedstawieniu pałacowy dziedziniec, Henslowe usiłował robić dobrą minę.

- Musiało się królowej spodobać - paplał. - Kazała wypłacić każdemu z aktorów po pięć funtów.

Alleyn splunął przez ramię.

- Trupie Williogo Shakespeare'a za *Poskromienie złośnicy* dała po dziesięć. I ugościła obiadem.

- To pewnie z radości, że sztuka nie była o niej - usłyszał Kit za sobą znajomy głos. Odwrócił się. Sir Walter Raleigh, który znalazł się wśród gości zaproszonych przez królową na pokaz sztuki, najwidoczniej zrezygnował z biesiady i dołączył teraz do trupy. - Słyszałem

o twoim powrocie. Czemu nie pokazałeś się w Durham House?

Marlowe zwołał kroku, pozwalając, by reszta grupy ich wyprzedziła. Mimo woli ściszył głos.

- Przez ostatnie dwa tygodnie nie miałem wolnej chwili. Codziennie próby do *Masakry w Paryżu*, a wieczorami ślęczałem nad nową sztuką. Zebrało mi się sporo zaległości.

- Rozumiem. Wieśniak Willie tobie też napędził stracha. Muszę przyznać, że i ja go nie doceniłem. Jeszcze cztery miesiące wstecz mało kto o nim słyszał. A dzisiaj, proszę, doczekał się nawet wrogów. Wiesz, co napisał o nim Robert Greene? Że Shagspeare jest „miernym kopistą”. A Thomas Kyd nazywa go „złodziejem sztuk”.

- Bo i kradnie! Pokazałem mu kiedyś nieopatrznie szkice do *Poskromienia złościcy*, a łotr wszystko przepisał i sygnował swoim nazwiskiem. Teraz chroni się za plecami możliwych protektorów. Lord Strange chce podobno założyć dla niego nową kompanię.

- Najwidoczniej Willie wszedł w spółkę z diabłem. - Sir Walter obejrzał się przezornie. - A już na pewno zawarł pakt z jego ziemską posłanniczką. Nie będzie ci łatwo pokonać Shagspeare’a, skoro zyskał tak mocnych popleczników. Od którejkolwiek strony byś się zbliżył, mocno zalatuje siarką. Uważaj, bo i ty możesz się poparzyć.

Kit zaśmiał się.

- Cóż ja słyszę? Luminarz klubu wolnomyślicieli, sam powątpiewający w istnienie Boga, każe mi wierzyć w diabła?

- W diabła, mój drogi Kicie, uwierzyć znacznie łatwiej. Dowody jego istnienia spotykasz na każdym kroku.

Marlowe zatkał sobie nos teatralnym gestem.

- Osobiście nie wiem, co gorsze: smród siarki czy fetor londyńskich rynsztoków.

- Oho, mam tu coś, co pewnie przyniesie ci ulgę. Wyborny tytoń z Wirginii. Skutecznie oczyszcza powietrze tudzież umysł. Właśnie w tych dniach przybił statek ze świeżą dostawą z moich plantacji.

Sir Walter wy dobył spod dubletu jedwabny haftowany woreczek. Kit ujął delikatnie kapciuch i rozsypał wiązanie: uderzył go w nozdrza słodki, odurzający aromat. Zakręciło mu się w głowie.

- Nasz Pan z Nazaretu wiele stracił, skoro nie dane mu było kosztować tego specyfiku - zażartował.

- Dowcip ci się nie przytępił - podchwycił Raleigh. Dodał, poklepując Kita po ramieniu: - Tym gorzej dla Shagspeare’a.

\* \* \*



Pod wieczór, ukończywszy na ten dzień pracę nad *The Tragedie of Dido Queene of Carthage*, Kit wspiął się po krętych drewnianych schodach do pokoiku na poddaszu i zasiadł przy uchylonym oknie. Otworzył górną szufladkę sekretarzyka; po namyśle wybrał jedną z fajek, które sprezentował mu sir Walter. Miała długi, wypolerowany gliniany cybuch, zakończony główką w kształcie głowy dzikusa z Wirginii. Nabiwszy bez pośpiechu fajkę otrzymanym wcześniej tytoniem, przyłożył zapalone drewnienko i kilka razy pociągnął, aż tytoń zaczął się żarzyć. Zachodzące słońce z trudem przebijało się przez brunatne chmury, barwiąc dachy sepią. Wkrótce musiał zapalić drugą świecę. Usadowiony na wysokim krześle, które wyścielił dla wygody grubym baranym futrem, patrzył spod na wpół przymkniętych powiek, jak dym snuje się po pokoju, układając się na tle płomieni świec w zmienne kształty. Myśli krążyły mu leniwie, równie ulotne jak dym, przyoblekając dymne zjawy w kształty i nadając im imiona. Dostrzegł cień skradającego się z mieczem Tamerlana, który gotuje się do zadania ciosu, by chwilę potem rozpląnąć się w mgielnej chmurze. Z niej zaś, niczym z dymów pogorzelska, wyłoniły się duchy hugenotów oplakujących w milczeniu rzeź swych braci w noc świętego Bartłomieja. Zakrztusił się i hugenoci rozpląnęli się bez śladu. Ich miejsce zajęła Helena z Troi, wdzięcząca się do Fausta. Doktor Faust natomiast, ponieważ przeczawszy zakusy szatana, daremnie próbował zatrzymać wskazówki zegara. Północ nieuchronnie się zbliżała. Wraz z nadejściem dwunastej zjawił się Mefistofeles, wiodąc ze sobą samego Księcia Ciemności.

- Strasznie tu nasmrodziłeś, Christoferze - przemówił Lucyfer, przykładając chusteczkę do nosa.

Kit odrzucił fajkę i zaczął rozpędzać dym rękami. Ale zjawy ani myślała się rozpląnąć.

- Wybacz porównanie, ale gorsze to niż morowe powietrze. - Lucyfer zakasłał wymownie. - Ani tu myśli zebrać, ani odpocząć.

Marlowe przyjrzał się przybyszowi. Miał on na sobie strój na poły cudzoziemski, na poły zgodny z angielską modą, z całą pewnością szyty na miarę i wcale nie znoszony. Głowę przyozdobił czarnym, wysokim spiczastym kapeluszem rodem z Niderlandów. Miast kubraka nosił rodzaj przykrótkiego płaszcza, który zwęzał się w pasie i kończył tuż przed kolanami, u góry ozdobionego nakrochmaloną kryzą. Nogi odział w czarne rajtuzy i czarne skórzane trzewiki z wysokimi, wywiniętymi cholewkami, zgoła niepodobne do londyńskich. Twarz miał raczej młodą, dość szczupłą, o cerze bladej, pokrytą jasnym, rzadkim zarostem. Kolor oczu trudno było określić przy świecach; wydawały się niespotykanie jasne i zupełnie pozbawione źrenic.

Musiało to być jedynie złudzenie, tak jak z pewnością sennym przywidzeniem była sama zjawą. Kit uszczyptał się z całej siły w policzek. Ale zjawą nadal stała przed nim.

- Jeśli siniak jest namacalnym dowodem na istnienie diabła, to właśnie zdobyłeś pierwszy dowód - oznajmił przybysz. - Piekące *exemplum*. Czy może raczej powinienem rzec „piekielne”? O, wybacz kiepską paralelę. Gdzie mi się mierzyć z tobą, poeata.

- Po coś przyszedł? - wykrztusił Kit, pocierając obolałe miejsce.

- Nie poprosisz, żebym usiadł? - Przybysz rozejrzył się po pokoju, najwyraźniej szukając drugiego krzesła. Całkiem niespodziewanie zawisł w powietrzu z nogą założoną na nogę; wygodnie oparty na niewidzialnym krześle, położył splecione dłonie na kolanie i kiwając głową, podjął ze znużoną miną: - Przywoływałeś mnie, więc jestem.

- Nic podobnego! - obruszył się Kit szczerze. Poczul się pewniej, jakby raz przyłapałszy diabła na kłamstwie, zaczynał zyskiwać nad nim przewagę.

- Hola, Christoferze! Mam ci przypomnieć, jak często rozmawiałeś ze mną przy pracy nad *Faustem*? Ile razy prowokowałeś do dysput? Ileż to razy w usta Fausta kładłeś pytania, które sam bałeś się zadać?

- Jeśli nawet, nie było to nic innego jak szukanie metafory, trafnego odniesienia, słowa, obrazu dla odmalowania nastroju.

- Chciałeś diabłem okraszyć poezję?

- Ani mi to było w głowie! Pisałem o człowieku.

- Ależ to jedno i to samo! Interesowała cię ciemna strona człowieka, ta właśnie, która nam jest przypisywana. *Ergo*, wziąłeś sobie za pomocnika diabła.

- Uprawiasz scholastykę, ja piszę poezję. Przyznaję: co miałem wziąć, wziąłem. Ale nic więcej mi nie trzeba.

- Czyżby? Czyli pora się rozstać? Ja odchodzę, a ty, drogi Christoferze, zostajesz nieskalany jak w chwili chrztu? Nie, mój panie, zbyt wiele nas łączy. Christofer i Lucyfer. Kit to zbyt pospolite, niewiele lepsze niż strzyknięcie śliną albo beknięcie przy piwie. - Gość poprawił się na niewidzialnym krześle. - A więc „Christofer” i „Lucyfer”. Chociaż te imiona z pozoru się odpychają, to przecież przy bliższym przyjrzeniu się widać, że wiele je łączy. Ty dźwigasz Chrystusa, ja niosę światło. Przyznasz chyba, że oba obszary się przenikają. Ja poniekąd także dźwigam na grzbiecie Chrystusa... choć po prawdzie nikt o zgodę mnie nie pytał. Idźmy dalej: światło to sfera niematerialna, do której z uporem dążymy, sztuka w czystej postaci, owa chwalebna iluminacja, która czasem przydarza się artystom. Mamy zatem kolejną wspólną domenę. Czego chcesz więcej?

- Pogratulować kontekstu - odparował Kit - bo twoja aluzja do światła jako żywo

przypomniała mi o historii Ikara.

- Fúj! Dla doraźnego efektu odarłeś paralełę z poezji. Zapominasz się, panie poeto!

- Może to dowód na to, że do pisania poezji nie potrzebuję twojej pomocy.

- Możliwe - odparł Lucyfer po długim namyśle. - Powiedzmy, że sporo już umiesz.

Radzisz sobie udatnie z fabułą, trafnie wstawiasz metafory. W białym wierszu niewielu może ci sprostać. Jeśli zadowala cię miejsce wśród najlepszych, to, istotnie, nie będę ci już potrzebny.

- I owszem, to całkiem niezgorsze towarzystwo - bąknął Kit, przeczuwając podstęp.

- Jak wolisz. Dam ci jednak jeszcze *ultima ratio*. Jeśli pomimo wszystko nie skorzystasz z mej rady, odejdę. Więc jak, chcesz posłuchać?

- Mów - rzekł Kit z ociąganiem, daremnie próbując dać odpór ciekawości.

- Odpowiedz zatem sam sobie: chcesz być jednym z wielu czy raczej tym jedynym, do którego przyrównuje się całą resztę? Willie Skackspere chętnie zajmie twoje miejsce.

- Shagspeare? Oszust i złodziej!

- Jest ambitny, drogi Christoferze.

- Mam dość talentu, żeby być pierwszym.

- Talent? Obrąłeś niebezpieczną drogę. Jak przestrzega przypowieść biblijna, talent nie pomnażany ulega roztrwonieniu.

- Ty miałbyś pomóc mi go pomnażać?

- Jeśli pójdiesz za głosem ambicji. Powiedz „tak”, a Skackspere wróci, skąd niedawno przyszedł.

- Widzę, że pilno ci do mojej duszy!

Lucyfer ciężko westchnął. Zgarbił się na niewidzialnym krześle. Pierwszy raz dawał oznaki, że rozmowa zaczyna go nużyć.

- Dostyc to dla mnie niezręczne - podjął z chrypką - że właśnie ja kolejny raz muszę ci przybliżyć zasady Chrystusowej wiary. Otóż powinieneś wiedzieć, że twoja dusza nie przedstawia dla mnie zbyt wielkiej wartości. Zdobyć duszyczkę czystą, taką, która broni się przed zakusami szatana, to marzenie każdego diabła. Twoja, wybaczone, jest już mocno nadwerężona, i nie chodzi mi bynajmniej o to, że przyprawiałeś rogi sir Henry'emu Herbertowi. Wreszcie, nie wyobrażaj sobie, że Książę Piekieł będzie się uganiał za pojedynczą duszą. Prawdę powiedziawszy, nawet nie bardzo by mi wypadało. *Summa summarum*, interesujesz mnie wyłącznie jako artysta. *Ars longa, vita brevis*. Innymi słowy, ciebie dawno już pogrzebią, a sztuka pozostanie.

- Powiedzmy, że się zgodzę. Co mi z tego przyjdzie?

- Sława. Uznanie. Pieniądze. Co tylko zechcesz.

- Stracę szansę zbawienia.

- Ha! Troszczysz się o to, w co sam nie wierzysz? Twoje zbawienie jest w poezji.

Poprzez sztukę, w którą przecież wierzysz, zapewnisz sobie życie wieczne, jakie dane jest tylko nielicznym.

- Kuisz, szatanie!

- Czy namawiam cię do złego? Urodziłeś się poetą i byłoby grzechem zaprzepaścić ten talent.

- Niczego nie podpiszę!

- Wcale tego nie wymagam. Powiesz „tak”, a mnie to w zupełności wystarczy. Jesteś poetą i znasz wartość słowa. - Powiedziawszy to, Lucyfer spłynął z niewidzialnego krzesła na podłogę i podszedł do Kita.

- Masz moją rękę. Uściśnij ją na zgodę. Czemu twoja dłoń taka zimna? Przestań się trwożyć, Christoferze. Dopóki jesteś ze mną, nic ci nie grozi.

## Rozdział 13

# Twórca i jego dzieło

W biurze Stockenhausena nikt nie podnosił słuchawki. Hornik ponawiał próbę co kwadrans, ale za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka. W końcu zaniechał dzwonięcia. Nie ruszając się z fotela, wziął ze szklanego stolika plik gazet. Przez chwilę ważył je w ręku, jakby wahał się jeszcze. Podparłszy się drugą ręką, dźwignął się z fotela i ruszył z gazetami do holu.

Środowy artykuł „New York Timesa” dawał zapowiedź tego, co miały przynieść następne dni. Etatowy recenzent Michael Kaufman poświęcił wystawie w Zachęcie jedną czwartą strony, jednak tytuł *Smażalnia pomysłów* nie zwiastował niczego dobrego. „Pomysły Hornika są równie świeże jak placki odgrzewane po raz trzeci na patelni. Może kiedyś dobrze kucharzył, teraz jednak co najwyżej pichci. Dużo przypraw, przypadkowych ingrediencji, a wszystko po to, by się nie wydało, że całość jest pozbawiona smaku”. Warszawski korespondent „Los Angeles Timesa” zamieścił równie nieprzychylną relację, puentując ją tak oto: „Jeżeli najnowsze dzieła Hornika powinny w ogóle znaleźć się na sali wystawowej, to co najwyżej w muzeum osobliwości”.

Podobnie negatywne w tonie były czwartkowe artykuły „Le Soir” i „International Herald Tribune”. Piątkowe wydanie „Racji” zamieściło na drugiej stronie skrót wszystkich zagranicznych opinii, dodając komentarz Wiesława Gibały. Kierownik działu kultury napisał samokrytycznie: „Byłem jednym z wielu, dla których nazwisko Hornik stało się synonimem artystycznego smaku i gwarancją sztuki w najlepszym wydaniu. Przyznaję, że tym razem uległem magii nazwiska. Patrzyłem na najnowszą wystawę Hornika przez pryzmat jego wcześniejszych dokonań, nie dostrzegłem więc tego, co postronnym obserwatorom od razu wydało się oczywiste. Jaka zatem jest prawda? Witold Hornik najwyraźniej przeżywa artystyczny kryzys. Dawną świeżość spojrzenia zastąpiło naśladownictwo, w miejsce dociekliwej awangardowości pojawiła się żenująca wtórność. Miejmy nadzieję, że to dopiero początek niefortunny obranej drogi i że Hornik zdoła jeszcze z niej zawrócić”.

Chyba właśnie posądzenie o wtórność zabolowało Hornika najbardziej.

- Już lepiej być oskarżonym o plagiat - mamrotał do siebie, niosąc pod pachą egzemplarze „New York Timesa”, „International Herald Tribune”, „Los Angeles Timesa”,

„Le Soir” i „Racji”.

Gwoli ścisłości należy odnotować, że z telefonu w holu spróbował po raz kolejny skontaktować się ze Stockenhausenem. Zadzwoił na jego komórkę, lecz odpowiedziała mu tylko poczta głosowa. Cisnął telefonem o ścianę.

- Gdzieżeś, o gdzieżeś, mój świetlisty Panie! - zaśpiewał na melodię pieśni kościelnej. Przyklęknął i z rękami złożonymi jak do modlitwy zaczął wykrzykiwać urągliwie: - Pukam, a drzwi zamknięte. Ciebie przywołuję, a nie chcesz mnie słuchać. Chciałeś wywyższenia? A jakże, będziesz wywyższony. Postawię cię wysoko, tam gdzie jeszcze nie sięgnąłeś.

Wyszedł z gazetami na korytarz i wrzucił je do zsypu. Po powrocie do mieszkania zamówił taksówkę. Potem wyjął z lodówki pakunek zabezpieczony dwiema reklamówkami i schował go na dno sportowej torby. Na wierzch wrzucił resztę wcześniej przygotowanych przyborów. Zegar wskazywał dokładnie osiemnastą czterdzieści pięć, kiedy Hornik zamknął drzwi mieszkania i kazał kierowcy wieźć się do Zachęty.

Tak jak się spodziewał, galerię zamknięto już dla zwiedzających. Strażnik rozpoznał go, ale nie chciał wpuścić; ustąpił dopiero wtedy, kiedy Hornik pokazał torbę i zaczął przekonująco wyjaśniać, że zgodnie z wcześniejszą umową przychodzi uzupełnić ekspozycję. Zaprowadził gościa po schodach do głównej sali wystawowej, chwilę się przy nim pokręcił, po czym wrócił do siebie na dół. Popijając świeżo zaparzoną kawę, doczytał do końca artykuł o zasadach tresury owczarków niemieckich. Spojrzał na zegarek: Hornik przebywał na górze już od ponad kwadransa. Strażnik odczekał jeszcze pięć minut, a następnie ruszył na piętro. Był w połowie schodów, kiedy dobiegł go rumor, jakby ktoś zwałił się z drabiny na podłogę. W kilku susach pokonał ostatnie stopnie i dobiegł do głównego wejścia. Drzwi były zamknięte. Nacisnął klamkę, ale nie ustępowały; najwyraźniej ktoś zablokował je od wewnątrz. W tej samej chwili usłyszał podniesiony głos Hornika. Można było odnieść wrażenie, że z kimś się spiera. Mówił jednak tak bełkotliwie, że nie sposób było rozróżnić słów. Naraz przejmująco krzyknął, a potem zaczął wrzeszczeć jak opętany. Strażnik napał z całej siły na drzwi. Ze środka dochodziły wyraźne odgłosy walki. Hornik nie krzyczał już, lecz jękliwie zawodził. Wreszcie i to ucichło. Strażnik cofnął się trzy kroki i z rozpędu uderzył barkiem w drzwi. Tym razem ustąpiły. Stracił równowagę i gdyby nie chwycił się framugi, runąłby na podłogę. Stojąc w otwartych drzwiach, walczył przez chwilę ze strachem. W końcu, wciąż z duszą na ramieniu, przekroczył próg.

W sali paliły się tylko małe punktowe światła. Włączył główne lampy i trzymając się blisko ściany, zaczął obchodzić pomieszczenie. Nic nie wskazywało na to, by wydarzyło się tu coś niezwykłego. Ekspozyty stały na swoich miejscach, wszędzie panował wzorowy

porządek. Kiedy znalazł się z drugiej strony masywnego trzymetrowego krzyża, nogi się pod nim ugięły. Nie odważył się podejść bliżej. Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści, gdy z przenośnego telefonu zadzwonił do dyrektora Drońskiego, a zaraz potem na policję. Droński, który mieszkał dwie ulice dalej, zjawił się równocześnie z policyjnym radiowozem. Kiedy wpadł zziębnięty do sali wystawowej, przekonał się na własne oczy, że strażnik nie mija się z prawdą. Pośrodku drewnianego krzyża, przybity w sposób zdradzający pośpiech, sterczał koźli łeb; Hornik albo bardzo się spieszył, albo ktoś próbował mu przeszkadzać, bo maskara umocowana była krzywo, a koniec jednego rogu złamał się i leżał na podłodze. Sam Hornik wisiał na krótkim sznurze przywiązany do ramienia krzyża. Dyndał dobre pół metra nad podłogą i ani dyrektor Droński, ani młodszy aspirant Chylicki nie potrafili wyjaśnić, jakim sposobem zdołał bez drabiny czy stołka wspiąć się tak wysoko.

## Rozdział 14

### Sztigler z zaświatów

Widownia w Teatrze Polskim była wypełniona do ostatniego miejsca. Uroczystość ogłoszenia wyników tegorocznej edycji Nagrody im. Sztiglera transmitował drugi program telewizji, jednak sam moment odczytania nazwiska zwycięzcy miał być pokazany na żywo w głównym wydaniu *Wiadomości* w „Jedynce”. Mając to ostatnie na względzie, reżyser programu Aleksander Rudnik skrupulatnie pilnował, by żadna z nominowanych osób nie przekroczyła pięciominutowego limitu na wystąpienie. Chociaż Wilniak, Toporniuk, Bereżańska i Kostaryn przeszli w autoprezentacjach samych siebie, największym zainteresowaniem cieszył się tego wieczoru Bolesław Starnicki. Powód, trzeba przyznać, był dość szczególny i wymykający się zasadom uczciwej rywalizacji: śmierć pisarza. O tym, że Starnicki zmarł poprzedniego wieczoru, większość obecnych dowiedziała się dopiero w teatralnej sali. Pamięć zmarłego uczczono tradycyjną minutą ciszy. Wilniak, który sam dobiegał osiemdziesiątki i przeżył Starnickiego o dobre pięć lat, wystąpił nawet z okolicznościowym wspomnieniem, choć co najmniej połowę poświęcił sobie. Kiedy stało się jasne, że zamierza zakończyć recytacją wiersza ze swego najnowszego zbioru, reżyser programu posłał hostessę z kwiatami i Wilniak dał się sprowadzić ze sceny. Żegnany oklaskami, zasiadł z powrotem w pierwszym rzędzie. Toporniuk zaczął przecierać nonszalancko szkła okularów, a Kostaryn, żując gumę, wachlował się egzemplarzem „Playboya”. Jedynie Bereżańska nie potrafiła ukryć zdenerwowania. Raz po raz poprawiała obcięte na pazia włosy i sprawdzała wiązanie pstrokatej apaszki. Minęła dziewiętnasta trzydzieści. Prowadzący konferansjerkę Borowiecki i Smereżyńska, ekranowa para z telewizyjnego serialu *Wygrać miłość*, po raz kolejny stanęli przed mikrofonami.

- I tak oto zbliżamy się do rozstrzygnięcia piątej edycji Nagrody Literackiej imienia Sztiglera - zaczęła Smereżyńska, ładna filigranowa blondynka, wdzierając się do widzów w teatrze i przed telewizorami swoim serialowym uśmiechem.

Borowiecki, poinstruowany chwilę wcześniej przez reżysera programu, tym razem ograniczył wystąpienie do dwóch krótkich zdań:

- Prosimy przewodniczącego kapituły nagrody o ogłoszenie werdyktu. Pan Andrzej Konar.



Konar lekko wbiegł po stopniach na scenę. Podchodząc do mikrofonu, złożył szarmancki ukłon urodziwej konferansjerce, po czym z wewnętrznej kieszeni smokingu wyjął zalakowaną kopertę i otworzył ją z namaszczeniem.

- Z prawdziwą przyjemnością pragnę ogłosić - zaczął, przebiegając wzrokiem kartkę - że członkowie kapituły Nagrody Literackiej imienia Sztiglera jednomyślnie postanowili przyznać literacki wawrzyn Bolesławowi Starnickiemu za jego najnowszą książkę *Schodami w górę*. - Odszukał na widowni siedzącą w trzecim rzędzie żonę Starnickiego i dalsze słowa skierował bezpośrednio do niej. - Nie waham się powiedzieć, że w związku z przedwczesną śmiercią pisarza nasza decyzja, podjęta przecież dużo wcześniej, nabrała zupełnie nowego wymiaru. O odebraniu nagrody proszę panią Ludmiłę Starnicką.

Kostaryn wyduł wargi i pokiwał głową, nie przestając wachlować się świerszczykiem. Bereżańska oblizwała się nerwowo, składając ręce do oklasków. Cała sala huczała już od braw. Toporniuk zapiął, a następnie rozpiął środkowy guzik marynarki. Wilniak zaklaskał anemicznie.

Julian Rotas ze swego miejsca w dwunastym rzędzie widział, jak Starnicka, ubrana w skromną czarną garsonkę, wolno drepce ku scenie. Stanisław Arnicz, zapobiegliwy dyrektor wydawnictwa Domino, wychylił się ze swego fotela. Cały rozpromieniony, uśmiechnął się porozumiewawczo do Stockenhausena, który siedział pięć miejsc od niego. Stockenhausen z kamienną twarzą pokazał palcem na scenę.

Aleksander Rudnik odmierzał stoperem czas bezpośredniej transmisji w *Wiadomościach*. Z trzyminutowego wejścia pozostało jeszcze niespełna trzydzieści sekund. Na monitorze kontrolnym pojawiła się twarz Starnickiej: worki pod oczami, bruzdy na czole, nieudolnie położony róż dla zamaskowania bladeści policzków. Dwadzieścia pięć sekund.

- Bardzo dziękuję. Dziękuję w imieniu swoim i mego świętej pamięci męża - zaczęła cicho Starnicka. Odkasznęła i mówiła dalej bardzo powoli, starając się opanować drzenie głosu: - Powiem bez kokieterii, że mąż nigdy nie przywiązywał zbytnej wagi do nagród. Ale, jak zawsze szczerze dodawał przy podobnych okazjach, na taką pozorowaną nonszalancję mogą sobie pozwolić tylko ci, którzy swoje nagrody już odebrali.

Niezła puenta, uznał Rudnik, odmierzając ostatnie sekundy bezpośredniej transmisji w ogólnopolskim dzienniku.

- Zamierzam odczytać państwu list - ciągnęła tymczasem wdowa. - Mąż napisał go na wypadek, gdyby to jemu przypadła nagroda. Znam treść listu i pragnę zaręczyć, że mąż nie zamierzał tworzyć atmosfery sensacji, lecz kierowała nim wyłącznie chęć przedstawienia prawdy.

Rudnik zawahał się z ręką nad klawiaturą. Dobrze zrobił, bo niemal w tej samej chwili zadzwonił do niego redaktor wydania ze zgodą na przedłużenie transmisji o dalsze dwie minuty. Wkrótce obaj mogli sobie pogratulować trafności decyzji. Ludmiła Starnicka na oczach pięciomilionowej widowni odczytała co następuje:

Piszę te słowa w obecności żony oraz notariusza, którego podpis i stosowna pieczęć są, jak tuszę, wystarczającym świadectwem autentyczności niniejszego listu. Zgodnie z moją dyspozycją ma on zostać odczytany tylko w przypadku, gdyby decyzją kapituły tegoroczna Nagroda Sztiglera przypadła mnie.

Czytelnicy mej ostatniej książki, *Schodami w górę*, wiedzą zapewne, że cztery z ośmiu zawartych w niej opowiadań pojawiły się po raz pierwszy przed rokiem na łamach dziennika „Nowiny”. W opinii większości krytyków te właśnie opowiadania są najlepsze. Od siebie dodam, że - co mi się rzadko zdarza - przychyliam się do osądu krytyków. Problem w tym, że nie ja jestem autorem wspomnianych opowiadań. Napisał je Julian Rotas, twórca zapewne nie znany większości z państwa.

Przyznaję, że to, co zaczęło się jako żart, swoisty kaprys starzejącego się pisarza, z czasem wymknęło się spod kontroli. W efekcie przerodziło się w, powiedzmy, eksperyment, w którego kolejnej odsłonie mają państwo okazję dzisiaj uczestniczyć. Od razu zaznaczę, że pomysł wyszedł ode mnie. Uznałem mianowicie, że dobrze będzie przekonać się na sobie, na ile ocena tekstu jest pochodną jego wartości. Julian Rotas próbował wcześniej zamieścić jedno ze swych opowiadań w kilku pismach literackich tudzież w dodatkach kulturalnych dwóch największych dzienników. Zostało odrzucone. Kiedy wysłałem ten sam tekst pod moim nazwiskiem, poddawszy go uprzednio pewnym modyfikacjom niezbędnym dla mistyfikacji, ci sami redaktorzy przyjęli go bez wahania. Od tamtej pory Julian Rotas jeszcze trzykrotnie, za moją wiedzą i przyzwoleniem, posłużył się moim nazwiskiem. Pojawienie się książki było dość nieoczekiwanym rezultatem tej mistyfikacji. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, widzę wyraźnie, że było zarazem jej logicznym dopełnieniem.

Odrzucam ewentualne głosy oburzenia. Skoro sztuce przypisana jest wolność, oznacza to również prawo do stosowania prowokacji. Skorzystałem z tego prawa, kierując się słusznymi, w moim przekonaniu, pobudkami. Chciałbym zatem, by zainteresowanie, z jakim spotkała się moja książka, stało się także udziałem jej współautora, Juliana Rotasa.

\* \* \*

Obecność szefa TsNeT-u okazała się dla Juliana nieoceniona. Stockenhausen zapowiedział dziennikarzom, że czas każdego wywiadu jest ograniczony do dwóch minut, a następnie skrupulatnie pilnował, by nikt tego limitu nie przekroczył. Julian, choć zżymał się z początku na „biurokratyczne podejście”, przy piętnastym z rzędu wywiadzie zaczął doceniać profesjonalizm swego agenta literackiego. Stockenhausen tylko w dwóch przypadkach odstąpił od przyjętej przez siebie zasady. Za pierwszym razem chodziło o wywiad na żywo

dla wieczornych *Wiadomości* w publicznej telewizji. Za drugim nie oponował, gdy dziennikarka TeleMostu, największej prywatnej stacji telewizyjnej, przedłużyła o całe cztery minuty nagrywanie materiału, który miał być pokazany w niedzielnym programie *Wydarzenie tygodnia*.

Kwadrans przed jedenastą Stockenhausen uznał, że pora kończyć. Zebrał wizytówki od pozostałych dziennikarzy i odprawił ich, zapewniwszy solennie, że skontaktuje się z nimi w ciągu dwóch dni.

- Najgorsze mamy za sobą - orzekł, siadając przy stoliku w teatralnym barze, który przez ostatnie dwie godziny był zaimprovizowanym studiem. - Kawa? Może coś mocniejszego?

- Sam nie wiem - odparł Julian na pół sennie. - Najchętniej walnąłbym się do łóżka.

W drzwiach stanął niespodziewanie Arnicz, dyrektor Oficyny Wydawniczej Domino.

- Jeśli mogę coś doradzić, proponuję kawę z whisky. - Arnicz rozejrzał się po opustoszałym barze i podszedł do nich. - Taka szatańska mieszanka każdego postawi na nogi.

Rotas podziękował ruchem ręki.

- Mocna kawa wystarczy.

- Dla mnie podwójny koniak - poprosił Arnicz barmankę. Nie czekając na zaproszenie, przysiadł się do ich stolika. Wychylił koniak jednym haustem i zwrócił się do Juliana: - Żeby móc osobiście złożyć gratulacje, musiałem swoje odczekać. Trudno się do pana docisnąć. A przy okazji, gratuluję pozyskania tak znakomitego agenta literackiego. - Nachylił się nad stolikiem do Stockenhausena i powiedział szeptem, kładąc mu rękę na ramieniu: - Dziękuję za trafną radę. Starnicki rzeczywiście okazał się strzałem w dziesiątkę. I to w podwójnym znaczeniu.

Szef TeNeT-u odsunął się z krzesłem, zmuszając Arnicza do zabrania ręki.

- Pojutrze przyślę projekt nowej umowy - zapowiedział. - Myślę, że pan Rotas przystanie na piętnaście procent.

Arnicz zrobił zdziwioną minę.

- Przecież zgodziliśmy się na dwanaście! - zaprotestował bez specjalnego przekonania.

- Sytuacja uległa zmianie.

- Umowa pozostaje umową! - upierał się dyrektor Domina.

Stockenhausen podniósł się od stolika i spojrział wymownie na zegarek.

- Jeżeli zależy panu na dalszej współpracy z moim klientem, proponuję bardziej elastyczną postawę. Mówiąc językiem handlowym, wartość mojego klienta poszła w górę.

- Pisze pan coś nowego? - zainteresował się Arnicz. - Chętnie obejrzę.

Julian zaczynał przysypiać. Zaskoczony pytaniem, zastanawiał się nad odpowiedzią, ale Stockenhausen go uprzedził.

- Jeśli pojawi się nowy maszynopis, dowie się pan o tym ode mnie - zaznaczył stanowczo. - Na razie skupmy się na tym, co jest. Wraz z propozycjami zmian w umowie przyślę panu zarys akcji promocyjnej *Christofera*. Byłoby grzechem nie wykorzystać tego, co się dzisiaj stało. Ma pan w ręku pewny bestseller. Jeśli nie poskąpi pan na reklamę, sukces murowany.

Arnicz zamówił kolejną lampkę koniaku.

- Powiem panom, co zamierzam - podjął z chytrą miną. - Zaczniemy od trzydziestotysięcznego nakładu. Jak na dzisiejsze czasy to niemało, ale też zaczęło się bardzo obiecująco - ciągnął, spoglądając to na Rotasa, to na Stockenhausena. - Jeżeli nakład szybko się sprzedaje, w kilka dni mogę dodrukować drugie tyle. Jedną dziesiątą przewidywanych zysków przeznaczę na promocję.

Słuchając tego monologu, Julian z trudem wierzył, że chodzi o niego. Wydarzenia ostatnich kilku godzin wciąż wydawały mu się dziwnym snem, z którego kiedyś przyjdzie się obudzić. Tłum dziennikarzy, powtarzające się pytania, gratulacje, jego nazwisko odmieniane przez wszystkie przypadki. Podobne sceny widywał po wielokroć, ale zawsze dotyczyły innych. Tego wieczoru raz po raz łapał się na myśli, że gdyby w takiej chwili miał obok siebie Helenę, łatwiej byłoby mu się cieszyć. Problem nawet nie w tym, że do pełni szczęścia brakowało mu obecności Heleny. Helena była jak talizman. Sprawiała, że niemożliwe stawało się możliwe. A może tak bardzo sam chciał w to uwierzyć, że sobie to wmówił?

W głowie huczało mu od nadmiaru wrażeń. Za dużo stawia pytań. Powinien przyjmować rzeczy takimi, jakie są.

- Chyba jednak się napiję - postanowił i zawołał do barmanki: - Podwójny koniak, proszę!

Z radioodbiornika na półce w rogu sali płynęła stonowana muzyka. Wraz z wybiciem dwudziestej trzeciej rozpoczął się cogodzinny serwis. Julian upił koniaku i potrzymał go w ustach, aż poczuł drętwienie języka.

Spikerka czytała aksamitnym głosem: „Choć wybór laureata nie był dla niektórych zaskoczeniem, okazało się, że werdykt kapituły ma swój niespodziewany ciąg dalszy. Prawdziwym bohaterem wieczoru został Julian Rotas, współautor nagrodzonej książki”. Jednym haustem opróżnił kieliszek. Znał to wszystko niemal na pamięć. „Niespodziewany obrót wydarzeń”, „Dramaturgia godna Hitchcocka”, „Skupił na sobie uwagę wszystkich”.

Stockenhausen wyjął telefon i spojrzał znacząco na zegarek.

- Zamawiam taksówkę, panie Julianie. Podrzucić pana?

- Tak, chętnie skorzystam.

Arnicz zrozumiał aluzję i poderwał się z krzesła.

- Na mnie też pora. Panie Julianie, jestem do dyspozycji. Jeśli będzie pan miał jakąkolwiek sprawę, proszę dzwonić bez względu na porę dnia.

Uściskał im jowialnie dłonie, położył na ladzie baru sto złotych i podreptał ku drzwiom. Zanim wyszedł, odwrócił się, by raz jeszcze pomachać ręką na pożegnanie.

- Wyczuł swoje pięć minut - mruknął Stockenhausen bez złościwości. - Idziemy?

Julian regulował właśnie rachunek, kiedy radio przerwało nadawanie muzyki. Spikerka poważnym głosem odczytała wiadomość z ostatniej chwili. Rotas zatrzymał się i nadstawił ucha.

- Może pani zrobić głośniejsze? - poprosił barmankę.

Teraz już wyraźnie słyszał ciąg dalszy radiowej informacji: „Ceniony w kraju i za granicą, uznawany za czołowego awangardzistę współczesnej sztuki, zasłynął przede wszystkim z rzeźbiarskich instalacji, w których łączył wielowiekowe archetypy i symbolikę naszego stulecia. Tragiczna śmierć Hornika stanowi niepowetowaną stratę dla polskiej kultury”.

Stockenhausen słuchał, kiwając głową. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego wiadomością.

- Pan wiedział wcześniej?

- Tuż po dziewiątej miałem telefon z Zachęty. Nie znam szczegółów. W każdym razie to dość makabryczna historia. Podobno powiesił się na sali wystawowej przy swoich eksponatach. Chodźmy, taksówka już pewnie czeka. Dokąd pana podrzucić? Do domu?

Julian przytaknął mechanicznie. Nie potrafił przestać myśleć o Horniku. Znał go tylko przelotnie i z całą pewnością nie miał powodu darzyć sympatią. Mimo to śmierć artysty naprawdę go poruszyła. Kiedy wsiedli do taksówki, nie mógł się powstrzymać przed zadaniem pytania:

- Co się mogło stać? Jak pan myśli?

- Pyta pan o Hornika? Miał pewne problemy natury emocjonalnej. Można to nazwać artystycznym rozdwojeniem osobowości. Sam pan pamięta, jak z niczego zrobił wtedy afery na wernisażu. A ostatnio dostało mu się mocno od krytyków. Cały czas na szczycie i raptem, bach! Poleciał w dół. To naprawdę boli. O, chyba już dojeżdżamy.

Taksówka skręciła z Solca w aleję 3 Maja i zatrzymała się na wysokości domu Juliana. Stockenhausen przytrzymał mu rękę i powiedział ciepło:

- Los najwyraźniej panu sprzyja. Niech pan tego nie zaprzepaści. Proszę pamiętać, na mnie może pan zawsze liczyć.

- Wiem. Dobry agent literacki wart jest więcej niż rodzona matka - zażartował Rotas.

- Żeby pan wiedział. Chociaż mnie może pan uważać za kogoś więcej niż agenta literackiego. Dawniej kogoś takiego jak ja nazywano protektorem, mecenasem bądź patronem.

Julian wszedł po schodach, zamiast wjechać windą. Starał się jak najciszej otwierać drzwi, żeby nie obudzić babci Janiny. Niepotrzebnie. W jej pokoiku wciąż paliło się światło.

- To ty?! - zawołała histerycznie.

Leżała w łóżku wsparta na dwóch poduszkach. W ręku różaniec, na kołdrze otwarty modlitewnik. Świeca na szafce była zapalona. Ze świętego obrazka, opartego o lichtarz, spoglądała Matka Boska Nieustającej Pomocy.

- Bogu niech będą dzięki! - krzyknęła na widok Juliana i zaczęła obcałowywać krzyżyk różańca.

- Mówiłem, że wrócę później.

- Zapowiadałeś, że do dziesiątej! - fuknęła. - Ja tu się zamartwiam, pacierze zanoszę!

- Jestem dorosły, babciu. - Nachylił się, by pocałować ją w czoło.

Pociągnęła nosem.

- Piłeś? No, ładnie! Tak to się zaczyna! Wpadłeś w złe towarzystwo. Z kim byłeś?

Pokręcił głową. Jak spróbować jej wyjaśnić, że świat nie jest wyłącznie czarny i biały? Że on, Julian, chce czegoś więcej niż dożywotnia posada w dzienniku i bogobojna żona? Czy zrozumie, że wydarzyło się coś niezwykłego? Że w jeden wieczór osiągnął to, o czym jeszcze wczoraj nawet nie marzył? Pokazywali mu w telewizji, babciu, mówili o nim w radiu, jutro będą o nim pisać w gazetach. Nie, nic by to nie dało. Odkąd przed dziesięcioma laty kazała usunąć z pokoju telewizor, słucha jednej stacji radiowej i niczego nie czyta. Ma własny świat. Czarno-białą szachownicę. Wszystko przypasowuje do tych dwóch kolorów. Bóg, praca i modlitwa. Piekło i potępienie. Droga do zbawienia wiedzie przez modlitwę. Różaniec zbawi świat. Diabeł jest wszędzie, Julku. Oddaj mu palec, weźmie całą duszę.

A marzenia? Gdzie miejsce na marzenia?

Po co marzenia? Marzyć to pragnąć, a pragnąć znaczy grzeszyć. Kiedy otwierasz serce na marzenia, to jakbyś zapraszał Złego. Sam zostawiasz mu uchyloną furtkę. Odślaniasz najwrażliwsze miejsce. Stajesz się bardziej podatny na jego knowania. Julku, czy ta książka jest ci potrzebna do nauki? Pamiętaj, że czas, który kradniesz Panu, ofiarowujesz w prezencie szatanowi. A ksiądz Łęcki skarżył mi się dzisiaj, że jak służyłeś w niedzielę do mszy, to

miałeś cały czas rozproszoną uwagę. Aż musiał cię skarcić...

- Był dziś ksiądz Janiak - usłyszał niespodzianie. Wspomnienia z dzieciństwa momentalnie uleciały. - Pytał, gdzie jest krzyż, który powiesił ci w pokoju - dokończyła z pretensją w głosie.

- Ściana jest krzywa. Musiałem przewiesić - skłamał na poczekaniu.

- Podobno od dwóch miesięcy nie widział cię w kościele.

- Chodzę teraz do Świętego Krzyża - skłamał ponownie.

Przeżegnała go różańcem.

- Przyjmujesz Pana Jezusa?

- To znaczy?

- Jak często przystępujesz do komunii?

Udał, że się zastanawia.

- Byłem na Wielkanoc - zełgał gładko. Raptem stanął mu przed oczami Hornik i jego *Trójgwoźdzenie*. A w ślad za tym przyszła myśl o trzech gwoździach Chrystusa i o Piotrze, który trzykrotnie zaparł się Pana. Dobrze sobie! Najwidoczniej udzieliła mu się atmosfera w pokoiku babki. Skłamał, no i co z tego? Czy kogoś kiedykolwiek skrzywdził? Zabił, zgwałcił, okradł? Po co ma udawać, jak ta zdewociała staruszka, że jest powołany do świętości? Świat został stworzony dla grzeszników, nie dla świętoszków. Jak to powiedział Marlowe: „Jeśli mówimy, żeśmy bez grzechu, sami się zwodzimy i prawdy w nas nie ma”.

- On tu jest! - zawołała histerycznie babcia Janina. Chwyciła Juliana za rękę i ścisnęła mocno.

- Kto? - Rozejrzał się niepewnie.

- Nie! - krzyknęła, aż zachłysnęła się śliną. - Nie wymówię tego imienia! Panie Boże, dopomóż! Ratuj, święta Panienko! Wszyscy święci, przybywajcie! - Usiadła wyprostowana jak struna i obracając w palcach paciorki różańca, zaczęła się modlić. Mówiła szybko, połykając słowa i raz po raz robiąc znak krzyża różańcem.

- Nikogo tu nie ma - przemówił jak do dziecka. Objął ją delikatnie ramieniem i spróbował nakłonić, by się położyła. Szarpnęła mu się z niespodziewaną siłą.

- Czuję go! Jest tutaj! Widzisz, jak płomień świecy barwi się na niebiesko? - Opadła wycieńczona na poduszki. Oddychała szybko. - Złym oddechem nas poraża! - wychrypiąła nieswoim głosem. - Krąży jak lew, szukając, kogo pożreć! Ogień piekielny już rozpalił, podsycyca płomienie. Czujesz ten gorąc?

Czoło miała zimne, ale policzki rozpalone. Majaczenie wydawało się następstwem gorączki, którą zapewne wywołały nadmiar ostatnich wzruszeń i zwykła u niej religijna

nadgorliwość, która, co zdarza się u dewotek, przybrała postać ekstazy. Wiedział, że na taką przypadłość nie ma innego lekarstwa jak uległość wobec chorego. Dlatego nie oponował, kiedy chwycił go za rękę, zawołała przynaglająco, z tym rodzajem żarliwości, który bywa wynikiem ekstatycznego uniesienia:

- Módlmy się! Modlitwa to mur, którego nie przeniknie! Klękaj! Klęknij obok i mów razem ze mną!

Klęknął posłusznie i wspólnie zaczęli odmawiać zdrowaśki i Ojciec Nasz. Co jakiś czas myliła się i zaczynała cząstkę różańca od nowa. W końcu przestała przesuwać paciorki; nie wypuszczając różańca, mamrotała coś dalej z przymkniętymi oczami. Sam nie przerywał modlitwy, ściszył tylko głos, obserwując bacznie wyraz jej twarzy. Kiedy upewnił się, że zasnęła, zdmuchnął świecę i zgasił światło, po czym bezszelestnie zamknął drzwi. Po kwadransie zajrzał do niej: spała twardym snem, z różańcem w półotwartej dłoni. Uspokojony wrócił do siebie. Na zegarze była już pierwsza. Słaniał się na nogach. Rozebrał się i, rezygnując z prysznicą, położył do łóżka. Prawie natychmiast zasnął.

We śnie odwiedził go Starnicki. Tłumaczył coś Julianowi długo i zawile. Ale słowa nie dochodziły do dziennikarza, tak jakby między nimi postawiono ścianę ze szkła. Starnicki chyba to nareszcie zrozumiał, bo jął walić zaciekle w niewidzialną szybę. Narobił dużo hałasu, ale szyby nie rozbił. Tej nocy wracał jeszcze kilkakrotnie; usta wykrzywił, krzyczał bezgłośnie, napierał całym ciałem na przeszkodę. Jednak jego wysiłki na nic się nie zdały. Ściana jak stała, tak stała. Tyle że na jej przezroczystej tafli wykwitły ciemne zacieki i zaczęły się rozlewać na całą powierzchnię, aż wreszcie oddzielała ich czarna maź, przez którą nic nie dawało się dojrzeć. Starnicki zniknął na dobre.

Po przebudzeniu nasłuchiwał chwilę pod drzwiami pokoiku staruszki. Wbrew swoim zwyczajom przespała poranny różaniec, bo nie słyszał radia ani zwykłych o tej porze odgłosów krzątania. Postanowił do niej zajrzeć. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to panujący w pokoju rozgardiasz. Szafka była przewrócona, na pościągany chodniczku wałała się kołdra, łóżko było w nieładzie. Babcia Janina leżała skulona na podłodze, z różańcem owiniętym wokół ręki, zwrócona twarzą do obrazu Świętej Rodziny. Musiała umierać w bólach, bo twarz miała ściągniętą grymasem, który zniekształcił jej rysy. Poruszając się jak w malignie, postawił szafkę na nóżki, umieścił na niej lichtarz i zapalił świecę. Wpatrzony w żółty, migotliwy płomień odmówił trzy razy Wieczny odpoczynek.



## Rozdział 15

### Umierać też trzeba umieć

Grabarze powierzyli ciało babci Janiny ziemi, ksiądz Janiak zaś w przepisowych modlitwach polecił jej duszę Bogu. Pochwaliwszy zalety i nadzwyczajną pobożność zmarłej, poprosił zebranych, żeby w tej śmierci widzieli obietnicę zbawienia, a nie tylko znak nietrwałości materialnego świata. Poza Julianem ostatnią posługę nieboszczce przyszli oddać leciwi sąsiedzi z kamienicy i trzy staruszki z kościelnego kółka różańcowego. W sumie zebrało się dziesięcioro żałobników. Obecność Henryka Stockenhausena była dla Rotasa niespodzianką; zjawił się w obowiązkowej czerni, uroczyście poważny. Składając Julianowi kondolencje, przybrał tak żalobną minę, jak gdyby ta śmierć była dla niego osobistą stratą.

- Nie chciałym, żeby zabrzmiało to niestosownie - podjął, kiedy kwadrans potem kroczyli cmentarną aleją w stronę bramy wyjściowej - ale wolę pogrzeby od ślubów. Ślub to krok w niepewność. Z pogrzebami jest inaczej. Są dopełnieniem całości, pożądaną ostatecznością, która kładzie kres niepewności doczesnego bytu.

Julian zaśmiał się gorzko.

- I która nieodwołalnie kończy życie - spuentował. - Potem już tylko niebyt. Koniec wszystkiego. Żegnajcie przyjaciele, żegnajcie książki, żegnaj lampko koniaku przed snem. Było, nie ma.

- Nie powiedziałem, że śmierć jest kresem wszystkiego. Powiedziałem tylko, że kończy ziemski żywot.

- Myśli pan o życiu po życiu? Pan w to wierzy?

- Wiara? Można i tak to nazwać - Stockenhausen dodał z namysłem. Zamilkł, jakby stracił chęć do rozmowy.

W milczeniu przekroczyli cmentarną bramę i tam się rozstali.

\*

Pięć godzin później spotkał Stockenhausena na Powązkach, na pogrzebie Starnickiego. Po mszy celebrowanej przez księdza Jana Zawitkowskiego, duszpasterza środowisk twórczych, kondukt żałobników odprowadził pisarza do rodzinnego grobowca. Trzystuosobowy tłum wypełnił sąsiednie alejki, nie pozostawiając wiele miejsca dla ekip telewizyjnych. Minister kultury Szczepan Kralec, najwyższy rangą z obecnych na pogrzebie

oficjeli, ograniczył się do sztamkowej formułki o zasługach zmarłego dla polskiej literatury. Andrzej Konar, który wystąpił w imieniu literatów, wygłosił dziesięciominutowy wykład o roli literatury w kształtowaniu tożsamości narodowej, nie zapominając napomknąć w tym kontekście o sobie.

Henryk Stockenhausen stał tuż przy księdzu Zawitkowskim, kilka kroków od wdowy. Julian przecisnął się przez ciżbę i stanął po drugiej stronie grobowca, na wprost szefa TeNeT-u. W przeciwieństwie do większości zebranych Stockenhausen nie rozglądał się po tłumie i nie lustrował sąsiadów. Jako jeden z nielicznych odpowiadał bezbłędnie na modlitewne formułki. Nie uszło to uwagi kapłana. Kiedy trumna spoczęła już w grobowcu, ksiądz Zawitkowski złożył kondolencje wdowie, po czym zwrócił się właśnie do Stockenhausena:

- Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia - wyrecytował. - Pokładajmy wiarę w Panu, że w swej nieskończonej dobroci przyjął duszę zmarłego w poczet wybranych. Pan, jak rozumiem, jest krewnym?

- Żałuję, ale nie - odparł Stockenhausen, odwzajemniając uścisk dłoni. - Łączyło nas, jeśli wolno mi tak powiedzieć, powinowactwo umysłów.

Dalsza część rozmowy umknęła uwagi Juliana, bo składał właśnie kondolencje Ludmile Starnickiej. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Zawitkowski i Stockenhausen wciąż dyskutują. Zbliżył się do nich.

- Tak też myślałem - mówił z ożywieniem Zawitkowski, trzymając brewiarz pod pachą. - Z racji swoich funkcji znam większość osób ze środowiska artystycznego. A pana istotnie nie miałem przyjemności spotkać.

- Łączy nas więcej, niż ksiądz przypuszcza - zauważył Stockenhausen. - W pewnym sensie ja także jestem łowcą dusz.

- Oj, chyba nawet więcej niż to! - Zawitkowski pogroził mu żartobliwie palcem. - Ja tylko zabiegam o dusze, pan poluje na talenty. Ale o wilku mowa - rzekł, pokazując Juliana. - Czyż to nie kolejny pański podopieczny? Alter ego świętej pamięci pana Bolesława.

- Zapewniam księdza - podchwycił Stockenhausen, jednocześnie zachęcając dziennikarza, by do nich podszedł - że pana Rotasa czeka długi literacki żywot. Wiele sobie obiecuję po jego debiutanckiej książce. Spodziewam się, że jako znawca literatury doceni ksiądz dzieło nie tylko z racji zawodowych zainteresowań.

- Zawodowych?

- Mam na myśli zakres poruszanych tematów. Reinterpretacja mitu o Fauście. Piekło a niebo. Śmierć jako kara za grzechy. Wolność wyboru a nieuchronność przeznaczenia. A wszystko to w doskonałej literackiej oprawie.

- Dla mnie to literacki prowincjonalizm - usłyszał Julian znajomy głos. Andrzej Konar musiał od pewnego czasu przysłuchiwać się ich rozmowie. Gładko wygolony, w doskonale skrojonym czarnym garniturze, mówił dalej, nie zważając na obecność Rotasa: - Pisanie o Fauście to powielanie tematu, który inni opowiedzieli na dziesiątki sposobów. Z taką literaturą cofamy się, a nie idziemy do przodu. Możliwe, że książka jest dobrze napisana. Ale może się podobać najwyżej jako literacki ozdobnik, błyskotka. To nie literatura.

Stockenhausen lekko zmrużył oczy. Spojrzał na Juliana. Ten milczał, kompletnie zaskoczony.

- Literatura - podjął Stockenhausen - to przede wszystkim ciekawie opowiedziana historia.

Konar kpiąco pokręcił głową.

- To stąd właśnie biorą się te wszystkie omamenciki, literackie arabeski funta kłaków niewarte.

- Pan, jak rozumiem, woli awangardę.

- Gardzę awangardą, jeśli ma być tylko sztuką dla sztuki! Ja chcę pokazywać życie! Mięso i krew! Nie jakieś tam pogaduchy o piekle i raju. Taka pisanina to śmierć literatury.

Konar zachowywał się coraz agresywniej. Był wyraźnie niezadowolony, że Julian nie daje się sprowokować. Ksiądz Zawitkowski chyba wyczuł jego intencje, bo odezwał się na poły żartobliwie:

- Proponuję przenieść tę dyskusję gdzie indziej. Cmentarz nie jest najlepszym miejscem do rozmów o pogrzebie literatury.

Ruszył energicznie ku głównej alei, pociągając za sobą Stockenhausena i Juliana. Konar zrównał się z nimi. Tym razem postanowił przypuścić atak od innej strony.

- Chciałbym być dobrze zrozumiany - rozpoczął pokojowo. - Nie atakuję książki ani jej autora. Mówię o dysproporcjach między naszymi oczekiwaniami wobec literatury a miałością oferty, z jaką mamy na co dzień do czynienia. Nie wolno nam zadowalać się namiastką literatury. Skończmy z kalkowaniem odwiecznie tych samych tematów. Miłość? Bardzo proszę, ale bez tego balastu cukierkowej romantyczności, która bardziej przystaje do dziewiętnastego wieku.

Julian popatrzył na niego chłodno.

- Czyli tak, jak to przedstawia pan w *Ptakach w słońcu*?

- Chociażby. Życie trwa zbyt krótko, by tracić czas na miłosne dyrdymały. Kobiety lubią, żeby traktować je ostro. Jeszcze pan tego nie wie?

W tej samej chwili Julian przypomniał sobie spłoszone spojrzenie Heleny, kiedy

nieoczekiwanie natknęła się na Konara w Czytelniku. Poczłł niepohamowaną ochotę, by zdzielić go w tę gogusiowatą gębę. Nagle jak z oddali usłyszał głos Stockenhausena:

- Każde miejsce nadaje się na pochówek.

Konar wybałuszył oczy. Rotas i Zawitkowski mieli równie niemądre miny.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał przewodniczący kapituły Nagrody im. Sztiglera. Odsunął się nieco od rozmówcy.

- Cytat z Marlowe'a - wyjaśnił szef TeNet-u. - Uniwersalna alegoria uniwersalnego fenomenu, jakim jest umieranie. Śmierć jest niezaprzeczalnie zjawiskiem powszechnym i prawie zawsze niezapowiedzianym. Gdziekolwiek więc jesteśmy, musimy być przygotowani na jej nadejście.

- Innymi słowy: Strzeżcie się, bo nie znacie dnia ani godziny - wtrącił ksiądz Zawitkowski. - Widzę, że niewiele wiem o Marlowe. Pańska książka, panie Julianie, zapowiada się na ciekawą lekturę.

Rotas uśmiechnął się. Ksiądz Zawitkowski naprawdę niewiele wiedział o Marlowe.

W milczeniu zbliżali się do bramy. Stockenhausen odezwał się do Konara:

- Źle pan robi, wykpiwając tematy uniwersalne. Źe się powtarzają, nie wnoszą nic oryginalnego? Przecież uniwersalne znaczy powszechne. Coś, czemu wszyscy podlegamy. Śmierć, miłość, zbawienie, potępienie. Piekło.

- Piekło? - Konar się zaśmiał. - Mam wierzyć w ogień piekielny? Chyba nawet ksiądz nie będzie mi wmawiał, że sam w to wierzy.

Zawitkowski potarł ręką czoło.

- Nie tak literalnie, rzecz jasna - podjął z namysłem. - Świat się zmienia. Niemal każde zjawisko z czasem wymaga zdefiniowania od nowa. Dziś bliżej nam do wizji piekła w interpretacji Orygenesusa niż świętego Pawła. Współczesna teologia interpretuje piekło jako stan permanentnego cierpienia, któremu podlegamy wskutek wyrządzonego przez nas, a nie naprawionego za życia zła. - Czyli pełny subiektywizm. Wyrzuty sumienia to tylko niepokój wątroby. Nadmiar zebranej żółci.

- Idąc tropem pańskiego rozumowania - włączył się Stockenhausen z ironicznym uśmiechem - Dante cierpiał zapewne na nadkwaśność.

- Albo faszerował się halucynogennymi grzybkami - odparował Konar. - Owszem, zgadzam się, że przedstawił w zajmujący sposób infernalne sceny. Ale to tylko jego osobista, poetycka wizja, nie żadne realne doświadczenie.

Szef TeNeT-u zdjął chusteczkę z rękawa marynarki pajęczka, który zsunął się z gałęzi. Strzepnął go ostrożnie na pobocze alei. Przekroczyli bramę cmentarza i skręcili w

prawo.

- A skąd pan wie, że Dante sam wszystkiego nie przeżył? - zapytał całkiem poważnie.

Konar parsknął śmiechem.

- Przecież *Boska Komedia* to nie reportaż z piekła, tylko opis stanu umysłu poety. Równie dobrze mógłby mi pan kazać uwierzyć, że rozmowa Enkidu z Gilgameszem o piekło to zapis autentycznych doświadczeń. - Spojrzał na zegarek. - Piekło to czysta imaginacja.

Stockenhausen chciał mu odpowiedzieć, ale potknął się o kamień.

- Piekło, drogi panie - odparł, odzyskawszy równowagę - jest bliżej, niż się panu wydaje. - Po czym dodał tajemniczo: - Radzę uważnie patrzeć pod nogi.

- Hm? Panowie pozwolą, że się pożegnam. - Konar zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. - Za trzy dni lecę do Ameryki. Przed wyjazdem mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

- Do Ameryki? - Stockenhausen uśmiechnął się kącikiem ust. - To interesujące - powiedział do siebie, gdy Konar zajął już miejsce i taksówka ruszyła z piskiem opon.

Julian zaczął się rozglądać za postojem taxi. Zawitkowski spytał, kierując się do zaparkowanego w pobliżu granatowego forda:

- Podrzucić pana? Jadę na Miodową.

Zabrali się obaj: Rotas i Stockenhausen. Julian musiał jeszcze wracać do redakcji, a szef TeNeT-u zamierzał wpaść na chwilę do biura na Foksal. Zawitkowski wysadził ich na rogu Świętokrzyskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Poszli Nowym Światem: Julian kierował się do ronda de Gaulle'a, Stockenhausen zamierzał skręcić w Foksal. Zdążyli ująć z dziesięć kroków, kiedy coś śmignęło w powietrzu i na chodnik, tuż przed dziennikarzem, spadł pies. Nieduży czarno-biały kundelek, właściwie szczeniak jeszcze. Chlipnął dwa razy, przeciągnął się konwulsyjnie i znieruchomiał.

Stockenhausen nachylił się nad zwierzęciem.

- Nie żyje.

Julian rozejrzał się po okolicznych oknach. W jednym ze szczytowych okienek na czwartym piętrze dojrzał mężczyznę w podkoszulku; na oko blisko pięćdziesiątki, z tatuażami na rękach, oparł się łokciami o parapet i wychylony do połowy, spoglądał na chodnik.

- I co się, kurwa, gapisz?! - ryknął pijackim głosem.

Tymczasem na chodniku zrobiło się spore zbiegowisko.

Przez tłum gapiów przedarła się elegantka w różowym kostiumie i wielkim kapeluszu. Nie zważając na ubranie, chwyciła psiaka na ręce.

- Kanalia! - krzyknęła histerycznie. - Oprawca! Niech ktoś wezwie policję!

- Pierdol się! - wybełkotał pijak i trzasnął oknem.

- Obiję draniowi mordę! - zawołał krótko ostrzyżony młodzian o wyglądzie zapaśnika.

- Panie, ja go znam - powstrzymał młodzieńca chudy staruszek w kraciastych spodniach. - To Zenek Szmulko, zakała całego podwórka. Dopiero co z kicia wrócił. Dla takiego ukatrupić człowieka to tyle, co splunąć.

Julian zaczął wybierać numer na komórce. Stockenhausen pociągnął go za rękaw.

- Chodźmy już.

- Trzeba wezwać policję!

- Ten siwy w marynarce już zadzwonił. Zaraz przyjadą. Nic tu po nas.

Przecisnęli się przez ciżbę i przeszedłszy na drugą stronę ulicy, ruszyli dalej Nowym Światem.

- Bestia nie człowiek! - Rotas kopnął ze złością kamyk.

- Nic mu nie zrobią. Maksymalny wyrok za zabicie zwierzęcia ze szczególnym okrucieństwem to dwa lata. A i tak najczęściej dają w zawieszeniu. O ile znam życie, cała sprawa skończy się grzywną.

- Takiego to i nie żal zabić!

- Święte słowa, Julianie.

Stockenhausen pierwszy raz zwrócił się do niego po imieniu. Milczał teraz, nad czymś się zastanawiając.

- Prawdziwe zło, Julianie - odezwał się jakoś tak uroczyście i położył mu rękę na ramieniu przyjaznym gestem - to takie, które niczemu nie służy. Takie zło nie powinno ująć kary.

\* \* \*

Zenon Szmulko siedział przed włączonym telewizorem, blisko otwartego okna, i popijał piwo z puszki, kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

- Ki czort?

Zegar nad telewizorem pokazywał dziewiątą wieczór. Szmulko dźwignął się z fotela i spojrzał przez wizjer. Nikogo nie było. Pukanie powtórzyło się. Zaklął siarczyście i otworzył drzwi. Na wycieraczkę siedział pies. Masywnie zbudowany, morda jak u mastiffa, calutki czarny, jakby wytarzał się w smole.

- Poszedł, no już! - zawołał Szmulko i zamierzył się.

Pies ani drgnął. Mężczyzna poczuł się nieswojo. Duże bydlę, jeszcze ugryźć gotowe, pomyślał. Cofnął się, żeby zamknąć drzwi. Wtedy pies podniósł się i zrobił dwa kroki w jego stronę. Szmulko zaczął się cofać w głąb pokoju. Psisko szło prosto na niego, łypiąc wielkimi

ślepiami, łeb zwieszony, kikut ogona sztywny. Wskoczył na fotel, gubiąc pantofel, stamtąd wgramolił się na parapet. Przykucnął, ocalałym pantoflem rzucił w psa. Ten uchylił się leniwie, a następnie stanął na tylnych łapach. Kołysząc się z boku na bok jak marynarz, podszedł do okna i zatrzymał na wprost Zenka Szmulki.

- Widzisz, Szmulko - odezwał się ludzkim głosem - umierać też trzeba umieć.

Zamierzył się i jak zawodowy bokser zdzielił mężczyznę prawą łapą w podbródek, błyskawicznie poprawił lewą i wypchnął go przez okno. Wyrzał dla pewności na ulicę, po czym wyszedł z mieszkania i cicho zamknął za sobą drzwi.

## Rozdział 16

# Trzy Heleny

Po pogrzebie babci Janiny przez trzy dni nie zaglądał do jej pokoiku. Czasem miał wrażenie, że słyszy monotony głos staruszki, jakby odmawiała modlitwy albo czytała Pismo Święte. Raz nawet zdawało mu się, że gra jej radio; uchylił drzwi i chwilę nasłuchiwał. Radio było wyłączone. Jedyne stary ścienny zegar rytmicznie tykał.

Czwartego dnia postanowił przewietrzyć pokoik. Przy okazji zauważył, że zasłona jest przetarta, firanka postrzępiona i żółta, frędzle odprute w kilku miejscach. Rozejrzał się. Niewiele rzeczy nadawało się, by je pozostawić. Łóżko, oczywiście, do wyrzucenia. Komódki też nie warto poddawać renowacji, cały tył odpada. Obraz Świętej Rodziny? Zwykły oleodruk; kolory wyblakły, z ram dawno zesza złota farba. Żaden zabytek. Kto by dzisiaj takie rzeczy odnawiał. Jak już wszystko uprzątnie, każe pokoik wyremontować. Może urządzi tu sobie gabinet?

Nie posunął się jednak do tego, by cokolwiek wyrzucić. Zwlekał z decyzją. Ostatecznie zdobył się tylko na to, że ubrania staruszki zapakował w plastikowe torby i wyniósł na zagracony strych. Zamknął na powrót pokój, obiecując sobie, że zrobi w nim porządek, kiedy będzie miał urlop.

Czasem nachodziła go myśl, że zbyt łatwo pogodził się z odejściem babci Janiny. By uciszyć sumienie, tłumaczył sobie, że sama od dawna gotowała się na śmierć. Zwykła powtarzać, że większość znajomych i krewnych już odeszła i niewiele wiąże ją z doczesnym światem. Pocieszeniem musiała być też dla niej wiara. Sam nie umiał tak wierzyć.

Czym innym była sfera religijnych wzruszeń, tożsama z tęsknotą za beztroskim dzieciństwem, gdy żyli jeszcze rodzice, czym innym zaś trzeźwe myślenie. Trzeźwe myślenie domagało się dowodu, wiara opierała się na nieweryfikowalnych aksjomatach. Oba światy dzieliła luka zbyt duża, by mogły ją wypełnić modlitwa i kościół. Z czasem obu tych powinności zaniedbał, usprawiedliwiając się przed sobą nadmiarem obowiązków i brakiem czasu. Chyba naprawdę uwierzył, że samo bycie uczciwym i porządnym wystarcza do zbawienia. Jeśli, oczywiście, wiara w istnienie Boga nie jest tylko wynikiem reakcji chemicznych w mózgu. Albo pochodną archetypowego lęku przed wszystkim, co nieznanne.

Swoje zachowanie nazywał „umiarkowaną religijnością”. To prawda, że od długiego



czasu była ona wystawiona na próbę. Wpłynęła na to religijna postawa staruszki, z wiekiem coraz bardziej drażniąca. Afektowana pobożność, dewocja podparta starczymi nawykami. Ten rodzaj wiary, który tym silniej deklarujemy, im bliżej jesteśmy grobu. Wszystko to razem sprawiło, że rodził się w nim bunt, który coraz bardziej oddalał go od Kościoła, tym właśnie tłumaczył sobie fakt, że zdjął ze ściany krzyż od księdza Janiaka. Dla usprawiedliwienia dodawał zaraz, że nie sam krzyż go irytował, ale sposób, w jaki go przekazano. Nie mówiąc o motywacji, która się za tym kryła.

Piątego dnia po pogrzebie niespodziewaną wizytę złożył mu Stockenhausen. Julian ucieszył się nawet na jego widok. Poza pracą z rzadka widywał ludzi. Im lepiej zaś poznawał szefa TeNeT-u, tym większą darzył go sympatią. Czuł się przy nim niezwykle pewnie, tak jakby sama obecność Stockenhausena była gwarancją, że nic złego nie może się przytrafić.

Stockenhausen przyjrzał mu się uważnie. Od dnia pogrzebu ich stosunki nabrały pewnej zażyłości. Choć starszy od Juliana zaledwie o kilka lat, wykazywał ojcowską nadopiekuńczość i traktował dziennikarza bardziej jak przyjaciela niż klienta.

- Nie dajesz znaku życia - zaczął z troską w głosie.

- Miałem trochę roboty. Przejrzałem dokumenty po dziadkach, zrobiłem porządek z książkami. Powyrzucałem niepotrzebne rzeczy z pokoju babki. Będę się musiał przymierzyć do remontu.

Henryk rozejrzał się po pokoju.

- Nie myślałeś o zmianie mieszkania?

Pytanie zaskoczyło Rotasa. Kiedy żyła babcia Janina, nigdy się nad tym nie zastanawiał. To było przecież ich „rodzinne gniazdo”. Dziadkowie zamieszkali tu niemal zaraz po wojnie, tutaj też przyszedł na świat Julian. Tyle że gniazdo to szybko zaczęło pustoszeć. Rodzice Rotasa zginęli w wypadku, a dziadek przeżył ich tylko o kilka lat. Wraz ze śmiercią babci Janiny pękło ostatnie ogniwo, które wiązało go z tym miejscem.

Henryk Stockenhausen jakby odgadł jego myśli, bo odezwał się życzliwie:

- W takich sytuacjach zmiana miejsca często wychodzi na dobre.

- Może i tak. Chociaż na razie nie mam do tego głowy. Trzeba by też pewnie włożyć w to sporo pieniędzy.

- Niekoniecznie. - Szef TeNeT-u przerwał marsz po pokoju i usiadł przy stole. - W ramach rozliczeń z dłużnikiem przejąłem apartament w centrum. Formalnie jest własnością firmy, ale tak naprawdę należy do mnie. Nie musisz od razu kupować. Wprowadzisz się, pomieszkasz i z czasem sam zdecydujesz. Na pewno się dogadamy co do ceny.

Julian nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Henryk błędnie zinterpretował jego

wahanie, bo szybko dodał:

- Mieszkanie na pewno ci się spodoba. To nowy apartamentowiec przy Elektorальной. Dwudzieste piętro, okna wychodzą na Ogród Saski. Wspaniała panorama miasta.

- Wszystko pięknie, ale skąd na to pieniądze? Za mieszkanie dziadków dużo nie dostanę.

- Skoro mówimy już o pieniądzach, właściwie głównie w tej sprawie przychodzę. Wiesz co, napiłbym się kawy. Może być rozpuszczalna. - Poszedł z Julianem do kuchni. Usadowiwszy się na wysokim taborecie, podjął przerwany temat: - Potwierdza się stara prawda, że nic tak nie pomaga jak mały skandalik. Dzięki aferze wokół Nagrody Sztiglera stałeś się w ciągu kilku dni nieomal sławny. Masz pojęcie, że Arnicz dostał już zamówienia na trzydzieści tysięcy egzemplarzy twojej książki? Nie poszła jeszcze do druku, a cały nakład został praktycznie sprzedany. Co ty na to? - Oślodził kawę i wypił dwa łyki.

- Aż mi się wierzyć nie chce.

- A wracając do pieniędzy, Arnicz gotów jest ci wypłacić całkiem sporą zaliczkę. Chce też dać zaliczkę na poczet nowej książki.

- Niczego jeszcze nawet nie zacząłem.

- Niedługo będą ci płacić za samo nazwisko. I pamiętaj, że to żadna jałmużna. Jeżeli tobie uda się sporo zarobić, to inni zarobią dużo, dużo więcej. - Dosłodził kawę i wymieszał. - Oczywiście, ja już dopilnuję, żeby Arnicz za bardzo cię nie wydoił.

Przerwał mu sygnał telefonu informujący o tym, że otrzymał wiadomość. Wyjął aparat i szybko przeczytał tekst.

- Będę się zbierał. Aha, prawie bym zapomniał. Dziś rano zadzwonił do mnie twój naczelny.

- Kurcawicz?

- Właśnie. Chcieliby drukować w sobotnim magazynie twoje opowiadania, te firmowane pierwotnie przez Starnickiego. Wychwalał cię pod niebiosa.

- Do ubiegłego tygodnia nawet nie wiedział, że u niego pracuję.

- Jeszcze tydzień temu, mój drogi, byłeś nikim. - Stojąc już w drzwiach, dodał żartobliwie: - Nie obraż się, ale kawę robisz fatalną. Powinieneś chyba pomyśleć o ożenku.

Ta ostatnia uwaga podziałała na Juliana deprymująco i mobilizująco zarazem. Kiedy szef TeNeT-u wyszedł, odszukał w kieszeni marynarki podręczny notes, wrócił do pokoju i sięgnął po telefon.

Stockenhausen przywołał obraz Heleny, a każda myśl o niej powodowała u Rotasa huśtawkę nastrojów. Wyczytał kiedyś w jakimś podręcznym romansie, że miłość nie

spełniona jest jak choroba duszy, która w krótkim czasie atakuje ciało. Teraz sam doświadczał tego stanu. Może znamię na plecach jest bezpośrednim następstwem tej przypadłości? Zdarza się przecież, że trawiąca organizm gorączka objawia się wysypką bądź innymi zmianami skórnymi. Podobnie dziać się może w przypadku dolegliwości o podłożu emocjonalnym.

Wydarzeniami ostatnich tygodni można by z powodzeniem obdzielić pięć osób: śmierć Starnickiego, pojawienie się Stockenhausena, przyjęcie książki przez Arnicza, perypetie związane z Nagrodą Sztiglera, wreszcie śmierć babci Janiny. Chwilami bieg wydarzeń angażował go bez reszty, jednak myśl o Helenie co jakiś czas powracała. Najgorsze było uczucie niemocy. Nowy Jork daleko - ani się spotkać, ani porozmawiać. Oczywiście, są telefony, ale o pewnych sprawach nie sposób mówić na odległość. A jeśli jej nagły wyjazd nie był kwestią przypadku? Może chciała przed czymś uciec?

Numer do Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku nosił w notesie już od tygodnia. W pracy przymierzał się kilkakrotnie, żeby zadzwonić, ale zawsze ktoś mu w tym przeszkadzał. Z uwagi na różnicę czasu mógł próbować najwcześniej po południu, o tej porze zaś redakcja pracowała pełną parą. W domu z kolei wynajdywał tysiące powodów, żeby poczekać z telefonem do następnego dnia. Bał się tego, co mógłby usłyszeć. Dzisiejsza wizyta Stockenhausena przyspieszyła podjęcie decyzji.

Sprawdził godzinę na zegarku. Dochodziła dziewiętnasta, w Nowym Jorku zaraz będzie pierwsza po południu. Odszukał w notesie stosowny zapis pod literą „H” i szybko wybrał numer.

Nastąpiła seria trzasków, potem coś zaszumiało, wreszcie w słuchawce rozległo się kliknięcie. Usłyszał:

- *Polish Cultural Institute, may I help you?*

No tak, powinien był to przewidzieć.

- Dzwonię z Warszawy - zaczął pospiesznie, zapominając nawet o „Dzień dobry”. -

Poproszę z panią Heleną Saafjan.

W słuchawce rozbrzmiał polonez Chopina. Nagranie urwało się w połowie taktu.

- Dział promocji kultury, słucham.

Kobięcy głos, ale nie Helena.

- Chciałbym rozmawiać z panią Heleną Saafjan - powtórzył jak zakłęcie.

- Jest w tej chwili na służbowym lunchu. Może ja mogę w czymś pomóc?

- Dzwonię prywatnie.

- Chce pan zostawić wiadomość? Proszę podać nazwisko.

- Nie, dziękuję. Zadzwonię później.

Twarz go paliła, jakby krew z całego ciała napłynęła mu do głowy. W samej koszuli, bez marynarki, wyszedł, żeby się ochłodzić. Doszedł aż do Łazienek. Dopiero wieczorny ziąb uprzytomnił mu, że zrobiło się późno. Do domu wrócił grubo po jedenastej. Próbował zająć uwagę lekturą *Braci Karamazow*, ale tym razem nie na wiele się to zdało. O wpół do pierwszej wziął gorący prysznic i położył się do łóżka. Przez dwie godziny zmagał się z bezsennością. W końcu dał za wygraną. Łyknął dwie tabletki relanium i popiwszy je whisky, zwałił się na kołdrę. Dźwignął się jeszcze na łokciu, żeby zgasić lampkę. I wtedy stała się rzecz dziwna. Choć pociągał za wyłącznik, żarówka nie przestawała świecić. Mało tego: jaśniała coraz bardziej. Różowy klosz rozpałał się na czerwono, aż zaczął przypominać ognistą, pulsującą kulę.

- Miotasz się i miotasz - przemówiła, obracając się powoli i mrugając. - Innym nie dajesz spać. Masz robaki czy się przejadłeś?

- Co ty możesz wiedzieć?! Miłość mnie dopadła.

- Mówisz o Helenie?

- Skąd wiesz?

- Żadna tajemnica. I po co się tak męczyć? Tylko powiedz, że chcesz, a będzie twoja. Zaprowadzimy cię do niej. Więc jak?

Julian kiwa głową na znak zgody, nie pytając nawet, co ma oznaczać owa liczba mnoga. Kula zaczyna wirować coraz szybciej, rośnie w oczach, aż zamienia się w buchającą żarem bramę. Instykt nakazuje mu się cofnąć, ale jakaś siła wciąga go w głąb płonącego wylotu. Po chwili Julian pędzi wąskim tunelem, objęta się bezboleśnie o miękkie ściany. Ledwie zdążył policzyć do trzech, tunel się kończy i Rotas zawisa na rozgwieżdżonym niebie.

- Ach, co za noc! - mówi tuż obok rozmarzony głos.

Rozgląda się, ale wokół tylko ciemność i gwiazdy. Głos jest znajomy, lecz Julian żadną miarą nie potrafi powiązać go z osobą. A noc jest rzeczywiście piękna.

- Wymarzona pora na wyprawę - ciągnie przewodnik. - No to w drogę.

Ktoś chwyta go za rękę i Julian rozpoczyna podniebną wędrówkę. Nic nie zależy teraz od jego woli. Niewidzialny przewodnik sam zdaje się wiedzieć najlepiej, dokąd należy się kierować. W dole błyskają światła jakiegoś miasta. Obniżają lot i przemknąwszy nad nabrzeżem portowym, szybują ku niewysokim domom z mrugającymi czerwonymi neonami. Zawisają przed jednym z budynków, na wprost ogromnego wystawowego okna. Za szybą stoi szczupła szatynka: jedną rękę wsparła na biodrze, drugą przytrzymuje się krzesła. Drobne, kształtne piersi wystawia na widok idących ulicą mężczyzn, przez zwiewne koronkowe majteczki prześwituje ciemny trójkąt.

- Masz swoją Helenę - obwieszcza triumfalnie przewodnik. - Pięćdziesiąt marek i jest twoja.

Kobieta za szybko to na pierwszy rzut oka lustrzane odbicie Heleny. Ale Julian odkrywa z ulgą, że to nie ona.

- Helena nie ma na policzku pieprzyka - stwierdza.

- Przecież to wykapana Helena! - zachęca przewodnik. - Jeden pieprzyk nie może decydować o miłości. Co za różnica?

- To dziwka!

- Tym lepiej. Będzie wiedziała, jak ci dogodzić.

- Dureń jesteś! Nie o takiej miłości mówiłem. Zabierajmy się stąd!

- Po co te impertynencje?! - irytuje się przewodnik. - Chciałem dobrze. Miłość do niczego dobrego nie prowadzi. Zapamiętaj to sobie.

- Obiecałeś!

- Skoro się upierasz.

Pomknęli tak szybko, że Julianowi zapało dech w piersiach. Zwolnili nad rozległą wyspą rozświetloną jak choinka w Boże Narodzenie. Rotas rozpoznał zapamiętaną z pocztówek nocną panoramę Nowego Jorku. Zatoczyli koło wokół Statuy Wolności, precyzyjnie się między jedną z iglic w koronie a mocarnym ramieniem posągu, po czym skierowali się w prawo. Po chwili minęli ciemne oczodoły po wieżach World Trade Center. Pomykając dalej nad Manhattanem, dotarli do zachodnich obrzeży Central Parku. Przewodnik powiódł go w stronę wielopiętrowej eklektycznej kamienicy zwieńczonej tarasowym ogrodem. Wpłynęli do środka przez zamknięte, przesłonięte kotarą okno. Znaleźli się w sypialni. Z przyległego holu wpada stonowane światło.

- Właśnie przysnęła - informuje przewodnik. - Od tygodnia nie może zasnąć bez proszku. Może to i lepiej. Po tabletkach sen ma twardy, niczego nie będzie pamiętać.

Helena leży na wznak. Głowę opiera na prawej ręce, druga ręka spoczywa na cienkiej kołdrze. Ramiona ma obnażone, oddycha spokojnie. Powoli przewraca się na prawy bok i w tym momencie kołdra zsuwa się nieco, odsłaniając nagie udo i biodro. We śnie Helena odtrąca kołdrę i przeciąga się bezgłośnie. Jest naga.

- Prędko się nie obudzi - zapewnia przewodnik. - Nawet niczego sobie! Biodra nie za szerokie, jędrne pośladki.

- Chodźmy stąd!

- Żartujesz? Ciągniesz mnie przez pół świata, a potem co, ogon pod siebie? Już ci się nie podoba?

- Głupi jesteś. Nie wiesz, co to miłość.

- Przecież po to cię przyprowadziłem.

- Ty o chuci, ja o uczuciu.

- I kto tu opowiada bzdury?! Minie pożądanie, to i miłość odejdzie. Zostanie tylko przyzwyczajenie. Nuda i marazm. Dla artysty to zabójcza mieszanka. Nie rozumiesz, że przed tym właśnie chcę cię uchronić?

- Wyprowadź mnie stąd!

- Wolisz sobie wmawiać, że to miłość? Dobrze ci radzę, korzystaj z okazji, bo może się nie powtórzyć.

- Na wszystko przyjdzie czas.

- Czas, mówisz? - Przewodnik milczy, jakby coś rozważał. - Dobrze - mruczy wreszcie. - Coś ci jeszcze pokażę. Zatem odsłona trzecia.

Pokój zaczyna w zawrotnym tempie wirować. Ściany zlewają się w jedną szarą plamę, napierają na Juliana ze wszystkich stron. Tkwi wciśnięty w sam środek powietrznego wiru, który niczym olbrzymia karuzela obraca nim z impetem. Karuzela raptownie zwalnia, daje mu zaczerpnąć tchu. Wreszcie zatrzymuje się. Nadal są w zamkniętym pomieszczeniu. Pokój jest jednak przestronniejszy. Wygląda na salon o nowoczesnym wystroju: dominują lekkie meble o przezroczystych powierzchniach, ściany zdobią krzykliwe afigurane malowidła. Przy oknie, tyłem do Juliana, stoi kobieta. Rotas rozpoznaje szczupłą sylwetkę, charakterystyczne pochylenie głowy. Helena. Wszędzie by ją poznał. Helena odwraca się i rusza w głąb pokoju.

- I co teraz czujesz? - triumfuje niewidzialny przewodnik. - Miłość? Pożądanie?

Helena kuśtyka, prawy bok ma sztywny. Włosy wciąż nosi krótkie. Pewnie niedawno je farbowała, bo ledwie srebrzą się na skroniach. Pomarszczona twarz przypomina jabłko wysuszone na słońcu. Policzki jej się zapadły, spiczasta broda i sterczący nos przydają jej ptasiego wyglądu.

- Jak niedawno słusznie zauważyłeś, na wszystko przychodzi czas - podejmuje przewodnik. - Zobacz, co głupie pięćdziesiąt lat może zrobić z człowieka. Gościec, zwiotczenie mięśni, zmarszczki, starcze plamy na skórze. Powiem ci w tajemnicy, że doszły jej jeszcze problemy ze zwieraczem odbytu. No i jak ci się teraz podoba twoja piękna Helena?

Helena dokuśtykała do wazonu z herbacianymi różami. Poprawiła kwiaty. Ten gest coś Julianowi przypomniał. W kawiarni Czytelnika tak samo pochylała się nad stolikiem i podobnie się uśmiechała.

Przerwał mu terkotliwy dźwięk, jakby dzwonienie budzika.

- A przecież wcale nie musi tak być - ciągnie przewodnik, nie zrażony hałasem. - Helena nie musi się postarzać. Pomyśl o niej jak o obrazie. Kiedy ci się znudzi albo kiedy się zestarzeje, zawsze możesz namalować nowy. Jesteś artystą, Julianie. Powinieneś kochać rzeczy piękne i wyjątkowe. Masz prawo wybierać. Nie przystoi ci godzić się biernie na wyroki natury. To co, wracamy? Może zajrzysz jednak do tej ślicznotki z Hamburga? Co to jest pięćdziesiąt marek za miłość!

- Zostaję.

Rotas przestał się wahać. Może sprawił to gest Heleny, kiedy pochylała się nad kwiatami? A może postąpił tak z przekory, zwyczajnie na złość upartemu cerberowi?

- Ja was chyba nigdy nie zrozumie! - pożalił się przewodnik. - Źle wybrałeś. Miłość to niepewny interes, drogi Julianie.

Ostatnie słowa wypowiedział dziwnie znajomym tonem. Dziennikarz wysilił pamięć, ale tymczasem terkotanie przybrało na sile. Rozpraszało go. Rozejrzał się, szukając źródła hałasu.

Terkotanie nie ustawało.

W końcu sygnał telefonu rozbudził go na dobre. Poderwał się i jeszcze półprzytomny chwycił słuchawkę. Dzwonił Henryk Stockenhausen.

- Jesteś! - wołał podekscytowany. - Myślałem już, że poszedłeś do redakcji.

Julian spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

- Słuchaj - mówił Henryk, nie czekając na odpowiedź - zbieraj się i przyjeżdżaj jak najszybciej do mnie, na Foksal. Wszystko ci powiem na miejscu.

\* \* \*

Kiedy godzinę później zjawił się w pałacyku na Foksal, Stockenhausen od razu przystąpił do rzeczy.

- Szukaj się do wyjazdu. Nowojorski Instytut Kultury Polskiej organizuje coroczne dni polskiej literatury. Zaprośli wszystkich żyjących laureatów Nagrody Sztiglera. Będą Wilniak, Konar, Niezgódzki. Dzisiaj przyszło faksem zaproszenie dla ciebie.

- Kiedy to ma być?

- Lecisz za trzy dni.

- Nie mam nawet wizy.

- Podrzuc mi paszport. Zajmę się tym.

- A bilet? Hotel?

- Organizator pokrywa przelot w obie strony. Ja sfinansuję ci pobyt. Nie dziękuj. Powiedzmy, że z mojej strony to przemyślana inwestycja. Aha, miałbym prośbę.

- Tak?

- Chyba nie sprawi ci różnicy, jeśli będziesz wylatywał z Waszyngtonu? Mam tam znajomego księgarza w antykwariacie w Georgetown. Będzie miał dla mnie przesyłkę. Dam ci adres. A teraz omówmy jeszcze szczegóły pobytu w Nowym Jorku.

Kiedy pół godziny później Julian zmierzał do wyjścia, Stockenhausen zatrzymał go jeszcze.

- Dobrze by było, gdybyś przed wyjazdem dał mi pełnomocnictwa do przeprowadzenia sprzedaży mieszkania. Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, to po powrocie będziesz mógł zamieszkać w nowym lokum.



## Rozdział 17

### A jednak należy patrzeć pod nogi

Na lotnisku Kennedy'ego wylądowali wczesnym rankiem. Większość dziesięciogodzinnego lotu Julian przespał, dzięki czemu podróż upłynęła mu w miarę szybko i czuł się względnie wypoczęty. Idąc za radą Stockenhausena, z lotniska wziął taksówkę i kazał się wieźć prosto do hotelu Pennsylvania. W Warszawie była wiosna, w Nowym Jorku prawie lato. Po blisko godzinie wjechali w tunel pod rzeką Hudson, przebili się przez korki na Manhattanie i dotarli na róg Trzydziestej Trzeciej Ulicy i Siódmej Alei. Przestronny hol Pensylwanii skojarzył mu się z foyer Teatru Wielkiego: ciężkie kryształowe żyrandole, wypolerowana posadzka, strażnicy w służbowych uniformach snujący się pod ścianami. Recepcjonista sprawdził rezerwację, podał mu klucz, a następnie z przegródki na korespondencję wyjął gruby list w białej kopercie na jego nazwisko. Jadąc windą na ósme piętro, Julian obejrzał dokładnie kopertę: w lewym górnym rogu widniał napis *Polish Cultural Institute* i nowojorski adres placówki. Ledwie znalazł się w pokoju, niecierpliwie otworzył kopertę. Zawierała program dwudniowych „Spotkań ze współczesną literaturą polską” oraz imienne zaproszenie na wieczorną uroczystość inauguracji „Spotkań”, połączoną z przyjęciem. Odszukał swoje nazwisko na liście uczestników panelu „Podejście kognitywne a imaginacyjne w literaturze przełomu wieków”. Parsknął śmiechem, wyobrażając sobie, jaką minę zrobiłby Starnicki, gdyby znalazł się teraz na jego miejscu. Zawsze powtarzał, że kpina jest najlepszym remedium na truciznę głupoty. Na takim panelu zabrałby pewnie głos jako pierwszy i z mądrą miną wyrecytował w typowym dla siebie stylu: „Zwalczając impedimenta ograniczające horyzonty myślowe, popuśćmy wodze imaginacji i kognitywnie antycypując progresywne wzorce behawioralne, dążmy do wypracowania maksymalnej prostoty świeckiej egzegezy zespolonej z oświeconym egalitaryzmem społecznych percepcji. Reasumując, szanowni państwo, wszystko, co tu powiedziałem, można o kant stołu rzucić”.

Raz jeszcze przejrzał program, próżno jednak szukał jakiegokolwiek wzmianki o Helenie. Z dwujęzycznego zaproszenia dowiedział się z kolei, że inauguracyjna uroczystość odbędzie się o osiemnastej w Café Rouge Ballroom hotelu Pennsylvania. Potraktował to jako dobry omen przed wyczekiwany spotkaniem z Heleną. Zwabiony hałasem z zewnątrz, podszedł do okna. Dwa metry od niego prężyło się masywne drzewce, którego dolny koniec

znajdował się piętro niżej. Do drzewca przytwierdzona była ogromnych rozmiarów flaga amerykańska. Po drugiej stronie ruchliwej ulicy wznosił się kompleks Madison Square Garden z ogromnym ekranem, na którym pokazywano fragmenty meczów NBA z udziałem Michaela Jordana. Z przylegających do Madison Square Garden podziemi Penn Station wpływał właśnie potok podróżnych. Nagle zapragnął znaleźć się na dole. Owładnęła nim myśl, że krocząc ulicami, które Helena musiała wielokrotnie przemierzać, będzie bliżej niej. Dochodziła dwunasta. Przebrał się w sztruksowe spodnie, zmienił flanelową koszulę na koszulkę polo i pięć minut później wyszedł z hotelu bocznymi drzwiami. Znalazł się na Trzydziestej Czwartej Ulicy. Skręcił w prawo. Zaraz potem musiał przejść na drugą stronę, żeby ominąć zięjącą w chodniku dziurę ogrodzoną żółtą taśmą. Prowadzono roboty kanalizacyjne i obok odciągniętej kłapy studzienki uwijało się trzech robotników w białych kaskach. Korzystając z mapy, doszedł do Piątej Alei i odszukał budynek z numerem 350, w którym mieścił się Instytut Kultury Polskiej. Krążył przez kwadrans w pobliżu tego miejsca, po czym ruszył w kierunku Central Parku. Kiedy dotarł do katedry św. Patryka, zawrócił i poszedł w przeciwną stronę. Heleny nigdzie nie spotkał. Mimo to rozpierała go radość. Coś mu mówiło, że jego przyjazd do Nowego Jorku nie pójdzie na marne. Jakkolwiek na to spojrzeć, ostatnio dziwnie dopisywało mu szczęście.

\* \* \*

Jeszcze w Warszawie Julian zrezygnował z odświętnego garnituru. Uznał, że skoro nowojorska impreza ma charakter artystyczny, nie obowiązują go reguły dotyczące *business lunches* i *business parties*. Na wieczorne przyjęcie włożył ciemnogrnatowe spodnie i chabrową marynarkę. Po namyśle zamiast wrzosowej koszuli wybrał białą, na koniec zdecydował się na granatowy krawat w bordowe paski. Dokładnie o osiemnastej wyszedł z pokoju i zjechał windą na dół.

Z Café Rouge Ballroom dobiegały stonowane dźwięki fortepianu. W rześcicie oświetlonej sali panował już spory tłok. Jak spod ziemi wyrósł przed nim kelner z tacą zastawioną aperitifami. Julian wziął kieliszek i ruszył ostrożnie środkiem sali, rozglądając się z bijącym sercem. Dostrzegł górującą nad tłumem sylwetkę Kralca. Skierował się w tamtą stronę w nadziei, że Helena jest gdzieś w pobliżu oficjalnej delegacji rządowej. Minister kultury, przybrawszy minę uniwersyteckiego wykładowcy, tłumaczył coś po angielsku rudemu chudzielcowi w workowatej marynarce, który potakiwał i robił notatki. Kralec przerwał, uniósł rękę i pozdrowił kogoś z daleka. Rotas pobiegł wzrokiem za jego spojrzeniem: do sali wkraczał Wilniak, podpierając się laską. Obok niego szła rozpromieniona Samosiejska. Terkotała z ożywieniem, przyciskając do piersi olbrzymi bukiet. W tej samej

chwili Julian dostrzegł Helenę. Podeszła do Wilniaka, przywitała go z wyraźną estymą, po czym zaprowadziła oboje do jednego ze stolików ustawionych przy ścianie. Miała na sobie jasnoróżowy, obcisły kostium z krótką spódniczką śmiało odsłaniającą smukłe nogi w wiśniowych czółenkach.

Julian przestraszył się, że Helena zniknie mu w tłumie. Podążył szybko w jej kierunku i kiedy wracała od stolika, zagroził jej drogę.

Szła zaaferowana, ze spuszczoną głową. Spróbowała wyminąć go ze zdawkowym *Excuse me*. Kiedy podniosła oczy i rozpoznała go, rozejrzała się nerwowo, jak przyłapana na przestępstwie.

- Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć.

- Nie wiedziałam, że już jesteś.

Wyczuł, jak jest spięta. Po raz pierwszy od przyjazdu do Nowego Jorku zwątpił w swoją intuicję.

- Moglibyśmy gdzieś porozmawiać? - spytał i wziął ją za rękę.

- Teraz nie mogę.

Wyrwała mu się i stanęła pół kroku dalej.

- Widzę, że ostatnio spotykamy się na pogrzebach! - usłyszał za plecami znajomy głos.

Odwrócił się, tknięty złym przeczuciem. Półtora metra od niego stał Andrzej Konar. Ubrany z pozorną niedbałością - biały golf do czarnej marynarki i jasnobrązowych sztruksowych spodni - trzymał się dość pewnie na nogach, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że nie żałował sobie darmowych trunków. Julian przypomniał sobie rozmowę po pogrzebie Starnickiego i wzmiankę Konara o czekającej go podróży do Ameryki. Dopiero teraz skojarzył, o jaki wyjazd chodziło.

- Dziesięć dni temu chowaliśmy Starnickiego - ciągnął Konar z pijackim uporem - a dzisiaj trafiłem na pochówek miłości.

Wokół nich zaczęli się zbierać pierwsi ciekawscy. Julian spojrzał na Helenę: nie ruszała się z miejsca, blada jak papier.

Konar wydawał się zadowolony z zainteresowania, jakie wzbudził.

- Ale czemu ja się dziwię? - mówił pozornie do siebie. - Przecież pan Rotas to znany specjalista od literatury trumiennej.

- Upił się i bredzi - bąknął Julian przepaszajaco do zebranych.

- Tak?! - ryknął Konar. - Bredzi? A kto wspiał się po trupie Starnickiego? - Wyciągając palec w stronę Heleny, wybełkotał: - A z panną Helenką nie będzie ci łatwo, bo

też jest zimna jak trup. Ale staraj się, Julianku, staraj. Tyłek ma naprawdę niezły. Tylko cycki trochę nierówne...

Zanim Rotas zdążył dwa razy pomyśleć, rzucił się na Konara z pięściami. Nie miał wprawy w bijatykach, ale zaatakował z takim impetem, że tamten zwałił się na podłogę. Gapie rozstąpili się, tworząc pośrodku wolną przestrzeń. Konar, przeklinając, zaczął się gramolić. Julian stał nad nim, oddychał ciężko, a pięści trzymał sztywno przed sobą. Ale Konar nie kwapił się do walki. Krew z rozbitego nosa pobrudziła mu biały golf.

- Jesteś skończony - wycharczał. Opuchnięty nos utrudniał mówienie. - Załatwię ci takie recenzje, że będą cię drukować najwyżej w poradnikach dla gospodyń domowych. Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby się gzić z tą pierdoloną dziewicą i płodzić bachory...

- Idź do diabła!

Julian zamierzył się. Ktoś go w porę przytrzymał. Przy Konarze wyrosło dwóch hotelowych ochroniarzy. Odgradzili go od Rotasa i poprowadzili do jednego ze stolików. Wyrwał się im, pobiegł do wyjścia i zniknął za drzwiami.

Julian rozejrzał się za Heleną. Przepadła jak kamień w wodę. Mignął mu Wilniak, który postukując laską, krzyczał po polsku do brodacza w smokingu: „Skandal! Skandal!” Dopiero teraz zobaczył ekipę NBC: kamerzysta i towarzyszący mu reporter zmiierzali w jego stronę. Ominął ich szerokim łukiem i wyszedł z sali bocznymi drzwiami. Dopiero w hotelowym holu zauważył, że rękę ma zakrwawioną. Koszulę też poplamiał w dwóch miejscach. Strażnik lustrował go podejrzliwie. Julian pokazał mu hotelową kartę, wsiadł do pierwszej wolnej windy i pojechał na górę, żeby się umyć i przebrać.

\* \* \*

Konar potracił portiera i wypadł na ulicę. Unikając przechodniów, z chusteczką przy nosie przemknął pod murem i za załomem skręcił w prawo. Ulica była opustoszała. U wylotu mignęła mu grupka japońskich turystów drepcących w kierunku Piątej Alei. Do hotelu New Yorker, gdzie się zatrzymał, miał tylko dwie przecznice. Przyspieszył kroku. Był na siebie wściekły. Że też dał się tak podejść! Pieprzony dupek na oczach wszystkich dał mu bezkarnie w zęby! Ale teraz się doigrał!

Z całą pewnością Konar nie myślał w tym momencie o radzie Stockenhausena, że zawsze należy patrzeć uważnie pod nogi. Zrobił jeszcze trzy kroki, kiedy stopa zaplątała mu się w coś. Przystanął, strzepnął z buta żółtą taśmę, która walała się po chodniku. Nastąpił z impetem na klapę studzienki kanalizacyjnej.

Bob Williamson, który po zakończeniu pracy osobiście położył klapę na miejscu i przymocował bolcami, miałby prawo zdziwić się na widok tego, co się teraz stało. Klapa pod

ciężarem przechodnia skoczyła jak żywa, stanęła pionowo, po czym zwała się z hukiem na chodnik. Konar próbował jeszcze chwycić się krawędzi studzienki. Kiedy spadał w ścielącą się w dole ciemność, zdążył tylko ze zdziwieniem pomyśleć, że Stockenhausen najwyraźniej wszystko to przewidział.

Kłapa tańczyła chwilę na chodniku. Opadła z powrotem na otwór studzienki i znieruchomiała. Kiedy Bob Williamson przyszedł nazajutrz do pracy, musiał się sporo namęczyć, zanim odkręcił solidne bolce zabezpieczające kłapę.

## Rozdział 18

### Lewa ręka Leonarda

Zanim Julian umył się i przebrał, minęło pół godziny. Podświadomie opóźniał moment wyjścia. Po całej tej awanturze bał się powrotu na salę. Rozważał nawet poważnie, czy nie zrobi lepiej, zostając w pokoju. Rozsądek wziął jednak górę nad strachem. Jeżeli chce się spotkać z Heleną, nie może kryć się po kątach. Zjechał na dół i z duszą na ramieniu przekroczył próg Café Rouge Ballroom.

Czekała go niemiła niespodzianka. Środek sali był prawie opustoszały. Większość gości przeniosła się do ustawionych w podkowę stolików, które zajmowały lewą ścianę i tył pomieszczenia. W pierwszym momencie zamierzał się wycofać, ale od jednego ze stolików poderwał się Szczepan Kralec i ruszył prosto w jego stronę. Za ministrem podążał brodac z smokingu.

- Kapitalnie pan go załatwił, panie Julianie! - zawołał Kralec już z daleka. Dopadł Rotasa i zaczął witać go wylewnie. - Zawsze mówiłem, że Konar to skończone chamidło. Od dawna mu się należało - mamrotał podchmielony.

Brodacz próbował dopchać się do Juliana.

- Wcześniej nie miałem okazji się przedstawić - huknął wreszcie basem i uściśnął mu rękę. - Stefan Grab-Radcowski, dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku.

- Przepraszam za to całe zamieszanie - wydukał dziennikarz.

- Zachował się pan jak należało - zapewnił Radcowski. - Cóż, miejsce i pora na pewno nie były najodpowiedniejsze, ale Konar wyraźnie dążył do wywołania awantury.

Julian poczuł, że ktoś poklepuje go po ramieniu. Tuż za nim stał rudy drągał w szarej, workowatej marynarce.

- *Well done* - odezwał się przyjaźnie i wyciągnął rękę. - *In this business, a little scandal never hurts.*

- Patrick Finnery z „New York Timesa” - przedstawił rudzielca Radcowski. - Jest przekonany, że zaaranżowaliśmy całą awanturę z myślą o większym rozgłosie.

- *Mr. Rotas, I'd be happy to meet you and talk some time when you're in New York* - zaproponował Finnery i podał mu wizytówkę. - *Call me at your convenience.*

- *I will* - wydukał Julian, tyleż zaskoczony zainteresowaniem, co niepewny swojego

angielskiego.

Finnery pożegnał się, by wrócić do redakcji. Kralec odprowadzał go wzrokiem. Raptem zachichotał, jakby przypomniał sobie coś śmiesznego.

- Radzę ci kupić jutrzejszego „New York Timesa” - zwrócił się do Rotasa, przechodząc niespodziewanie na ty. - Wilniak przez dobry kwadrans torturował Finnery’ego swoim angielskim, ale cały jego trud diabli wzięli. To ty stałeś się *cause celebre* wieczoru. - Niespodziewanie przerwał i zrobił obolałą minę. - Przepraszam - zdążył powiedzieć i czmychnął do najbliższego wyjścia.

- Co mu jest? - zdziwił się Julian.

- Atak kolki nerkowej - wyjaśnił Radcowski. - Trochę dzisiaj przesadził z alkoholem.

Widząc, że Rotas rozgląda się po sali, zapytał domyślnie:

- Szuka pan Heleny? Zaraz po tym incydencie pojechała do domu. - Spojrzał spod krzaczastych brwi na dziennikarza. - Wie pan, po czymś takim żadna kobieta nie czułaby się dobrze.

- Zna pan jej adres? Tak czy inaczej, winien jestem Helenie przeprosiny.

Radcowski poszperał w przegródce portfela.

- Proszę. - Z szelmowskim uśmiechem podał mu wizytówkę. - To niedaleko, ale radzę pojechać taksówką.

Żółte taksówki czekały w karnym szeregu po drugiej stronie ulicy, przed Penn Station. Zanim zdążył postawić stopę na jezdni, pierwsza odłączyła się od pozostałych, wykonała z gracją łuk i zatrzymała się przy nim. Podał kierowcy adres i ruszyli. Wkrótce mknęli Piątą Aleją. Po kilku minutach taksówkarz skręcił w lewo, okrążył pomnik generała Shermana i przystanął z boku wielopiętrowej kamienicy przy zachodnim krańcu Central Parku.

Julian odniósł wrażenie, że już tu kiedyś był. Klasyczne *déjà vu*. Tarasowy układ dachu, na samym szczycie ogród, balustrady górnych balkonów oplecione bluszczem. Wszystko tak samo jak we śnie sprzed kilku dni. Bez wjeżdżania na górę mógłby opisać, jak wygląda sypialnia na ósmym piętrze.

Odszukał przycisk opatrzony numerem dwadzieścia pięć i lekko wcisnął. Cisza. Nacisnął trzykrotnie raz za razem. Żadnej odpowiedzi. Ponowił próbę jeszcze dwukrotnie - z tym samym rezultatem. Pokręcił się kilka minut pod kamienicą. Patrzył w okna na ósmym piętrze, próbując odgadnąć, które należą do mieszkania Heleny. Wreszcie zrezygnowany odszedł. Zbliżało się wpół do dziesiątej. Postanowił wracać piechotą. Nie spieszyło mu się do pustego pokoju w hotelu. Było dokładnie pięć po dziesiątej, kiedy wślizgnął się bocznym wejściem do hotelowego holu i skierował w prawo, do wind. Recepcjonistka, sympatyczna

dziewczyna o latynoskiej urodzie, dojrzała go z daleka i przywołała ruchem ręki.

- *Mr. Rotas, someone is waiting for you.* - Pokazała rząd foteli po drugiej stronie holu i dodała z przekornym uśmiechem: - *I guess it's just business.*

Odwrócił się z kwaśną miną. Nie miał ochoty na przyjmowanie gości. Środkiem holu przetaczała się gromada niemieckich turystów, którzy wybierali się na wieczorny spacer. Kiedy przeszli, zobaczył Helenę. Zmierzała w jego stronę w jasnoczerwonej, zwężanej w talii, uszytej w klosz sukience, która przy każdym jej kroku lekko falowała.

- Długo czekasz? - zapytał, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Dopiero kwadrans.

- Wracam spod twojego domu. Radcowski dał mi adres.

- Czyli oboje prawie jednocześnie wpadliśmy na ten sam pomysł.

- Dobrze, że poczekałaś. Nigdy bym sobie nie darował, gdybyśmy się rozminęli.

Przybliżyła się i szepnęła mu do ucha:

- Tym razem byłoby inaczej. Czekałabym do końca.

\* \* \*

Godzinę później, kiedy leżeli nadzy pod prześcieradłem, na którym tańczyły światła reklam przy Madison Square Garden, zadał jej pytanie, od którego wiele zależało:

- Dlaczego tak nagle wyjechałaś?

Podparła się na łokciu i przeciągnęła opuszkami palców po jego ramieniu.

- Musiałam szybko podjąć decyzję. To była kwestia jednego dnia. Mój poprzednik złamał nogę tak niefortunnie, że trafił do szpitala. A po trzech dniach stwierdzili u niego stan przedzawałowy. Pewnie od leżenia zrobił mu się skrzep czy coś w tym rodzaju. I musiał pożegnać się z placówką. A ponieważ od dawna figurowałam na ich liście kandydatów, zatelefonowali między innymi do mnie. Odpowiedziałam jako pierwsza. To wszystko.

- Ale dlaczego bez pożegnania?

- Byłam podekscytowana! Prawie nieprzytomna z wrażenia. Od dawna marzyłam o Nowym Jorku. Poza tym myślałam, że nic mnie z Warszawą nie wiąże. Rozumiesz, nic osobistego.

- A ja?

- Wtedy jeszcze nie byłam tego pewna.

- Teraz jesteś?

Zaśmiała się.

- Dobrze sobie! Inaczej by mnie tu nie było. - Raptem znowu spoważniała. - Człowiek czasem przed czymś ucieka. Czegoś się boisz, czegoś nie jesteś pewien. Może uciekałam



przed tobą? - Położyła się na boku, twarz wtuliła w poduszkę. - Był jeszcze jeden powód. Półtora roku temu, kiedy pracowałam w dziale kultury „Echa Warszawy”, polecono mi zrobić wywiad z Konarem. To było zaraz po sukcesie jego *Ptaków w słońcu*. Z dnia na dzień stał się wielką sławą, więc zadzwoniłam do niego z duszą na ramieniu. A tu niespodzianka: zgodził się bez marudzenia. Tylko poprosił, żebym wpadła do niego, bo jest tak zawałony pracą, że niemal nie wychodzi z domu. Umówił się ze mną na dwudziestą. Z początku był miły, nawet dżentelmeński. Nagrywałam wywiad na dyktafon. W pewnej chwili wstał, wyłączył dyktafon i zaczął się do mnie dobierać. Tak po prostu. Jakbym była jego własnością.

Julian pogładził ją sztywno po policzku. Złapała go za rękę i bezwiednie ścisnęła.

- Nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło! Zerwał ze mnie ubranie... I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Zaciągnął mnie do drugiego pokoju i zamknął na klucz. Powiesz pewnie, że mogłam krzyczeć, wzywać pomocy. Ale w takich chwilach człowiek nie potrafi myśleć rozsądnie. Zresztą nie wiedziałam, kto przyszedł. I byłam prawie naga. Mieszkał na parterze. Chwyciłam kapę z wersalki i wyskoczyłam. Doszłam do domu bosą, okryta tylko tą cholerną kapą. Był październik, więc na szczęście było już ciemno, ale przypląciłam to zapaleniem płuc. Wywiadu nie przeprowadziłam i wkrótce straciłam pracę w „Echu”.

- Nie zgłosiłaś tego na policję? Nikomu nie powiedziałaś?

- Kto by mi uwierzył? Przecież mnie nie zgwałcił. Nie było żadnych dowodów. Moje zeznanie przeciwko jego słowom. Klasyczny przypadek: cwana szczeniara próbuje zdobyć rozgłos, oczerniając sławnego faceta. Nie miałam nawet komu się zwierzyć...

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Okrył ją prześcieradłem. Tom Jones z neonu naprzeciwko zapraszał na rocznicowy koncert w Madison Square Garden.

- Chciałam jak najszybciej zapomnieć o tym koszmarze. Ale po tygodniu dostałam pierwszy list. Kolejne przychodziły co dwa, trzy tygodnie, czasem częściej. Same puste kartki i bez nadawcy, ale wiedziałam, że to od niego. Unikałam go jak zarazy. Były też głuche telefony, zwiędłe kwiaty na wycieraczkę. I tak przez półtora roku. Teraz już wiesz, od czego chciałam uciec.

Zaraz potem kochali się po raz drugi tej nocy. Nie tak gwałtownie i nieporadnie jak za pierwszym razem. Powoli, delikatnie muskał wargami jej piersi. Scałowywał z brzucha kropelki potu. Pieścił koniuszkiem języka kształtny pępek, skąd wiodła prosta droga do miękkiego wzniesienia ocienionego gładkimi udami, które rozchyłały się pod jego oddechem.

\* \* \*

Nazajutrz pojechali razem do Rockefeller Center, gdzie odbywała się większość imprez w ramach dni literatury polskiej. Przesiedzieli cierpliwie na symposium „Rynek

książki w Polsce”. Następnie wysłuchali referatu docent Samosiejskiej o nadinterpretacji wpływu środowiska na „Kształtowanie się mechanizmu percepcyjnego u pisarza”. Wynudzili się potwornie. Zgodnie uznali, że nic złego się nie stanie, jeśli odpuszczą sobie seminarium poświęcone „Warsztatom pisarskim w dobie Internetu”. Korzystając z tego, że zaczęła się przerwa na lunch, wymknęli się z sali i pojechali metrem do południowej części Manhattanu, nad którą jeszcze rok wcześniej górowały bliźniacze wieże World Trade Center.

Julian podświadomie bał się tego miejsca. Z drugiej strony sam nalegał, by zwiedzanie miasta rozpocząć właśnie tam. Taka postawa wynikała w dużej mierze z jego dawnego stosunku do niedzieli. Babcia Janina wpajała mu od najmłodszych lat, że niedzielę należy rozpocząć od mszy w kościele; dopiero po sumiennym wypełnieniu religijnego obowiązku można pozwolić sobie na jakąkolwiek przyjemność. „Nie inaczej jest z nawiedzeniem cmentarza - powtarzała. - Ziemia cmentarna jest święta. Każdy grób to widome przypomnienie grzechu śmiertelnego, a zarazem obietnica zmartwychwstania”. Zupełnie jakbym trafił na kolejny pogrzeb, pomyślał mimowolnie, kiedy stojąc na platformie widokowej, patrzyli oboje w milczeniu na ziejący poniżej dół. Z tą różnicą, że Starnicki i babcia Janina mają prawdziwe groby. Nie grozi im bezimiennność.

- Wiesz, co dla mnie w tym wszystkim jest najgorsze? - powiedziała Helena, biorąc go pod rękę. - Że w jednej chwili wszyscy jakby wyparowali. Przecież człowiek nie może tak po prostu zniknąć. Po każdym powinno coś pozostać.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo zjawili się policjanci w mundurach i zaczęli wszystkich wypraszać. Wkrótce w Strefie Zero miała się zjawić delegacja rządowa któregoś z krajów azjatyckich. Stara śpiewka: względy bezpieczeństwa, wymogi protokołu dyplomatycznego.

- Przejdziemy się po Broadwayu? - spytała.

Rozejrzał się za zejściem do metra. Zaśmiała się, jakby na to właśnie czekała.

- Pieszko, nie metrem! - pouczyła go. - To najwyżej pięć minut stąd. Nie ty jeden dałeś się nabrać. Większość ludzi, słysząc hasło „Broadway”, myśli o środkowej części Manhattanu i teatrach. A Broadway zaczyna się zaraz tutaj, przy Wall Street.

W McDonalddie przy Canal Street kupili po dwa hamburgery, a w kawiarni przy Times Square napili się kawy. Hamburgery były cienkie i twarde jak podeszwa, kawa lurowata.

- Tak wyglądają twoje lunche?

Uśmiechnęła się i zapewniła uroczyście:

- Znam miejsce, w którym doskonale karmią. I obsługa jest super. Zaraz cię tam zaprowadzę.

Minęli właśnie Rockefeller Center, kiedy w jednej chwili niebo pociemniało i lunął rześisty deszcz. Schowali się pod sklepowym zadaszeniem.

- Czekamy czy biegniemy? - spytała. Mokra bluzka przylegała do niej jak druga skóra.

- Daleko jeszcze?

- Trzysta metrów.

- Wpuszczą nas w takim stanie?

- Bez obawy. Właściciel i szef kuchni to moi dobrzy znajomi.

Pobiegli opustoszałym chodnikiem. Zziajani i przemoknięci do suchej nitki zatrzymali się przy bramie z domofonem.

- Może lokal nie jest zbyt znany - zasapała, wybierając przyciskami kod - ale ma trzy zalety: zawsze znajdzie się wolny stolik, karmią jak w domu i personel jest przyjaźnie nastawiony.

Mieszkanie Heleny na ósmym piętrze miało jeszcze jedną zaletę: łazienka była przestronna, a kabina prysznicowa na tyle duża, że mogli się pomieścić we dwoje. Zrzucili przemoczone ubrania i wskoczyli pod prysznic.

- Wystarczy - orzekła po pięciu minutach. Zakręciła wodę.

- Mówiłaś, że tutejszy personel jest przyjaźnie nastawiony. - Zrobił markotną minę, nie przestając pieścić jej mokrych piersi.

Odepchnęła go ze śmiechem.

- Miałam na myśli wyłącznie poczęstunek.

Podowała mu gruby biały ręcznik. Wytarła się drugim i narzuciła płaszcz kąpielowy. Kiedy wyszedł z łazienki, krzątała się w kuchni. Właśnie wbijała jaja do emaliowanej miski.

- Jajecznica ze szczypiorkiem, chrupiące grzanki, parę plastrów bekonu dla podniesienia cholesterolu. Jak ci się to podoba?

- Jeżeli pichcisz jakiś afrodyzjak, to zupełnie niepotrzebnie. Sama się przekonaj. - Objął ją w pól i przytulił.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - poprosił. - Zadzwonią jeszcze raz.

Pochyliła głowę, odsłaniając szyję. Poddawała się jego pieszczotom. Odszukał sznur płaszcza i zaczął go rozwiązywać.

Tymczasem uruchomiła się automatyczna sekretarka i usłyszeli podenerwowany głos Radcowskiego:

- Heleno, zadzwoń, jak tylko wrócisz. To pilne. Mamy problem. Uwolniła się z objęć Juliana i zdjęła słuchawkę z bazy. Włączyła funkcję głośnego mówienia.

- W tej chwili weszłam. Co się dzieje?

- Chwała Bogu, jesteś! Powiedz mi, kiedy ostatni raz widziałaś Konara?

- Wczoraj, na tym nieszczęsnym przyjęciu. - Spojrzała szybko na Rotasa. - Coś się stało?

- Nie wrócił na noc do hotelu. Dzisiaj też się nie pokazał. Od wczoraj nikt go nie widział.

- Pytałeś Wilniaka, Niezgódzkiego?

- Konar przyjechał trzy dni przed nimi i zatrzymał się w New Yorkerze. Spotkali go tylko raz, właśnie na wczorajszym przyjęciu w Café Rouge Ballroom.

- Coś podejrzewasz?

- Boję się, że wykręcił nam jakiś numer. Sama wiesz, jaki to wariat. Kralec chodzi od rana jak struty. Dzwonili już do niego z Warszawy. - Radcowski ściszył głos: - Podobno sam Piekarski interesuje się sprawą zaginięcia.

- Premier? Nie ma na głowie ważniejszych spraw?

- Wiem od Kralca, że Konar to pupilek Piekarskiego. W przyszłym tygodniu miał go desygnować na członka swojej rady do spraw kultury.

- Skoro tak, to na pewno się odnajdzie. Konar nie z tych, co by przepuścili taką okazję.

- Myślisz, że po prostu gra nam na nosie?

- Chce się zabawić naszym kosztem. To w jego stylu.

- Obyś miała rację! W każdym razie, jeżeli do jutra się nie odnajdzie, możemy mieć na karku policję. A nawet FBI.

- Konar zawsze zabiegał o sławę.

Radcowski zbył tę uwagę milczeniem.

- Gdybyś czegoś się dowiedziała, daj mi znać. Będę cały czas pod komórką.

Po powrocie do kuchni włączyła elektryczną kuchenkę i postawiła na niej patelnię, żeby przysmażyć bekon.

- Widziałeś się z nim po tej całej awanturze?

- Z Konarem? Skądże. Zaraz, nie myślisz chyba, że ja...

- Będę szczerą: wiele bym dała, żeby nie musieć go więcej oglądać. Ale dla nas obojga lepiej by było, gdyby się odnalazł.

\* \* \*

Andrzej Konar nie odnalazł się ani tego dnia, ani nazajutrz. Ponieważ zaś jego zniknięcie, na temat którego czytelnik ma znacznie większą wiedzę aniżeli dyrektor

Radcowski czy Helena Saafjan, miało charakter wydarzenia nie z tej ziemi, również finał tej historii musiał być natury nadzwyczajnej.

Dyskusja panelowa „Podejście kognitywne a imaginacyjne w literaturze przełomu wieków” przeciągnęła się ponad planowe dwie godziny. Julian pierwszy wyszedł z sali. Dochodziła siedemnasta. Palily go policzki po dyskusji z Niezgódkim, który zawiązał sojusz z Wilniakiem w obronie „mesjanistycznej roli literatury” i przez piętnaście minut wygłaszał peany na cześć twórców „realizujących społeczną misję sztuki”. Rotas jako jeden z pierwszych ośmielił się powiedzieć, że ma inne zdanie niż Wilniak i spółka. Zadaniem literatury, podkreślił, nie jest zbawianie świata, tylko opowiadanie historii na tyle zajmujących, by znaleźli się chętni do ich słuchania. W trakcie dyskusji Wilniak ostentacyjnie zażył nitroglicerynę i z cierpiętniczą miną rozsupłał krawat. Ale te teatralne gesty niewiele pomogły: liczba zwolenników Juliana z minuty na minutę rosła. Kiedy spotkanie dobiegło końca, uczestnicy byli niemal dokładnie podzieleni. Dziennikarz zaś zyskał stuprocentową pewność, że nieprędko zostanie zaproszony na podobne forum z udziałem tych samych oponentów.

Spodziewał się, że przyjdzie mu szukać Heleny, tymczasem zobaczył ją zaraz po wyjściu z sali. Stała na korytarzu, na wysokości holu wind, w towarzystwie Radcowskiego i dwóch obcych mężczyzn. Cała czwórka ruszyła w jego stronę.

Mina Radcowskiego nie zapowiadała nic dobrego.

- Panie Julianie - odezwał się pierwszy - sierżant O'Brian chciałby zadać panu kilka pytań. Chodzi o zaginięcie Konara.

Julian spojrzał na Helenę. Po wyrazie jej twarzy domyślił się, że O'Brian już z nią rozmawiał.

- Sierżant Frank O'Brian z policji nowojorskiej. - Na przekór irlandzkiemu nazwisku sierżant odznaczał się włoską urodą. Wyciągnął do Rotasa pulchną rękę, nie przestając taksować go wzrokiem. - To nie jest formalne przesłuchanie. Jeżeli pan nie chce, nie musi pan odpowiadać na pytania. Nie potrzebuję jednak dodawać, że pańska współpraca w tej sprawie może się okazać bardzo pomocna.

Przeszli na koniec korytarza. O'Brian otworzył drzwi opatrzone tabliczką „Tylko dla personelu”. Weszli do małego gabinetu: niewielkie biurko przy oknie, po drugiej stronie skórzana kanapa, pośrodku stolik i cztery fotele, w rogu szafka z telewizorem i magnetowidem. Towarzyszący O'Brianowi mężczyzna okazał się tłumaczem.

- Sprawie zaginięcia pana Konara nie nadaliśmy jeszcze formalnego biegu - podjął O'Brian. Tłumacz płynnie przekładał jego słowa. - Na prośbę polskiego konsulatu

rozesłaliśmy do policji stanowej zdjęcie zaginionego. Podejmujemy też inne czynności wstępne. Stąd moja dzisiejsza obecność.

Julian rozłożył ręce.

- Nie bardzo wiem, w czym mógłbym się okazać przydatny.

- Czy po przedwczorajszym incydencie na przyjęciu widział się pan z panem Konarem?

- Nie.

- Z relacji świadków wynika, że mniej więcej godzinę później wyszedł pan z hotelu i wrócił tuż po dwudziestej drugiej. Co pan w tym czasie robił?

Julian zawahał się. Spojrzał na Helenę.

- Pojechałem do pani Saafjan.

- To ciekawe. Recepcjonistka zeznała, że mniej więcej za kwadrans dziesiąta pani Saafjan zjawiała się w hotelu i czekała tam na pana.

- Nie wiedziała, że się do niej wybieram. To była z mojej strony zupełnie spontaniczna decyzja. Po tej całej awanturze czułem się nie w porządku wobec pani Saafjan. Pomyślałem, że pojedę i ją przeproszę. Nawet nie wiedziałem, gdzie mieszka. Dopiero dyrektor Radcowski dał mi adres.

Radcowski uniósł rękę.

- Potwierdzam.

O'Brian przyjął to bez komentarza. Wymierzył palec w Juliana i powiedział głosem pozbawionym emocji:

- Jak pan trafnie to wyraził, w czasie przyjęcia doszło do awantury. Zaatakował pan pana Konara i powalił go na podłogę. Temu pan nie zaprzeczy?

Rotas wzruszył ramionami.

- Przecież wszyscy to widzieli. Ale jak pan zapewne wie, Andrzej Konar zjawiał się pijany. W wulgarny sposób obraził panią Saafjan. Przyznaję, nerwy mi puściły. Zazwyczaj tak się nie zachowuję.

- No właśnie. Wzburzenie może wiele tłumaczyć. Wyobraźmy sobie, że po wyjściu z hotelu ponownie spotkał pan pana Konara. Wcale nie twierdzę, że miał pan złe intencje. Zakładam, że do spotkania doszło zupełnie przypadkowo. Natknął się pan na niego i doszło do kolejnego starcia.

Julian zaśmiał się nerwowo.

- Wiem, do czego pan zmierza. To absurd. Ostatni raz widziałem Andrzeja Konara w Café Rouge Ballroom. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

- Rozumiem. Gdyby jednak coś pan sobie przypomniał, proszę o telefon. - O'Brian wyciągnął rękę nad stolikiem i podał mu wizytówkę. - Muszę też pana uprzedzić, że w obecnej sytuacji nie powinien pan wyjeżdżać z Nowego Jorku. Oczywiście, to tylko dobra rada. Ale niezastosowanie się do niej może być odebrane jako próba utrudniania śledztwa.

Rotas spojrział pytająco na Radcowskiego. Ten rozłożył bezradnie ręce.

- Powinien pan pozostawać w bezpośrednim kontakcie z konsulem - zaznaczył. - Umówię pana na rozmowę z konsulem Rajskim. To jedyne, co w tej chwili można zrobić.

Radcowski mówił jeszcze, kiedy rozległo się podwójne piknięcie. Sierżant O'Brian przeprosił, wyjął z kieszeni marynarki telefon komórkowy i przeczytał otrzymaną wiadomość tekstową. Zrobił zdziwioną minę. Schował aparat i popatrzył po obecnych. Zatrzymał wzrok na Helenie.

- Wygląda na to, że w sprawie tego zaginięcia osiągnęliśmy znaczący postęp. Pani dobrze znała pana Konara, prawda? Chciałbym prosić, by poszła pani ze mną. Chodzi o potwierdzenie tożsamości.

Helena pobladała. Wstała, poprawiła mechanicznym ruchem spódniczkę i oboje wyszli. Tłumacz został w pokoju. Jego rola najwyraźniej nie ograniczała się do tłumaczenia. Radcowski, miętosząc papierosa w palcach, spoglądał nerwowo to ku drzwiom, to na Juliana. Rotas czuł na sobie jego pytające spojrzenie. Z minuty na minutę był coraz bardziej nieswój. O'Brian i Helena wrócili po niespełna kwadransie. Sierżant trzymał żółtą biurową kopertę. Po minie policjanta trudno było cokolwiek poznać, za to Helena już od progu uśmiechnęła się do Juliana. Siadając w fotelu, uściśnęła mu lekko rękę.

- Istotnie, pojawił się nowy element w całej sprawie - rozpoczął O'Brian urzędowo. - Proszę państwa o obejrzenie tego materiału. - Wydobył z koperty kasetę wideo i włożył ją do magnetowidu. Przyciskiem pilota uruchomił wideo, następnie telewizor. Przewinął obraz na podglądzie i zatrzymał kadr. - Po wrześniowych zamachach w wielu budynkach użyteczności publicznej zainstalowano systemy monitoringu - zaczął objaśniać. - Z oczywistych względów pominę szczegóły techniczne tego rozwiązania. A więc w skrócie tylko: ukryte w różnych miejscach kamery przekazują ujęcia do stanowiska kontrolnego, gdzie obraz jest nagrywany i poddawany komputerowej analizie. Przekaz kopiowany jest na twardy dysk, co umożliwia cyfrową obróbkę oraz wyszukiwanie informacji wizualnych. Działa to jak typowa wyszukiwarka: wystarczy na przykład wprowadzić zdjęcie poszukiwanej osoby, a system rejestracji i analizy obrazu powiadamia użytkownika, jeżeli kamery zarejestrowały w jakimś miejscu dany obiekt. Tyle tytułem wstępu.

O'Brian nacisnął przycisk odtwarzania. Na ekranie telewizora ukazało się główne

wejście Rockefeller Center widziane od strony holu. Do gmachu weszła właśnie trzyosobowa grupka i wszyscy skierowali się ku windom. Kiedy w drzwiach pojawiła się nowa postać, niemal jednocześnie w prawym górnym rogu ekranu wyskoczyła pulsująca czerwona kropka. Pod kropką ukazało się zdjęcie Andrzeja Konara, a z boku napis: *Positive Identification. Match No. 15*. Biegający dołem pulsator czasowy wskazywał, że jest dokładnie trzydzieści jeden minut i siedemnaście sekund po szesnastej.

- Czerwona kropka oznacza pozytywną identyfikację obiektu - poinformował O'Brian.

Mężczyzna, sądząc po sylwetce i sposobie poruszania się, miał około pięćdziesięciu lat. Nosił krótko przystryżoną siwiejącą brodę, miał ciemne lecznicze okulary, a na głowie pilśniowy kapelusz.

- Co nam pan właściwie pokazuje? - zdziwił się Radcowski.

Nic nie mówiąc, O'Brian usiadł za biurkiem, otworzył stojący przed nim laptop i odwrócił ekranem w ich stronę.

- Po wprowadzeniu zdjęcia poszukiwanej osoby - podjął, włączając komputer - specjalny program tworzy tak zwaną mapę twarzy obiektu. Chodzi o wybrane elementy fizjonomii: kości policzkowe, kształt nosa, warg, rozstaw uszu. W sumie powstaje ponad tysiąc charakterystycznych punktów, które składają się na „mapę twarzy”. Następnie system porównuje każdą nową twarz z zapisanym w pamięci systemu wzorcem. Jeżeli występuje zgodność cech, mamy trafienie, czyli pozytywną identyfikację.

Ekran laptopa był teraz podzielony na dwie części: po lewej stronie komputer wyświetlał powiększoną twarz mężczyzny w pilśniowym kapeluszu, po prawej, w tej samej skali, zdjęcie Konara.

- To ten sam obraz, wprowadzony do naszej wewnętrznej sieci, Intranetu. Oko ludzkie można oszukać, komputer nie.

Sierżant wystukał na klawiaturze serię komend. Twarz po lewej stronie została pozbawiona okularów i brody, z głowy zniknął kapelusz. Powstałe w ten sposób białe plamy powoli zaczęły się wypełniać. Po kilkunastu sekundach na ekranie laptopa widniały dwie bliźniacze podobizny Andrzeja Konara.

- Identyfikacja pozytywna - zakomunikował zupełnie niepotrzebnie O'Brian. - Wyłączył komputer i spojrzał na Juliana. - Zjawił się około wpół do piątej, kwadrans później wyszedł. Nie potrafię powiedzieć, jakie ma intencje, ale z pewnością bardzo chciałby panu zaszkodzić. - Zamknął laptop i wstał od biurka. - Dla mnie sprawa jest zakończona. Przekażę materiał dowodowy Urzędowi Imigracyjnemu. Teraz oni muszą się tym zająć. Jeżeli nie wyjedzie z Nowego Jorku, w ciągu dwóch dni powinni go zlokalizować. W takich sprawach



trudno ich przechytrzyć.

Sierzant O'Brian miał prawo się mylić. Swoje myślenie opierał na rozumowych przesłankach, podczas gdy przypadek Konara pozbawiony był pierwiastka racjonalnego. Jego sprawa trafiła do instytucji o wiele potężniejszej niż Urząd Imigracyjny i FBI razem wzięte. Los literata został tam definitywnie przesądzony i żadna ziemską siłą nie była już w stanie tego zmienić.

Julian nie mógł tego wiedzieć, kiedy dwa dni później żegnał się z Heleną, by na prośbę Stockenhausena polecieć do Waszyngtonu. Nie towarzyszyły mu żadne złe przeczucia. Samo rozstanie było tym mniej bolesne, że miało trwać niezbyt długo: Helena za niecałe dwa tygodnie zamierzała przyjechać do Warszawy w związku z przygotowywaną w nowojorskim Museum of Modern Art wystawą polskiej sztuki powojennej.

Po lądowaniu w Waszyngtonie pojechał taksówką do Hampton Court, gdzie Stockenhausen zarezerwował mu apartament na dwie doby. Musiał pochwalić wybór Henryka: pokoje były urządzone z dyskretną elegancją, cicha, ocieniona drzewami uliczka kojarzyła się z willową dzielnicą. Miła odmiana po hałaśliwym Nowym Jorku. Hotel miał jeszcze tę zaletę, że leżał niespełna pół mili od Georgetown. Rotas wziął prysznic, przebrał się, zjadł spóźniony obiad w hotelowej restauracji, po czym udał się pieszo do Georgetown.

Ta część miasta pod względem atmosfery przypominała mu warszawską Starówkę. Hałaśliwy tłum wypełniający schludne uliczki, krzykliwie barwne domy udające wiekowość, sklepy z bibelotami obok egzotycznych restauracji i ekskluzywnych domów towarowych. W poszukiwaniu antykwariatu zapędził się za daleko, minął restaurację etiopską i doszedł aż do wielopiętrowej księgarni Barnes & Noble. Cofnął się sto jardów i dopiero wtedy wypatrzył mały szyld z napisem *Old Books and Prints*. Wejście prowadziło po czterech stopniach do suterenu. Pchnął oszklone drzwi i przekroczył próg, witany terkotem dzwonka.

Przez dwa nieduże okna umiejscowione na wysokości chodnika wpadało niewiele światła. Niemal przez całą długość niskiego pomieszczenia ciągnął się masywny stół zarzucony książkami i czasopismami; wzdłuż jego boku stały oprawione w ramki mapy i starodruki, przy ścianach wysokie po sufit półki wypełnione książkami. Zakręciło mu się w nosie od kurzu i woni zbutwiałych kartek. Kichnął głośno raz za razem. Z drugiej strony stołu, zza stosu niemieckich wydań powieści Dumasa, wyłoniła się czyjaś głowa.

- *May I help you, sir?* - Gładko ulizane czarne włosy, twarz suchotnika, cienki wąsik, na oko sześćdziesiąt lat.

- *I was supposed to meet Mr. Pepys. My name's Julian Rotas.*

- A, pan Rotas! - Suchotnik wyprostował się z naręczem podniszczonych książek.

Rzucił je na stół, aż uniósł się kurz. - Możemy po polsku. Pajpus jestem. Kiedyś spod Radomia, teraz z Waszyngtonu. - Wytarł ręce o marynarkę. - Bardzo proszę szanownego pana na zaplecze.

Julian zapuścił się za gospodarzem w labirynt pólek.

Skręcili w prawo i przez drzwi osłonięte kotarą przeszli do pogrążonego w ciemnościach pomieszczenia. Pajpus pomacał ręką po ścianie. Rozbłysło światło. „Zaplecze” przypominało raczej pokój mieszkalny i taką zapewne odgrywało rolę. Pośrodku okrągły dębowy stół, przy ścianie ciężka sofa, naprzeciw niej wysokie lustro w złoconej ramie, po drugiej stronie sofy oszklona biblioteczka, tuż przy małym okratowanym oknie wysoki, wyściełany fotel z rzeźbionymi poręczami, a przy fotelu stolik inkrustowany masą perłową. Pajpus podbiegł do fotela i nogą wsunął pod mebel rozdeptane kapcie.

- Przepraszam za bałagan. - Uśmiechnął się, nie pokazując zębów. - Starokawalerskie nawyki. Jak to mówią, mężczyzna bez kochanki gnuśnieje, a bez żony brudem zarasta. - Przetarł chusteczką siedzenie fotela. - Proszę poczekać. Migiem obrócę. - Miał zamiar odejść, kiedy nagle coś sobie przypomniał. - Pan lubi obrazy? O, po co ja pytam! Przyjaciel pana Stockenhausena nie może nie cenić sztuki. W pokoiku obok pan Stockenhausen zgromadził prawdziwe rarytasy. Same oryginały, zaręczam, a przy tym pierwszorzędne nazwiska. - Podszedł do lustra naprzeciw sofy i, odwrócony tyłem do Juliana, majstrował chwilę przy złoconej ramie. Lustro poruszyło się, a następnie bezszelestnie zaczęło obracać jak drzwi osadzone na zawiasach. Pajpus pociągnął je ku sobie, poszerzając wejście. Wykonał zapraszający gest. - Bardzo proszę, bez krępacji. Nie powinien pan wyjść zawiedziony.

Julian zawahał się przed wejściem do ciemnego pokoju. W końcu ciekawość zwyciężyła. Ledwie postąpił krok naprzód, rozbłysły światła. Ośmiokątne pomieszczenie, zwieńczone wysokim stropem, miało niespełna dziesięć kroków średnicy i pozbawione było okien. Lamy, rozmieszczone na solidnej obręczy zawieszanej u sufitu na czterech grubych łańcuchach, dawały wystarczająco dużo światła do właściwego wyeksponowania obrazów. Malowidła i ryciny wypełniały każde wolne miejsce. Na wprost drzwi, pośród miedziorytów sygnowanych nazwiskiem Dürera i rodzaj owych malunków w stylu Pietera Bruegla, z powracającym motywem zapustów oraz walki szatana z aniołem, wisiał obraz wyróżniający się sporymi rozmiarami i kompozycją. Z nieba na pół przeciętego błyskawicą spływał na skrzydłach na ziemię urodziwy młodzieniec w złotej zbroi. Cerę miał jasną, lecz nie chorobliwie bladą, oczy ciemne, brwi jakby uczernione, a lekko kręcone jasne włosy mieniły mu się złociście. Uśmiechając się triumfalnie, prawą rękę zaciskał w pięść, jakby komuś wygrażał. Zwycięzca, który nawet upadek potrafi obrócić w sukces.

Julian stał oniemiały. Znał tę twarz. Poznawał uśmiech, za którym kryły się nieustępliwość i wola zwycięstwa.

- Piękny obraz, nieprawdaż? - Pajpus stanął za nim niepostrzeżenie. - Pan Stockenhausen również go sobie ceni. Leonardo tworzył *Wygnanie z Raju* w szczególnych okolicznościach. Dożywał swoich dni we Francji, z dala od ciepłej Italii. Na zamku Cloux zimy i jesień dawały mu się we znaki. Podagra, paraliż lewej ręki. A był mańkutom. Zaczął malować prawą, ale bał się, że i ona będzie wkrótce niedomagać. Pomoc przyszła w samą porę. Miał szczęście, że znalazł tak potężnego protektora. - Antykwariusz delikatnie przeciągnął palcem po płótnie. - Zastanawia się pan zapewne, dlaczego ten obraz Leonarda nie figuruje w żadnych katalogach. Odpowiedź jest prosta: to osobista pamiątka. Powstał jako wyraz podziękowania, ba, może nawet hołdu. - Pajpus zatoczył ręką koło. - Jak pan widzi, jest tu takich pamiątek dużo więcej. Każdy prawdziwy artysta potrzebuje mentora.

Julian cofnął się do wyjścia. Miał przeczucie, że jeśli zostanie tu chwilę dłużej, wydarzy się coś nieodwracalnego.

- Panie Pajpus - zaczął, siląc się na naturalny ton - muszę się już pożegnać. Miał mi pan przekazać jakąś przesyłkę.

- Zgadza się. Ale coś mi się wydaje, że otrzymał pan już to, po co pana przysłano.

## Rozdział 19

# Ten Czwarty

Stockenhausen od dawna przygotowywał się do tej rozmowy. Z doświadczenia wiedział, że wiele zależeć będzie od pierwszych minut spotkania. Dogmat o wolnej woli był bronią obosieczną i często z pozoru drobiazg decydował o wygranej bądź porażce. Okłamywałby sam siebie, gdyby udawał, że ostateczny wynik jest mu obojętny. Nigdy tak nie było. Z drugiej strony ważny był też sposób dochodzenia do celu, towarzyszący temu dreszczyk emocji, naturalna w takich wypadkach niepewność.

Kiedy tylko doszły go podniesione głosy z sekretariatu, wstał zza biurka, poprawił marynarkę i stanął pośrodku pokoju. Nie czekał długo. Otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadł Julian Rotas. Twarz miał rozognioną, lecz na widok Stockenhausena odwaga go opuściła. Zatrzasnął za sobą drzwi i tkwił w miejscu, spoglądając jakby z niedowierzaniem na gospodarza, ubranego w doskonale skrojoną marynarkę i eleganckie półbuty z miękkiej cielejącej skóry.

Stockenhausen zaśmiał się z jego miny.

- Kogo spodziewałeś się ujrzeć? Masz taki wyraz twarzy, że mógłbyś z powodzeniem wygłosić kwestię Otella, w której użala się na widok Jaga: „Na nogi patrzę mu, ale to wszystko bajka. Jeśli jednak prawdziwie jest diabłem, nie będę mógł go zabić”. Czy ja wyglądam na diabła?

Zaprosił Juliana na klubowy fotel. Sam usiadł za biurkiem. Rotas zawahał się. Zerknął ku drzwiom, najwyraźniej badając odległość, w końcu jednak niechętnie przysiadł na skraju fotela.

- Tak, drogi Julianie, to kolejny z mitów, którymi was karmią. - Stockenhausen poluzował krawat. - Naprawdę wyobrażasz sobie, że diabeł to rogaty cap, ma kopyta zamiast nóg i w spodniach chowa ogon? Bzdura, nieprawdaż? Skoro mam przeciągać na swoją stronę, to z tak szpetnym wyglądem niewiele bym zdziałał.

- Nie darmo nazywają cię „wielkim zwodzicielem” i „ojcem kłamstwa”.

- Brawo! Odważyłeś się odezwać. Większość ludzi w mojej obecności z miejsca traci rezon. A wracając do twojego oskarżenia, należałoby skierować je gdzie indziej. Pamiętasz może, co mówi o mnie Jahwe w Księdze Ezechiela? „Byłeś odbiciem doskonałości, pełen

mądrości i niezrównanie piękny”. Sam Jahwe, uważasz! Pomijam, rzecz jasna, dalszy kontekst, znacznie mniej mi przychylny. Tak już przecież jest, że Bóg prawi mi komplementy tylko po to, by zaraz wbić mi jakąś szpilę. Ale znowu zbaczam z tematu. Wracając zatem do mojego wizerunku: dopiero Sobór Trydencki zdecydował, że diabeł musi być przedstawiany jako ohydny stwór. Intencja była taka, że duchowa brzydota, którą mi się przypisuje, winna znaleźć wyraz w fizycznej szpetocie. Jak więc byś to nazwał? Toż to klasyczna manipulacja faktami. Kto zasługuje na miano kłamcy? Zważ na to, że mówimy na razie tylko o wyglądzie, nie o naturze szatana, a ile już w tym wszystkim przekłamania pomieszanego z podłością. Jak powiedział Nietzsche: „Oszustwo na chwałę Bożą jest w chrześcijaństwie dozwolone”. - Podniósł rękę, nie dopuszczając Juliana do głosu. - Przepraszam, gwoli prezentacji faktów jeszcze tylko słówko o wizerunku. Wiesz, kto przedstawił mnie najpiękniej? Jest taki obraz na ołtarzu *Bitwa aniołów* w kościele Świętego Michała w Jerez, całkiem zgrabna rzecz, przypominam tam wręcz Apollina. Ale najwierniej, o czym sam mogłeś się przekonać, oddał mnie Leonardo w *Wygnaniu z Raju*. Nie mówię, rzecz jasna, wyłącznie o fizycznym podobieństwie. Leonardo miał wyborny talent do portretowania wnętrza modela. Pod koniec życia chyba bardziej jeszcze... - Stockenhausen nieoczekiwanie przerwał. Nie podnosząc się zza biurka, pogroził Julianowi palcem. - Wybacz - powiedział dobitnie - ale nie znoszę, jak ktoś w mojej obecności miesza cytaty z Biblii. Ten fragment Piotrowego listu brzmi zupełnie inaczej: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć”.

- Stara sztuczka z czytaniem w myślach? - Rotas zmusił się do ironicznego uśmiechu.

- Tym razem postaram się zacytować poprawnie: „Diabeł może posługiwać się słowami Pisma Świętego dla własnych celów”. Szekspir, *Kupiec wenecki*.

- Prawie poprawnie. Kto jak kto bowiem, ale ty powinieneś zaakcentować kwestię domniemanego autorstwa Szekspira. Powiem ci prywatnie, że Szekspir rzeczywiście kradł pomysły na lewo i prawo.

- Zapewne z twoją pomocą.

Stockenhausen wykonał gest, jakby odganiał muchę.

- Robiłem to, uwierz mi, bez zbytej przyjemności. Znacznie wyżej cenilem sobie współpracę z Marlowe'em. - Miał teraz minę hobbysty, który dosiadł ulubionego konika. - Dlatego zwróciłem uwagę na twoją książkę. Zacząłem się nią interesować, jak tylko przystąpiłeś do pisania. - Poglądził szklaną kopułę, pod którą spoczywała kształtna, wypolerowana czaszka. - Słowa szybko się rodzą i szybko umierają. - Westchnął. - Po Marii Szkockiej została pamięć... i ta czaszka. Pozostawisz po sobie coś równie solidnego? Nie

mam na myśli, rzecz jasna, kości. Mówię o historii. Rozejrzyj się. Poza książkami przechowuję tu sporo pamiątek. Choćby ta włócznia w stojaku. Ta sama broń, za pomocą której setnik przekłuł bok Jezusowi. A tam, w szklanej gablocie, trzymam kosz z trzciny, w którym mały Mojżesz bezpiecznie dobił do brzegu. Co by tu jeszcze... Marmurowa bryła, z ledwie napoczętym zarysem klęczącej postaci, to zarzucona praca Michała Anioła. Chciał wyrzeźbić Chrystusa w Ogrójcu na zamówienie Monsignore Fratellego; niestety, marmur miał wewnętrzną skazę i pękł na dwie części. Szkoda, naprawdę szkoda. Włożył w to sporo serca... Niemniej to tylko artefakty. Przedmioty jak każde inne. Jeśli przywiązujemy do nich jakąś wagę, to właśnie z powodu historii, która je otacza. Pamięć, Julianie, to jedyne, o co warto zabiegać. - Stockenhausen odchylił się w fotelu. Splótł dłonie na piersiach i przyglądał się Rotasowi, jakby spodziewał się odpowiedzi. Powrócił do przerwanej wątku: - Uznasz pewnie za paradoks to, że przywiązuję taką wagę do znajomości Biblii. Jeśli szatan przywołuje słowa Pisma, to wcale nie po to, żeby zwodzić; ludzie są dzisiaj takimi ignorantami w sprawach teologii, że ktoś musi im przypominać podstawowe prawdy wiary. Pochlebiam sobie, że pod względem przygotowania i kompetencji niewielu może się ze mną równać. Z drugiej strony, nie ukrywam, mam w tym pewien zamysł...

- Nie wątpię! Występując pod przykrywką teologa, łatwiej wzbudzić zaufanie. Łatwiej zatem oszukać.

- Źle mnie oceniasz.

- A kto bawił się ze mną w kotka i myszkę? Przyjacielski, sympatyczny, skory do pomocy, mający obietnicami: książka warta wydania, mam swoje koneksje, chętnie pomogę. Ani się spostrzegłem, jak książka była już w drodze do drukarni. A ja, głupi, myślałem, że nareszcie dopisało mi szczęście. Oplatałeś się wokół mnie jak pasożytnicze pnącze. Najpierw zawłaszczyłeś książkę, potem usiłowałeś przejąć kontrolę nad moim życiem. Choćby i teraz: jadę z lotniska do domu, a okazuje się, że już tam nie mieszkam.

- Udzieliłeś mi pełnomocnictwa w sprawie sprzedaży. Wszystkie rzeczy masz w nowym mieszkaniu. Opowiadałem ci o nim. Zaręczam, że ci się spodoba. Ale jeśli wolisz mieszkać w starym mieszkaniu po babce, wszystko da się odwrócić. Do niczego cię nie zmuszam.

- Cyrograf też mi oddasz?

Stockenhausen zaśmiał się smutno.

- Stare mity wciąż pokutują. - Zmrużył ciemnoniebieskie oczy. - Kazałem ci cokolwiek podpisywać? Podsuwałem ci podstępem choć jeden skrawek papieru? Nie, Julianie, nigdy do niczego cię nie namawiałem. Owszem, kryłem się z prawdziwą

tożsamością, ale tylko do czasu. Powody były oczywiste. Przede wszystkim musiałem się przekonać, czy dokonuję właściwego wyboru. Nie mogę sobie pozwolić na popełnianie błędów. Tracę czas i pieniądze, a co gorsza, muszę naprawiać konsekwencje pomyłki. No i wreszcie, powinienes to docenić, chciałem, żebyś odkrył prawdę w sposób, nazwijmy to, neutralny, żebyś miał czas na przemyślenie wszystkiego. W tym celu wysłałem cię do Waszyngtonu. Teraz świadomie możesz zdecydować, czy chcesz dalej korzystać z moich usług. To jak z wyborem agenta literackiego: jeżeli trafiasz na fachowca, który zna się na swojej robocie, to lepiej się go trzymaj. Często to decyzja na całe życie. Powiem bez fałszywej skromności, że jestem w tej branży najlepszy.

- Nie wątpię! Diabelskie sztuczki bardzo się przydają.

- Nie posądzałem cię o taką płytkość sądów. Kieruję się zasadami wolnej konkurencji. Z całą pewnością nie jestem bardziej bezwzględny niż wielu speców od reklamy i marketingu. To, co robię, to skuteczne *public relations* i przemyślana *publicity*. Jeżeli niszczę konkurencję, to nigdy dla przyjemności, a wyłącznie z musu. Interes to interes.

Słuchając Stockenhausena, Julian doznawał sprzecznych uczuć. Lęk, który musiał pokonać, żeby tutaj przyjść, powoli ustępował, a jego miejsce zajmowała ciekawość. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że powinien mieć się na baczności. W pojedynku na argumenty łatwo może się zapędzić w uliczkę, z której nie będzie odwrotu. Jednocześnie zaś w głowie kołatała mu niesłychana myśl, że to całkiem miłe uczucie rozmawiać jak równy z równym z samym Lucyferem. Zupełnie jakby poddano go działaniu dziwnego antyseptyku, który uśmierzał niepokój i pozwalał na komfort obserwowania sytuacji z bezpiecznego dystansu. Role się odwróciły. Po raz pierwszy to nie on zabiegał o zainteresowanie i względy. To o niego zabiegano. Zebrało mu się na śmiech.

- Wielki Lucyfer komiwojażerem - powiedział na głos i dopiero wtedy się przestraszył.

Stockenhausen, pochylony nad biurkiem, długo mierzył go wzrokiem. Rozparł się z powrotem w fotelu i bębniąc palcami po blacie, wydobył z siebie teatralne „ha, ha, ha”.

- Wyczuwam ironię, ale nic nie szkodzi - odezwał się powoli. - To nawet dobrze, że czujesz się w moim towarzystwie tak swobodnie. W końcu mamy być partnerami. Chociaż określenie „komiwojażer” nie wydaje mi się najtrafniejsze. Uważam się za biznesmena. Wolę, żebyś tak mnie nazywał. Powiedzmy, że to kwestia dobrych manier. - Uderzył otwartą dłonią o blat biurka. - Coś takiego! Mówię o dobrych manierach, a sam popełniłem nietakt. Zapomniałem ci kogoś przedstawić.

Lucyfer podniósł się lekko z fotela i zanim Rotas zdążył zaprotestować, ujął go pod

rękę. Pociągnął go do posągu z brązu, umieszczonego przed lewym skrzydłem oszklonej biblioteczki. Naturalnej wielkości posąg przedstawiał mężczyznę w sile wieku, ubranego w kaftan do kolan ściągnięty w pasie, a w górze zakończony kryzą; na głowie miał wysoki stożkowaty kapelusz, prawą ręką przyciskał do piersi zamkniętą grubą księgę, w otwartej dłoni lewej ręki trzymał naczynie w kształcie piramidy. U stóp niewysokiego postumentu z wrytym napisem „Cornelius Agrippa” leżał wypchany pies: cały czarny, potężnych rozmiarów, łeb lekko skręcał i kierował w górę, jak gdyby spoglądał na ciężącą nad nim postać.

- Poznaj Monsieur - powiedział Lucyfer ciepło. Pochylił się nad psem i pogłodził go pieszczotliwie po masywnym łbie, tam gdzie wyrastały małe, spiczaste uszy.

Pies zastrzygł uszami. Podniósł łeb, nadszpedziewanie żwawo dźwignął się na łapy. Przeciągnął się i otrzepał energicznie, aż zabrzęczały szyby w biblioteczkach. Sierść miał krótką, czarną jak sadza, za to ślepia jasnozielone, jakby wykonane z cienkiego szkielka.

Kładąc po sobie uszy, otarł się łbem o nogę Lucyfera. Następnie obrócił się i stanąwszy bez trudu na tylnych łapach, wyciągnął prawicę do Juliana.

- Monsieur - odezwał się głębokim basem.

Lucyfer klasnął w dłonie.

- Kiedy tak mówi, to nigdy nie wiem, czy się przedstawia czy honoruje rozmówcę. Przywitaj się z nim, Julianie. Jest bardzo wyczulony na punkcie własnej osoby.

Monsieur miał mocny uścisk. Spojrzał Rotasowi przyjaźnie w oczy, skinął potężnym łbem i mruknął coś, co zabrzmiało jak pozdrowienie.

- Cornelius Agrippa przywiózł Monsieur z wyprawy do Paryża w 1526 roku - poinformował Lucyfer tonem kolekcjonera, który chwali się cennym nabytkiem. - Corneliusa miło wspominam, był pojętnym uczniem. Z moją pomocą nauczył Monsieur wielu niezwykłych sztuczek. Monsieur wykazuje talent do języków. Opanował też do perfekcji teleportację i psychokinezę. W pewnych sytuacjach bywa to niezmiernie przydatne. Co prawda, o literaturze z nim nie porozmawiasz, ale za to śledzi na bieżąco nowinki naukowe i techniczne. Zaprenumerowałem mu „Scientific American” oraz „Nature”. Nie muszę ci mówić, że doskonale sprawdza się w roli opiekuna. Twoja przygoda w parku jest tego najlepszym przykładem. Nie jest zbyt rozmowny, zaręczam jednak, że zdążył cię już polubić. To co, może usiądziemy? Monsieur, ustaw panu Julianowi fotel tyłem do okna. Przedpołudniowe słońce nie bardzo mu służy.

Monsieur zgrabnie przesunął ciężki fotel. Odczekał, aż Julian usiądzie, a kiedy Lucyfer zajął miejsce naprzeciw gościa, sam wgramolił się na fotel ustawiony bokiem do



okna. Rozparty między szerokimi poręczami a miękkim, wysokim oparciem, przymknął oczy i wygrzewał się w słońcu.

- Nie chciałbym sprowadzać tej rozmowy wyłącznie do interesów - zaczął Lucyfer nieco spiętym głosem. - Traktuję naszą znajomość dość emocjonalnie. Nie najlepsza to rekomendacja dla biznesmena. Cóż robić, natury nie zmienisz. Może wody? Pozwolisz, że ja skorzystam. - Nalał sobie wody z karafki na stoliku. Pił małymi łykami, żeby zyskać na czasie. - Jeśli miałbym sprowadzić naszą współpracę wyłącznie do interesów - podjął, odstawiając szklankę - to powiedziałbym tak: ja pomagam tobie, ty mnie. Ku obopólnej korzyści. Co zyskujesz? Pełny pakiet usług z dożywotnią gwarancją. Sukces czytelniczy, uznanie w świecie literackim, prestiżowe nagrody. Szczegóły dopracujemy, jestem pod tym względem bardzo elastyczny. Oczywiście, o pieniądzach nie wspominam. To się rozumie samo przez się. - Zadzwoił paznokciami o brzeg szklanki, przebiegając w myślach pozostałe punkty umowy. - Aha, i jeszcze klauzula ubezpieczeniowa. W ramach pakietu otrzymujesz gwarancję nietykalności cielesnej, stuprocentową ochronę przed chorobami oraz przed nieszczęśliwym wypadkiem. Przechodzisz pod moją opiekę. Usługi Monsieur nie byłyby ci już potrzebne.

Monsieur ze swego miejsca podniósł łapę wystudowanym gestem, który miał oznaczać starannie maskowane rozczarowanie.

Julian poruszył się energicznie, żeby pozbyć się mrowienia w nogach. Monsieur powtórzył jego ruch, po czym sięgnął po leżący na stoliku egzemplarz „Scientific American”. Zaczął go kartkować, marszcząc przy tym komicznie czoło. Rotas z trudem powstrzymał się od śmiechu. Makabra przeplatała się z groteską. Były chwile, kiedy chciał się zerwać i demonstracyjnie wyjść, jednak jakaś siła na powrót wciskała go w fotel. Ciepły, znajomo brzmiący głos szeptał mu do ucha, że ma szansę zrobić interes życia. Zaraz potem wszakże w drugim uchu brzęczał mu inny głos: ochryply, obcy baryton, ostrzegający, że nic nie dostaje się darmo. Kiedy jeden głos przybierał na sile, drugi jeszcze głośniejszy wykrzykiwał kontrargumenty. Zupełnie jakby siedziały w nim dwie różne osoby i każda starała się przeciągnąć go na swoją stronę. A więc przyjaźnie, lecz stanowczo: „Zgódź się, nad czym tu myśleć. Taka okazja już się nie powtórzy”. Zaraz potem ochryply baryton, natrętnie i niecierpliwie: „Nie bądź głupi. Nie daj się oszukać. Pamiętaj, za wszystko trzeba kiedyś zapłacić”.

Monsieur ziewnął, błyskając białymi kłami. Przesunął się w fotelu, żeby móc lepiej widzieć Juliana. Lucyfer założył nogę na nogę i kiwał nerwowo stopą obutą w elegancki mokasyn z cielęcej skóry.

- Klarowny, przejrzysty układ? - Rotas odważył się wreszcie odezwać, kpiną próbując pokryć drzenie głosu. - Ale w biznesie opłacalność transakcji zależy od ceny. Oddać diabłu duszę to żaden interes.

Lucyfer rozłożył bezradnie ręce.

- Zabobony i gusła, drogi Julianie. Nikt rozumny nie zaprzeczy istnieniu duszy, a dokładniej, istnieniu pozacielesnego bytu zwanego potocznie duszą. Tyle że cała rzecz nie sprowadza się do alternatywy zbawienie-potępienie. To stara szkoła myślenia, dogmat od początku skażony zafałszowaną myślą. W najlepszym razie świadczący o niezrozumieniu istoty sprawy. W rzeczywistości twój wybór sprowadza się do alternatywy marazm albo postęp. Wybierając mnie, opowiadasz się za postępem.

- Trochę mętnie - zamruczał ostrzegawczo Monsieur. - Ja bym przeszedł od razu do meritum.

Lucyfer zgromił go wzrokiem.

- Nie uganiam się za duszami - ciągnął, zwracając się do Juliana. - Poszukuję solidnego partnera do bardzo poważnego przedsięwzięcia.

- Robimy prezentację z wykorzystaniem PowerPointa? - podchwycił Monsieur z nadzieją w głosie. Nie czekając na odpowiedź, schylił się i wyciągnął spod fotela laptop o opalizującej obudowie.

- Nie trzeba - powstrzymał go Lucyfer. - Pan Julian ma wystarczająco rozwiniętą wyobraźnię przestrzenną. To artysta.

Monsieur ze zgaszoną miną ustawił laptop na brzegu stolika, ekranem do siebie. Zaczął demonstracyjnie stukać łapą w klawisze.

Lucyfer przestał zwracać na niego uwagę. Patrzył na Rotasa. Spojrzenie miał jednak nieobecne, tak jakby przebywał myślami gdzie indziej. Jego rysy nabrały ostrości, oczy zmatowiały, nad brwiami pojawiła się głęboka sino-czerwona bruzda, która biegła przez całe czoło i ginęła pod włosami na skroniach. Naraz wydał się starszy o kilkanaście lat.

- Szukam sprawiedliwości, Julianie - zaczął powoli, starając się panować nad głosem. - Powiesz zapewne, że dziwne to wyznanie w ustach szatana. Ale zważ na to, że cała historia z boskim planem stworzenia jest jedną wielką manipulacją, od początku do końca. Nie żądam dla siebie zbyt wiele. Chcę tylko odzyskać należne mi miejsce. Chcę obalić mity, które mnie krzywdzą. Domagam się prawdy.

Wyjął złożoną w czworo chusteczkę i otarł czoło. Dziennikarz poczuł przyjemny zapach wody lawendowej.

- Nie jesteś zbyt biegły w teologii, ograniczę więc fakty do niezbędnego minimum -

zastrzegł Lucyfer.

Monsieur pokiwał łbem z aprobatą, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa.

- Zwróć uwagę, że cały materiał dowodowy opieram na Biblii. To powinno skutecznie oddalić ewentualne oskarżenia o stronniczość czy matactwo.

- Tylko suche fakty, jak powiedział wielebny Ignatius, dorzucając chrustu pod inkwizycyjny stos - zamruczał Monsieur.

- Tylko suche fakty - powtórzył Lucyfer. - W Księdze Izajasza Bóg powiedział: „Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę. Ja, Pan, czynię to wszystko”. W Eklezjastyku czytamy podobne słowa: „Dobra i niedole, życie i śmierć, ubóstwo i bogactwo pochodzą od Pana”. Nie jestem wybrykiem natury czy wytworem własnej wybujałej ambicji. Byłem i jestem elementem boskiego planu. Jestem częścią Pana.

Słowa Lucyfera przekonywały logiką argumentacji. Ledwie jednak Julian zdążył tak pomyśleć, odezwał się baryton, powtarzając ochryple swoje racje i zbijając argumenty interlokutora. Rotas przytomnie skorzystał z podpowiedzi.

- Mann trafnie cię odmalował w *Doktorze Faustusie*. Dobierasz argumenty tak, jak kameleon zmienia barwy.

Lucyfer obruszył się.

- Daj mi spokój z tym Mannem! - wykrzyknął. - Postąpił ze mną jak hochsztapler! Potraktował postać szatana w sposób czysto instrumentalny. Stałem się dla niego wygodnym usprawiedliwieniem dla wyjaśnienia okropieństw XX wieku i postępowania jego ziomków.

- Przykład idzie z góry - wtrącił tajemniczo Monsieur.

- Otóż to! - podchwycił Lucyfer. - Od początku byłem narzędziem w ręku Boga. Pamiętasz historię Hioba? Jahwe miał we mnie chłopca na posyłki. Dla zachcianki poddawał Hioba wciąż nowym próbom, a ja czatowałem jak pies, żeby przyłapać biedaka na najmniejszym przejawie buntu. Taka była moja rola: *Satan*, czyli urzędowy oskarżyciel w strukturze niebieskiego zarządzania, ten, który przed sądem Pana przedstawia ludzkie winy i pichci akt oskarżenia. A jeśli trzeba, posuwa się do prowokacji. - Pomasował miejsce na czole w okolicach sklepienia nosa. - Może zainteresuje cię jako pisarza to, że właśnie wtedy zrodziło się określenie „stan wyższej konieczności”.

- Tak czy inaczej, istnienie zła jest niepodważalnym faktem - zaryzykował Julian.

Monsieur zarechotał triumfalnie. Ucichł pod karcącym spojrzeniem Lucyfera.

- Powiedziałeś dokładnie to, czego się spodziewałem - zripostował Stockenhausen. - Sam dajesz mi kolejny argument do ręki. A zatem: jeżeli Bóg zezwala na zło, oznacza to, że nie jest nieskończenie dobry. Jeżeli natomiast nie zezwala, a mimo to zło panoszy się na

świecie, to należy wnioskować, że nie jest nieskończenie potężny. Kolejna rysa na rzekomo doskonałym wizerunku. Potrafisz zbić ten wywód?

Julian pilnie nasłuchiwał. Tym razem jednak ochrypli baryton nie przychodził mu w sukurs.

- To żadna ujma dla twojego intelektu - odezwał się konfidencyjnie Lucyfer. - Ojcowie Kościoła także daremnie łamali sobie nad tym głowy. Zło bowiem jest nieodłącznym elementem rzeczywistości, czynnikiem w równym stopniu pozytywnym jak dobro. Zło i dobro nie istnieją obok siebie, lecz się przenikają. Każde zjawisko ma swoje przeciwieństwo i dopiero suma takich przeciwieństw pozwala nam poprawnie zdefiniować każde ze zjawisk. Zgadzasz się z takim tokiem rozumowania?

Rotas wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Pójdźmy zatem krok dalej - kontynuował Lucyfer, a Monsieur żwawo mu potakiwał. - Szatana nie można uważać za wcielenie zła. Skoro bowiem obiektywnie istnieje, to musi być również dobry. Przecież gdyby miał być wyłącznie zły, to w myśl wcześniej przytoczonego wyводу nie mógłby istnieć. Mówię wystarczająco zrozumiale? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, uśmiechnął się smutno. - I tak oto dochodzimy do sedna - podjął tonem stanowczym, choć dalekim od triumfu. - Skoro doskonały, nieskończenie dobry Bóg stworzył rzekomo doskonały świat, to jak miał uzasadnić istnienie zła w takim świecie? Potrzebował kogoś, na kogo mógłby zrzucić odpowiedzialność. Musiał znaleźć kozła ofiarnego. Wybór padł na mnie.

- Tragiczna historia, która wymaga odkłamania - ogłosił Monsieur uroczyście. - Największe fałszerstwo w dziejach świata. Gdzie prawda, pytam? Gdzie sprawiedliwość?

- Domagam się tylko naprawienia krzywdy, Julianie. - Lucyfer położył wypielęgnowaną dłoń na sercu. - Niczego więcej. Chcę mieć znowu pozycję, która słusznie mi się należy. Trójca jest niepełnym obrazem Boga, skoro zabrakło w niej Jego ciemnej strony. Pierwotną Czwórną, na którą składały się wszystkie cztery byty, odarto z jej integralnego elementu. Ja jestem Tym Czwartym. Jestem czwartym imieniem Pana.

Monsieur błyskawicznie zsunął się z fotela i wyprężony jak struna, łypnął gniewnie na Juliana, że ten nie raczy się ruszyć. Ścienny zegar wybił jedenaście uderzeń. Monsieur z głośnym cmoknięciem podreptał do zegara, otworzył oszklone drzwiczki i przesunął dużą wskazówkę dwie minuty do przodu. Wrócił na fotel, pomrukując pod nosem: „Łeb by uciąć temu zegarmistrzowi”.

Pot ściekał Rotasowi po plecach równą strużką, tuż obok znamienia pod lewą łopatką. Czuł w tym miejscu pieczenie, jakby ktoś przykładał mu rozżarzony pręt.

Lucyfer pochylił się nad stolikiem.

- To nie piętno - powiedział, czytając mu w myślach. - Nosisz znak wybrania. - Położył Julianowi rękę na dłoni. Miał przyjemny dotyk, który przynosił ulgę rozpalonemu ciału.

Dziennikarz zmusił się do cofnięcia ręki.

- Techniki manipulacji w służbie szatana - powtórzył za barytonem, który ponownie zaczął mu szeptać do ucha. - Rzeczywiście, opanowałeś do perfekcji sztukę reklamy.

Lucyfer uśmiechnął się szeroko.

- Nazwałbym to raczej kreowaniem pozytywnego wizerunku. Na własnym przykładzie doświadczyłeś, co to znaczy umieć dobrze się sprzedać. Trzeba iść z duchem czasu.

Lucyfer jeszcze nie skończył, a jego ochrypły protagonista już podsuwał Julianowi kolejny kontrargument.

- Masz pod tym względem większe doświadczenie, niż gotów jesteś przyznać - zacytował Rotas skwapliwie. - Już w rajku całkiem dobrze radziłeś sobie jako *grand agent provocateur*. Zapracowałeś sobie na swój wizerunek manipulatora, zwodziciela, kusiciela.

Lucyfer machnął lekceważąco ręką.

- Masz na myśli kuszenie w rajku i całą tę bujdzę o grzechu pierworodnym? Przypomnę ci słowa Samuela Butlera: „Pamiętać trzeba, że w sprawie diabła znamy relację tylko jednej strony”.

Monsieur klepnął się w uda.

- Zmaterializujemy Butlera? - zapytał prosząco. - On tak ciekawie opowiada.

- Nie teraz, Monsieur - powstrzymał go Lucyfer. - Dla naszego gościa to tylko diabelskie sztuczki. Prowadzimy rozmowę na wyższym poziomie.

Monsieur z rozżaloną miną zajął się na powrót laptopem. Lucyfer zdjął marynarkę i starannie powiesił ją na oparciu fotela. Miał na sobie nieskazitelnie białą, starannie wyprasowaną koszulę, w mankietach srebrne spinki. Poprawił węzeł krawata.

- Teraz posłuchaj mojej wersji - zaczął ciepło, patrząc Julianowi w oczy. - Bóg wyposażył człowieka w wolną wolę, a jednocześnie przykazał mu, że nie może zrywać owoców z drzewa poznania dobra i zła. Wszechwiedzący Pan, który rzekomo stworzył was na Swoje podobieństwo, zabronił wam sięgania po wiedzę! Piramidalna niedorzeczność, co? Otóż nie. Postępował w myśl własnej logiki. Chciał zachować wiedzę wyłącznie dla siebie. Bał się, że kiedy uzyskacie do niej dostęp, staniecie mu się równi. Wołał mieć do czynienia z ignorantami, bo takimi łatwiej manipulować.

- Chwała Wielkiemu Manipulatorowi! - krzyknął Monsieur kpiąco.

Julian oderwał spocone plecy od oparcia fotela. Pieczenie pod łopatką nie ustępowało, ale też nie przybierało na sile. A może powoli zaczynał do niego przywykać?

- Zręcznie dobierasz argumenty. Ale to tylko krasomówstwo i kuglarskie sztuczki. Nie przyznasz się przecież, że chciałeś skłócić człowieka z Bogiem, żeby samemu się wywyżżyć. Posługujesz się nami, by mścić się na Nim.

Lucyfer rozłożył ręce.

- Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci we mnie kamieniem - rzekł z rozbrajającym uśmiechem. - Mam ci przypomnieć, jak wygrażałeś Bogu po śmierci rodziców? Przecież do tej pory Mu nie wybaczyłeś. - Nie odrywając wzroku od Juliana, pokręcił wolno głową. - Chcesz wierzyć czy nie, ale nie kierowałem się wyłącznie własnym interesem. Skoro wiedziałem, jakie Bóg ma wobec was zamiary, nie mogłem stać i przyglądać się biernie. Namawiając do zerwania owocu z drzewa poznania, chciałem wam otworzyć oczy na świat, pomóc w spełnieniu obietnic, których Bóg wam nie skąpił, lecz wcale nie zamierzał spełnić. Wiedziałem, na co się porywam. I zapłaciłem wysoką cenę.

- Upadły anioł.

- Raczej Prometeusz. Buntownik w słusznej sprawie. Gdyby nie ja, do tej pory bylibyście nagimi dzikusami. Każdy postęp rodzi się z wyzwania rzuconego zastanemu porządkowi rzeczy. Bóg stworzył świat i na tym poprzestał. Ja zaszczepiłem w was ciekawość, która jest motorem wszelkich zmian.

- Psychologicznie, mój Książę! - jęknął cicho Monsieur. - Więcej psychologii, mniej dydaktyzmu.

Lucyfer uśmiechnął się przepaszająco do Rotasa.

- Proszę wybaczyć, mój przyjaciel nie przywykł do tak długich dyskursów. Zmierzam do finału. Przyłącz się do mnie, Julianie. Masz ambicję i niepospolity talent. Pomogę ci zamienić je na sławę i pieniądze.

- Za cenę nieśmiertelności.

- Zyskasz nieśmiertelność dla wybranych. Lepiej królować w piekle, niż służyć w niebie. Kto to napisał?

- John Milton, *Raj utracony*.

- Nie kończąca się rajska nudę, z aniołami wyśpiewującymi dyszkantem *Hosanna*, zamienisz na wieczność pełną niespodzianek i nowych wyzwań. Marazm albo postęp. Dla artysty wybór powinien być prosty.

Głos, który do tej pory ze zmiennym szczęściem wspierał Juliana, zachryplł na dobre.

Baryton porwał się desperacko na wygłoszenie jeszcze jednej zbawiennej rady, ale próba skończyła się atakiem kaszlu.

- Monsieur, nalej panu wody.

Rotas chwycił szklankę i wypił trzy spore łyki. Monsieur nie przestawał przyglądać mu się badawczo.

- Błady jakiś - orzekł. Sam pomasował sobie łapą skroń. - Pewnie spadek ciśnienia.

- Julianie, może masz ochotę na coś mocniejszego? - zapytał z troską Lucyfer.

- Wszechwiedzający powinien to wiedzieć.

Lucyfer uśmiechnął się.

- Bardzo proszę. Gustujesz w trzygwiazdkowym koniaku. Ale w tej chwili wolałbyś szklaneczkę bolsa z plasterkiem cytryny.

- Chylę czoła!

- Nalać?

- To też powinieneś wiedzieć!

- Wcale nie - odparł Lucyfer. Nie zauważył, że Monsieur daje mu ostrzegawcze znaki.

- Nie mogę z góry wiedzieć, co postanowisz. Masz przecież wolną wolę. Monsieur głośno jęknął.

Dziennikarz dopił wodę i podniósł się z fotela.

- Chyba rzeczywiście trochę mi słabo. Powietrze dobrze mi robi.

Nie próbowali go zatrzymywać, kiedy mruknąwszy zdawkowe „Żegnam”, ruszył do wyjścia. Gdy zamknęły się za nim drzwi, popatrzyli po sobie.

- Poszło nie najlepiej - orzekł Lucyfer z westchnieniem.

Monsieur wciągnął nosem powietrze.

- Konkurencja. Nieustannie czułem obecność tego starego rozrabiaki Michała. Tak łatwo nam nie odpuści.

Lucyfer przytaknął w milczeniu. Dźwignąwszy się z fotela, podszedł do włączni tkwiącej w drewnianym stojaku. Przesunął dłonią po gładkim drzewcu, aż natrafił na trzy karby, które setnik Longinus wyrznął na pamiątkę trzech straconych tamtego dnia skazańców.

- Chyba miałeś rację, Monsieur. Przesadziłem z tym moralizatorstwem. Czas wrócić do starych, wypróbowanych sposobów.

## Rozdział 20

# Monopol na cuda

Małgorzata nosiła suknię z głębokim dekoltem, wciętą w talii dla podkreślenia szczupłości sylwetki, długą prawie po kostki. Poruszała się po scenie z dziewczęcym wdziękiem, okraszając arie zalotnym śmiechem. Świadoma swej urody, podnosiła niby przypadkiem dół sukni, pokazując szczupłe łydki w białych pończoszkach przewiązanych nad kolanami czerwoną podwiązką. Albrecht Kennert w swojej inscenizacji *Fausta* Gounoda odrzucił wizerunek zalęknionej dziewczyny, w zamian przydając ukochanej Fausta tych przymiotów, które miały uczynić z niej kusicielskie narzędzie w rękach Mefista. Przedstawienie z mediolańskiej La Scali, prezentowane gościnnie w warszawskim Teatrze Wielkim, wносиło do tradycji inscenizacji faustowskich wystarczająco wiele nowatorskich pomysłów, by wywołać zachwyt krytyków zwalczających konserwatyzm w sztuce i zapewnić stuprocentową frekwencję na widowni.

Julian siedział w piętnastym rzędzie obok Jana Kurcawicza, redaktora naczelnego „Racji”. Kurcawicz na ten jeden wieczór zamienił dzinsy oraz nieodłączny sweter na wyjściowy ciemnoszary garnitur, białą koszulę i krawat. Powodem owej doraźnej zmiany była obecność Michaiła Borozowa, przewodniczącego Rosyjskiego Stowarzyszenia Wydawców Prasy. Borozow, miłośnik polskiej wódki i znawca opery włoskiej, miał rozliczne koneksje wśród rosyjskich dziennikarzy oraz dostęp do Kremla. Dla Kurcawicza, który nosił się z zamiarem stworzenia rosyjskiego odpowiednika „Racji”, celem numer jeden stało się zyskanie przychylności wpływowego gościa dla swoich planów. Borozow wykorzystywał bez skrupułów interesowną gościnność gospodarza. Mieszkał w opłacanym przez gazetę apartamencie w Sheratonie, chętnie przyjmował drogie souvenirs i z wielką ochotą poznawał nocne życie miasta. Julian, na prośbę Kurcawicza, miał tego wieczoru odgrywać rolę artystycznego ozdobnika. Czyż mogła być lepsza reklama dla kierowanej przez Kurcawicza gazety niż fakt, że pracuje w niej wschodząca gwiazda literatury, która pierwsze dziennikarskie szlify zdobywała właśnie w „Racji”? Rotas podjął się tej szczególnej misji bez entuzjazmu. Miał jeszcze sporo pracy przy urządzeniu nowego mieszkania, a do przyjazdu Heleny pozostały niespełna trzy dni.

Dyrygent ruchem batuty wyciszył instrumenty dęte i dał znak perkusii. Odezwał



się bęben, dudniąc arytmicznie jak serce Małgorzaty oczekującej spotkania z Faustem. Julian przesunął się jak najdalej w lewo, chcąc uciec od alkoholowych wyziewów płynących od Borozowa. Westchnął cicho. Wizyta Heleny to najlepsza rzecz, jaka mogła mu się teraz przydarzyć. W gorączce rozlicznych przygotowań próbował zapomnieć o wydarzeniach ostatniego tygodnia. Uczepił się myśli, że Helena na nowo wprowadzi w jego życie porządek, który zburzył Stockenhausen. Zdawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Minęły cztery dni, a Stockenhausen nie pojawił się ani nie zadzwonił. Skoro symptomy nie wracają, to znak, że choroba jest w odwrocie. Dziwna i bardzo niebezpieczna choroba; znienacka zwala z nóg, lecz kiedy mija, człowiek stara się jak najszybciej wyrzucić ją z pamięci. Chyba mi się to udaje, pomyślał, patrząc bez emocji na Małgorzatę, która mocowała się właśnie z zamkiem kuferka od Fausta. Historia Fausta działa się na scenie. Jemu, Julianowi, przypadła wyłącznie rola widza.

- Krasawica! - jęknął Borozow, kiedy Małgorzata, pochylając się nad kuferkiem, odsłoniła bujne piersi.

Przy wtórze *crescendo* skrzypiec Małgorzata otworzyła kuferka. Z okrzykiem zachwytu wysypała jego zawartość na stolik. Skrzypce zajęczały i umilkły. Dziewczyna w zupełnej ciszy przymierza skrzące się klejnotami naszyjniki, przesypuje garściami kolczyki i pierścienie. Ukryty za kotarą Mefisto szepce Faustowi na ucho miłosne zaklęcia.

I właśnie w chwili, kiedy Małgorzata stroiła głowę w wysadzany turkusami diadem, a Faust szykował się, by wziąć ją w ramiona, dyrygent odwrócił się twarzą do widzów i wskazał batutą na Juliana.

Rotas popatrzył wokół siebie. Wzrok go nie mylił: dyrygent spoglądał prosto na niego. Małgorzata zamarła z rękami przy włosach. Mefisto wzruszył ramionami i kręcąc bezradnie głową, przytrzymał Fausta za poję kaftana.

Dyrygent pomachał przyzywająco batutą.

- Ruszyłyby się pan! - syknął ktoś z boku.

- Nieużyty jakiś! - zawtórował mu niecierpliwie ktoś inny. - Przez takiego wszyscy muszą czekać.

Z różnych stron rozlegały się gniewne posykiwania i pomruki. Borozow czknął i odsunął się demonstracyjnie od Juliana.

Dyrygent zastukał batutą o pulpit. Pomachał przynaglająco ręką.

- Panie Rotas - wycedził Kurcawicz przez zęby, prawie nie otwierając ust - idź pan, skoro grzecznie proszą. Nie każ pan innym czekać.

Sytuacja była zgoła nedorzeczna. Julian niechętnie dźwignął się z fotela, przecisnął

się do środkowego przejścia, a następnie skierował ku scenie. Orkiestra podjęła przerwane intermezzo. Batuta w ręku dyrygenta poruszała się płynnie, budząc do życia klarnety i oboje. Dołączyły do nich flety z fagotami, potem cicho zagrały trąbki, robiąc wstęp dla bardziej agresywnych puzonów. Wreszcie huknęły rytmicznie tuby. Dyrygent, zwrócony na powrót ku partyturze, zerkał co chwila przez ramię na Juliana. Odezwały się kontrabasy, po nich rozśpiewały się zawodząco skrzypce i altówki. Pałeczka w dłoni dyrygenta poruszała się niestrudzenie, zwiększając teraz tempo. *Allegro* przeszło w *presto*, jednocześnie tuby zagrzmiały *forte*.

Zaledwie dwa kroki dzieliły Juliana od orkiestrowej fosy, kiedy dyrygent odwrócił się ponownie. Rotas rozpoznał Stockenhausena. Lucyfer odrzucił z czoła spocone włosy, uśmiechnął się przyjaźnie, lecz równocześnie ruchem głowy przynaglił Juliana do pośpiechu. Ten zdążył jeszcze spostrzec, że Małgorzata nosi na twarzy makijaż dla ukrycia starych zmarszczek, a wargi ma grubo pociągnięte czerwoną szminką. Zaraz potem kotły zagrzmiały *fortissimo* i Julian poczuł, że traci grunt pod nogami.

Instynktownie wyciągnął ręce dla zamortyzowania upadku. Ale upadek nie następował. Zniknęły gdzieś światła sali operowej, orkiestra ucichła, a on nie przestawał lecieć. Z rozpostartymi ramionami, obracając się jak liść na wietrze, w nieprzeniknionej ciemności i absolutnej ciszy opadał w głąb olbrzymiego leja. W dole pod nim błysnął czerwonawy prześwit. Powoli rósł w oczach, czerwony od ognia jak wulkaniczny krater. Julian zapadał się w tę ognistą czeluść, nie czując oporu powietrza; płomienie nie osmalały mu twarzy, ciszy nie mącił żaden dźwięk. Mogłoby się wydawać, że to nie on się porusza, tylko w dole, na olbrzymim ekranie, przesuwają się zsynchronizowane obrazy. Wirtualna rzeczywistość, pomyślał. Albo sen wariata. Dostojewski się kłania...

Zdążył jeszcze przywołać Junga i jego teorię o marzeniu sennym jako samorzutnym wytworze podświadomości, kiedy lot dobiegł końca. Nie był już sam. Skonstatował to z ulgą, nic tak bowiem nie deprymuje jak samotność w obcym miejscu. Znajdował się w ogromnej sali, skąpanej w pulsującym czerwonawym świetle, którego źródła nie mógł nigdzie wypatrzeć. Tłum wokół niego poruszał się bezszelestnie. Mijali go w milczeniu i obojętnie, jakby jego obecność tutaj nie była dla nikogo zaskoczeniem. Trudno im się dziwić, skoro on sam przyjął to nagłe przeniesienie do piekła bez zbytniego zdziwienia. Może po prostu wydarzenia będą zbyt szybko? Z czasem przyjdzie wiedza, a z nią szansa na obiektywną ocenę sytuacji.

Stało się to szybciej, niż przypuszczał. Kiedy wzrok przywykł mu do czerwonawego światła, spostrzegł, że każdy z przechodniów jest jego bliźniaczą kopią. A więc to jest istota

piekła, pomyślał bez satysfakcji z dokonanego odkrycia. Samotność w tłumie. Skazanie na wieczne obcowanie z sobą i własnymi myślami. Czym wobec tego jest wiekuiste potępienie? Nie kończącym się cierpieniem na skutek odseparowania od Boga. Cierpienie w piekle to nic innego jak skutek oddalenia się od Boga.

- Dajże spokój, Julianie - przerwał mu znajomy głos. - Tłum bliźniaczych kopii? Zwykła sztuczka z zastosowaniem luster, soczewek i światła. Trochę inwencji tudzież znajomości prawideł fizyki. Pospieszyles się nieco z tym „wiekuistym potępieniem” i „samotnością w tłumie”.

Lucyfer mówił to bez egzaltacji, tak jakby opowiadał o sprawach oczywistych. Są rzeczy, których nie wypada nie wiedzieć - zdawał się sugerować - ale jestem tu po to, żeby ewentualne wątpliwości fachowo i przystępnie wyjaśnić. Nie zamierzam, tak jak Bóg, bronić ci dostępu do wiedzy. Proponuję zacząć od tak zwanych cudów...

- Kłopot z cudami polega na tym - podjął Lucyfer głośno - że człowiek rzadko może być pewny, kto jest ich rzeczywistym sprawcą. Bóg dysponuje znacznie bogatszym zasobem środków, ja z kolei nadrabiam tę różnicę większym zaangażowaniem. Bardziej mi zależy. Ja nie mogę sobie pozwolić na składanie pustych obietnic. Dlatego zresztą zaprosiłem cię tutaj. Uwaga, przygotuj się na zmianę dekoracji...

Jak w sprawnie działającym teatrze, momentalnie zapadła ciemność. Rotas poczuł, że jakaś niewidzialna siła unosi go i popycha do przodu. Bardzo nieprzyjemne uczucie, przemknęło mu przez głowę. Zupełnie jakby człowiek siedział z zawiązanymi oczami na tylnym siedzeniu rozpędzonego samochodu. Najdziwniejsze jednak, że w takiej chwili ciekawość brała w nim górę nad strachem.

Niewiele więcej zdążył pomyśleć, bo ciemność na wprost niego rozstąpiła się niczym kurtyna, odsłaniając chybliwą łódź na purpurowym jeziorze. W łodzi, osmalanej przez ogniste fale, stał Lucyfer.

- Ach, wiem, te symbole! - powiedział z teatralnym westchnieniem bardziej do siebie niż do Juliana. - Skoro nie można inaczej...

Podciągnął długą szatę i trzymając ją lewą ręką, pewnie przestąpił burtę łodzi. Płomienie sięgały mu niemal do kolan. Stąpając bez wahania po jeziorze ognia, ruszył powoli ku brzegowi. Po pięciu krokach zatrzymał się i ruchem ręki przywołał Juliana.

- Kolej na ciebie. Jest wszystko, co potrzebne: łódź, jezioro i Mistrz. Pamiętna scena, nieprawdaż? Zbliź się. Czas na nasze przymierze.

„Ogień piekielny... Podstęp, podstęp... Strzeż się!” - zasyczał raptem Julianowi prosto do ucha znajomy ochryply baryton. Mówił coś dalej, ale kolejne słowa dochodziły

zniekształcone, jakby natrafiały na przeszkodę, przez którą nie mogły się przebić. Rotas wyłowił jeszcze strzępy zdań: „Nie mam tu wstępu...”, „Zdany tylko na siebie” - i doradca umilkł bezpowrotnie.

- Więcej odwagi, Julianie. - Lucyfer uśmiechnął się zachęcająco. - Jestem przy tobie. Nic ci nie grozi.

To tylko diabelskie sztuczki! - Dziennikarz uspokajał sam siebie. - Czym innym jest czytać w myślach, czym innym zaś podsuwać gotowe myśli. Jest na ciebie sposób, mój panie. Jaki? Dobrze wiesz!

- Jak sobie życzysz. - Lucyfer wzruszył ramionami. - Ujmując rzecz w kategoriach handlowych, zaproponowałem ci atrakcyjny towar w eleganckim opakowaniu i z gwarancją dożywotniego zadowolenia. Ale nie mogę wrzucić go za ciebie do koszyka. Jak słusznie przed chwilą zauważyłeś, dysponujesz wolną wolą. - Nie spiesząc się, wyłowił spod pachy wypchaną biurową teczkę. Długo ważył ją w dłoniach. - Szkoda, naprawdę szkoda - podjął z żalem. - Bardzo udana powieść. Ale decyzja należy do ciebie. Rozumiesz, oczywiście, że skoro nie decydujesz się na współpracę, nie zamierzam się angażować w promocję twojej książki. To byłoby wbrew etyce biznesu. - Rozsupłał tasiemki teczki. - Z moją pomocą ta książka mogła stać się dla ciebie przepustką do pisarskiej nieśmiertelności. Wolisz popiół zamiast sławy. Jak sobie życzysz.

Zachrypnięty doradca nie odezwał się, by w porę powstrzymać Juliana. Choć zapewne tym razem jego interwencja na nic by się nie zdała. Zanim Lucyfer zdążył otworzyć teczkę z maszynopisem, Julian rzucił się, by ratować powieść. Sadził susy po falującym jeziorze ognia i miał przed oczami obraz Piotra kroczącego po wodzie na wezwanie Jezusa. Był świadomy, że popełnia świętokradztwo. Nie próbował wmawiać sobie, że pcha go do tego jakaś zewnętrzna siła. Był tylko on ze swoimi pragnieniami. Czy, jak kto woli, ambicjami, których spełnienie nie zależało tym razem od czyjzegoś kaprysu, lecz wyłącznie od niego.

I właśnie myśl, że nareszcie jest panem siebie, przemknęła Julianowi przez głowę, kiedy szczęśliwie chwycił maszynopis i triumfalnie przycisnął go do piersi.

Zaraz potem przekonał się, jak niewiele od niego zależy. Płomienie pełzały mu już po nogawkach. Zdjął go paniczny lęk. Zdążył jeszcze krzyknąć: „Ratuj, panie!”, po czym zaczął się zapadać w jezioro ognia. Lucyfer nad podziw żwawo schylił się i mruknąwszy: „Historia lubi się powtarzać”, chwycił go za rękę i przyciągnął do siebie.

- I po co ten strach?! - krzyknął karcąco. - Mówiłem przecież, że przy mnie nic ci nie grozi. Ech, niedowiarki!

Jeszcze chwila i Julian stanął w kołyszącej się łodzi. Był bezpieczny, maszynopis

także.

Mimo to Lucyfer nie przestawał ciągnąć go za rękę.

- Co za zwyczaj! - syczał mu alarmująco do ucha. - Spać w takim miejscu? Pan... pan mnie kompromituje!

Rotas z trudem rozchylił powieki. Zobaczył tuż nad sobą wielki nos Kurcawicza i jego nasrożone brwi.

- A może wcześniej golnęło się wódeczki? - syczał szef. - Wstyd, słowo daję. Wstyd!

Na hasło „wódeczka” do Juliana przysunął się siedzący po jego prawej ręce Borozow. Poklepał życzliwie dziennikarza. W spojrzeniu Rosjanina można było wyczytać, że Rotas właśnie awansował do grona autentycznych twórców literatury.

- Wodka łuczsze ženszcziny - orzekł Borozow z namaszczeniem i dodał łamaną polszczyznę: - Kaca, panimajesz, wyleczyć łatwo. No liubow kak chwyci, to nie popuści.

Od Borozowa cuchnęło wódką, ale Julian gotów był go teraz wyściskać. Zatem wszystko tylko mu się przyśniło! Ulga, niewysłowiona ulga! A ten Borozow całkiem mądrze gada. Wiadomo, rosyjska dusza, taki zna życie od podszewki. Po spektaklu trzeba go zaprosić na wódkę.

Poprawił się na fotelu. Wtedy to właśnie poczuł coś pod stopami. Spojrzał w dół, ale przy zgaszonym świetle niewiele dało się zobaczyć. Dyskretnie wyłowił spod nóg spory pakunek. Poczul znajome pieczenie pod łopatką. Miał w ręku pękata biurową teczkę z maszynopisem swojej powieści, mocno wygrzaną, jakby od długiego leżenia na słońcu.

## Rozdział 21

### Wiatr posłusznie zmienia kierunek

Julian zjawił się nie zapowiedziany w pałacyku przy Foksal tuż przed jedenastą. Kiedy tylko uchylił drzwi gabinetu Stockenhausena, Monsieur zwrócił się w jego stronę na fotelu i łapą zachęcił do wejścia.

- Prosimy - zamruczał życzliwie, przerywając na chwilę zucie gumy. - Właśnie kończę tekst umowy. Potrwa to dosłownie minutkę.

Pochylił się nad stolikiem, na którym rozstawił laptop podłączony do drukarki. Wysunął koniuszek języka i wrócił do stukania na klawiaturze, kiwając łbem do taktu.

- Nie wierz mu. Ma wszystko gotowe od wczoraj. - Stockenhausen wstał zza biurka i wyszedł Julianowi naprzeciw. - Monsieur uwielbia sprawiać wrażenie bardzo zapracowanego.

Szef TeNeT-u po raz pierwszy zrezygnował z garnituru i krawata. Miał na sobie elegancką szarą koszulkę polo i ciemnobeżowe sztruksy.

- Wybacz mi ten swobodny strój - powiedział, witając Juliana uściskiem ręki. - Uznałem, że skoro część oficjalną mamy już za sobą, możemy być wobec siebie mniej formalni. W końcu mamy stanowić zespół.

- Gotowe - oznajmił Monsieur, błyskając kłami w uśmiechu. Kliknął myszką i drukarka zaszemrała cicho.

- Mam niezłą portugalską brandy - zachęcił Stockenhausen, sadowiąc Rotasa w klubowym fotelu. Sam zajął fotel naprzeciwko.

Monsieur, nie czekając na odpowiedź gościa, ruszył ochoczo do barku. Po chwili wrócił z wydrukowanym tekstem umowy, w drugiej łapie niósł zaś tacę z alkoholem i kieliszkami. Położył kartkę przed Julianem, po czym chwycił butelkę opatrzoną etykietą *Macieira* i z wprawą barmana napełnił trzy kieliszki.

- Tylko z umiarem, Monsieur - przestrzegł go Stockenhausen. - Nie zapominaj, że czeka cię dziś sporo pracy.

Monsieur z obrażoną miną powrócił przed laptop. Jednym haustem opróżnił kieliszek. Wziął najnowszy numer „Scientific American” i zaczął go demonstracyjnie przeglądać.

Stockenhausen upił brandy. Nie odrywał spojrzenia od Juliana, który po raz drugi z rzędu czytał czterozdaniowy tekst.

- Jak widzisz, umowa jest sformułowana prosto i klarownie, bez żadnych dwuznaczności - powiedział z naciskiem na ostatnie słowo. - Nie ma tu niczego małym drukiem.

- Diabeł tkwi w szczegółach - wtrącił zgryźliwie Monsieur, patrząc z dezaprobatą na zajętego czytaniem Rotasa.

- Niepotrzebnie, Julianie, we wszystkim wietrzysz podstęp - podjął cierpliwie Stockenhausen. - Zresztą nie zapominaj, że decyzję już podjąłeś. Dzisiaj przypieczętujesz ją tylko podpisem.

- Cyrograf to cyrograf. - Dziennikarz nie odrywał oczu od dokumentu.

- Cyrograf? Zwykła umowa handlowa. Pamiętaj, że więcej zyskujesz, niż dajesz.

- Tracę duszę.

Stockenhausen zachnął się.

- Staromodne podejście! A już myślałem, że ten etap mamy za sobą. - Odchylił się w fotelu i przymknął oczy. - Monsieur, przeczytaj nam tekst umowy.

Monsieur chrząknął i odczytał z ekranu laptopa:

Henryk Stockenhausen, zwany dalej Zleceniobiorcą, i Julian Rotas, zwany dalej Zleceniodawcą, potwierdzają własnoręcznymi podpisami nawiązanie współpracy opartej na zasadzie równorzędnego partnerstwa. W ramach niniejszej umowy Zleceniobiorca zobowiązuje się do zapewnienia Zleceniodawcy sukcesu w podejmowanych zamierzeniach oraz udziela dożywotniej gwarancji nietykalności cielesnej dla Niego i najbliższej Mu osoby. Zleceniodawca zachowuje za życia wszystkie prawa majątkowe oraz prawa z tytułu własności intelektualnej. Po śmierci Zleceniodawcy prawa majątkowe przechodzą na rzecz wyznaczonych przez Niego spadkobierców, natomiast wszelkie prawa z tytułu własności intelektualnej stają się własnością Zleceniobiorcy.

Monsieur skończył czytać i zamknął laptop.

- Prosto i bez niepotrzebnych zawijasów, jak powiedział mistrz Maccardi, zakładając stryczek skazańcowi - spuentował. Stłumił ziewnięcie i bez pytania nalał sobie drugi kieliszek brandy.

- No i co, Julianie? Widzisz tu jakąkolwiek wzmiankę o duszy? - zapytał retorycznie Stockenhausen. - Zostawmy gusła na boku. Rozmawiamy o interesach.

- Dość dziwna to umowa jak na biznesmena. Ani słowa o tym, co miałbyś zyskać.

- W sensie finansowym? To kwestia do ustalenia. Pieniądze nie są najważniejsze. Założmy, że jednorazowy nakład przy cenie trzydzieści złotych za egzemplarz to trzydzieści tysięcy. Po odliczeniu marży hurtowej piętnaście procent idzie do twojej kieszeni, a ja z

twoich wpływów biorę, powiedzmy, również piętnaście procent. To by dawało sumę rzędu... - Wyjął kalkulator.

- Piętnaście tysięcy - oznajmił Monsieur bez zająknięcia. Po raz trzeci nappełnił swój kieliszek.

Stockenhausen machnął ręką z rezygnacją i schował kalkulator.

- Jak się domyślasz, to Monsieur zajmuje się całą tą buchalterią. My nie musimy zaprzętać sobie głowy takimi rzeczami. Nie spróbowałeś jeszcze brandy? - Podniósł uroczyście kieliszek. - Twoje zdrowie, wspólniku.

- Po co te łamańce językowe przy zapisie o prawach?

- Masz na myśli prawa z tytułu własności intelektualnej? - Stockenhausen westchnął. - Niestety, Julianie, w sensie fizycznym jesteś śmiertelny. Nie chciałbyś zapewne, by po twojej śmierci jakiś kiepski wydawca zarządzał twoimi prawami autorskimi. Najlepiej będzie, jeśli ich dysponentem uczynisz mnie. Będę cię reprezentował, że się tak wyrażę, dożywotnio.

- Określenie „wiecznie” lepiej by oddawało charakter tej usługi - wtrącił Monsieur i opróżnił kieliszek. - Chociaż jurysta użyłby raczej terminu „użytkowanie wieczyste”.

Stockenhausen syknął niecierpliwie.

- Zamiast się wymądrzać, wszedłbyś lepiej na internetową stronę o pogodzie. Pora się upewnić, czy ciepłe masy powietrza znad Afryki zaczęły się już przemieszczać w kierunku środkowego Atlantyku.

Monsieur z obrażoną miną otworzył laptop.

- Niektórzy potrafią działać kreatywnie - burknął, inicjując myszką połączenie z Internetem. - Według stanu sprzed dziesięciu minut ciepłe wiatry znad Afryki za mniej więcej sześć godzin spotkają się na wysokości południowej Florydy z zimnym prądem arktycznym. Wystąpią silne turbulencje, których obszary będą się przemieszczać.

- Ano właśnie. - Stockenhausen podał Julianowi wieczne pióro. - Wystarczy, by wiatr odrobinę zmienił kierunek, a wszystko może się zdarzyć. W tak niestabilnym świecie jedyną szansą przetrwania jest oparcie się na silniejszym. Podpisz.

Rotasowi lekko drżała ręka, kiedy składał podpis w prawym dolnym rogu dokumentu. Stockenhausen podpisał się zamaszyście i schował kartkę do najniższej szuflady biurka. Ponownie wznosił kieliszek.

- Za naszą współpracę. - Odczekawszy, aż Julian spełni toast, dodał: - Czasem jedna obluzowana śrubka może doprowadzić do katastrofy. Zwłaszcza przy niesprzyjającym wietrze. W sprawnie działającym zespole nic podobnego nie może się zdarzyć.



## Rozdział 22

### Kawa i sumienie

Kazimierz Wilniak nie zaprzętał sobie głowy obluzowanymi śrubkami, kiedy z biletem do Warszawy zmierzał ku stanowisku LOT-u na nowojorskim lotnisku Kennedy'ego. W torbie, która stanowiła jego bagaż podręczny, wiozł egzemplarz umowy na serię artykułów dla „New York Times Review of Books”. W szkicach o literackich noblistach ze środkowej i wschodniej Europy nestor polskiej literatury szczególną uwagę zamierzał poświęcić Starnickiemu. Wyjawienie kilku skandalizujących faktów z pierwszych powojennych lat pisarza powinno wystarczyć, by na zawsze zniszczyć mit zdobywcy ostatniego Sztiglera. Niewielka to zemsta za Nobla, którego Starnicki sprzątnął mu sprzed nosa. Wybór „New York Times Review of Books” gwarantował, że artykuły zostaną szybko wydrukowane, a cała sprawa zyska rozgłos w międzynarodowym środowisku literackim. Czas w przypadku Wilniaka był czynnikiem niebagatelnym. Choroba postępowała szybko. W najlepszym razie miał przed sobą osiem miesięcy życia. Z tego będzie w stanie pracować względnie normalnie nie dłużej zapewne niż przez najbliższe trzy miesiące. Spędzi ten czas pożytecznie. Zostawi po sobie wspomnienie pośmiertne, które na długo zapadnie wszystkim w pamięć.

Podczas gdy Wilniak, dla którego określenie „wieczność” nabrało zupełnie nowego wymiaru, wyklócał się z pracownicą LOT-u o miejsce w klasie business, Helena Saafjan dopiero wsiadała do taksówki, która miała zawieźć ją na lotnisko. Do startu LOT-owskiego boeinga 767 pozostały niespełna dwie godziny. Kierowca wprawnie przebił się przez korek na górnym Manhattanie i piętnaście minut później wjechał do tunelu pod mostem Brooklyńskim.

Zdążyli wydostać się z tunelu, kiedy tuż przed maską samochodu wyrósł duży czarny pies. Kierowca instynktownie skręcił w prawo. Jadąca sąsiednim pasem furgonetka meblowa uderzyła ich w bok. Siła uderzenia rzuciła taksówkę w lewo, wprost pod pędzący na sygnale radiowóz. Funkcjonariusz Murdoch błyskawicznie szarpnął kierownicą i oba samochody zderzyły się bokami. Zatrzymały się piętnaście jardów dalej, na metalowej konstrukcji tablicy reklamującej sezon koncertowy w Carnegie Hall. Sanitariusze, którzy zjawili się po pięciu minutach, nie mogli się nadziwić, że w tym małym karambolu nikt nie odniósł poważnych obrażeń. Skończyło się na otarciach naskórka i niegroźnych ranach głowy. Helena wyszła z wypadku bez jednego draśnięcia.

Czarny pies? Poza taksówkarzem i Heleną nikt zwierzęcia nie widział. Mimo zdenerwowania taksówkarz potrafił dokładnie opisać wygląd psa: masywnej budowy, spiczaste uszy, morda jak u mastiffa. Obroża? Nie, na pewno nie miał.

- Bezpański - orzekł kierowca furgonetki meblowej, szacując w myślach koszt naprawy wozu. Półtora tysiąca jak w błoto! Diabli nadali! - Nie powinno się w ogóle pozwalać na trzymanie psów w mieście. Szczają, gdzie popadnie, i obsrywają chodniki.

Funkcjonariusz Murdoch, którego małżonka od dwudziestu lat zajmowała się hodowlą pekińczyków, zapragnął nagle obejrzeć prawo jazdy kierowcy furgonetki. Postanowił też sprawdzić, czy pozwolenie na świadczenie usług transportowych jest nadal ważne. Helena nie czekała, co będzie dalej. Do startu samolotu pozostało zaledwie pół godziny. Zadzwoiła z telefonu komórkowego po drugą taksówkę. Kiedy hinduski kierowca dowiózł ją wreszcie na lotnisko, boeing w barwach LOT-u od pięciu minut znajdował się w powietrzu.

Pracownica biura Polskich Linii Lotniczych była uprzejma i skora do pomocy.

- Za kilkadziesiąt minut do Warszawy odlatuje samolot British Airways. Może mają wolne miejsca.

Równo godzinę później Helena siedziała w wygodnym fotelu airbusa British Airways. Maszyna oderwała się od ziemi, nabrała wysokości i po łagodnym zwrocie w lewo skierowała się nad Atlantyk.

\* \* \*

Po wyjściu od Stockenhausena Julian blisko trzy godziny spędził na zakupach. Chciał mieć pewność, że niczego nie zaniedbał. Zajęty przygotowaniem do wizyty Heleny mógł choć na krótko zapomnieć o wydarzeniach wczorajszego wieczoru i ich nieuchronnych następstwach. Dochodziła piętnasta, kiedy z dwiema torbami wiktuałów i bukietem kwiatów wrócił taksówką do mieszkania w apartamentowcu na Elektoralnej. Wprowadził się zaledwie przed tygodniem i wciąż nie mógł się przyzwyczaić do dużych, prawie pustych pokoi. Tylko w gabinecie czuł się bardziej swojsko. Ustawił w nim stół, sekretarzyk i mahoniową biblioteczkę. Tutaj miał swój azyl. Znajome meble i grzbiety książek stwarzały klimat dawnego domu. Przypominały o wczesnych latach dzieciństwa, kiedy jego świat był jeszcze uporządkowany i rządził się prostymi prawami.

Zjadł kanapki z McDonalda i pozmywał naczynia zagracoane od wczoraj zlewozmywak. Dochodziła czwarta po południu. Dla zabicia czasu zabrał się do odkurzania salonu, potem posprzątał w sypialni i gabinecie. Samolot Heleny przylatywał o dwudziestej. Wziął kąpiel i zmienił ręczniki. Czekaając, aż zaparzy się kawa, zadzwonił po taksówkę. Kwadrans później był gotowy do wyjścia. W ostatniej chwili rozmyślił się i zostawił kwiaty

w wazonie. Kiedy zjechał windą na dół, zegar w holu wskazywał trzy po siódmej.

Taksówka stała już na podjeździe prowadzącym do głównego wejścia.

- Okęćie? - Kierowca spojrział w lusterko i spytał retorycznie: - Po gości?

Nie czekając na odpowiedź, uruchomił silnik i pogwizdując do wtóru radiowej melodii, poprowadził wprawnie samochód przez osiedlową uliczkę do alei Solidarności. Ku zadowoleniu Juliana, nie należał do taksówkarzy, którzy zadreczają pasażera rozmową. Przez całą drogę nucił presleyowskie melodie. Odezwał się ponownie dopiero wtedy, kiedy zbliżali się do terminalu:

- Swoją drogą podziwiam ludzi, co nie boją się latać. Ja leciałem tylko raz, liniami krajowymi, do Gdańska. Miałem pietra, nie powiem. Ale po tej dzisiejszej katastrofie na pewno więcej nie dam się namówić.

Zatrzymali się tuż obok wejścia do hali przylotów.

- Jakiej katastrofie? - spytał Julian. Żyła na lewej skroni zaczęła mu pulsować, jakby miała pęknąć.

- Należy się dwadzieścia dziewięć złotych. Nic pan nie słyszał? Trąbili o tym w każdym wiadomościach. LOT-owski boeing, wracał z Nowego Jorku. Półtorej godziny po starcie spadł do Atlantyku. Dwieście pięćdziesiąt osiem osób! Cholera! Nie, ja już się na coś takiego nie piszę. Choćby mi dopłacali. Jak pierdyknę w coś gablotą, to teoretycznie mam jakąś szansę. Ale w powietrzu?

Julian zostawił na siedzeniu dwa banknoty dwudziestozłotowe i wyskoczył z taksówki. Biegając do tablicy informacyjnej, miał jeszcze nadzieję, że wiadomość nie dotyczy rejsu Heleny. Kordon policjantów odgradzał narożną część hali, w której przy zaimprovizowanym stanowisku informacyjnym kłębił się rozhisteryzowany tłum.

Na głównej tablicy informacyjnej, przy pozycji „Lot numer 037 z Nowego Jorku”, pulsował napis „Lot przerwany”. Oparł się plecami o obudowę ruchomych schodów. Nogi mu się trzęsły, ale w głowie miał niezwykłą jasność. Myśli były klarowne i układały się w logiczną całość. Nie potrafił się od nich uwolnić. Zupełnie jakby ktoś stał z boku i szeptał mu prosto do ucha.

A więc to tak. Szybko i celnie. W najczulsze miejsce. Nie mógł albo nie chciał ukarać go bezpośrednio, wybrał okrężną drogę. Boska sprawiedliwość. Grzech nie pozostaje bez kary. Prosty rachunek. A czego się spodziewał? Że można z nim wygrać? Kiedy Bóg chce, zawsze potrafi przypomnieć o swoim istnieniu. Nie lubi przyznawać się do porażki.

Na dźwięk telefonu komórkowego wyjął mechanicznym ruchem aparat. Jeszcze zanim wcisnęła przycisk, poczuł znajome pieczenie pod lewą łopatką. Na wyświetlaczu zobaczył

numer Stockenhausena.

- Nie zastałem cię w domu - powiedział szef TeNeT-u. - Domyśliłem się, że pojechałeś na lotnisko.

Chyba mu się nie zdawało? W głosie Stockenhausena wyczuwał zadowolenie. Ogarnęła go wściekłość.

- Masz jeszcze czelność dzwonić?! Po tym, co się stało?!

- Mówisz o tym wypadku? Dzwonię właśnie po to, żeby cię uprzedzić. Helena spóźniła się na feralny rejs. Przyleci za godzinę maszyną British Airways.

- Skąd to wiesz? - Dopiero kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę ze śmieszności pytania.

- Domyśl się! No dobrze... Spóźniła się nieprzypadkowo. Wysłałem Monsieur, żeby w Nowym Jorku wszystko odpowiednio zaaranżował. Nic się nie bój, nawet włos z głowy jej nie spadł. Znam warunki umowy. Gwarancja nietykalności cielesnej, pamiętasz?

- Czyli wiedziałeś, że dojdzie do wypadku. Dlaczego nic nie zrobiłeś? Można było kogoś ostrzec, w porę powiadomić...

- Ostrzec? - Stockenhausen powiedział coś ściszym głosem. Rotas usłyszał chrapliwy śmiech Monsieur. - Nic nie rozumiesz, Julianie. Pewne sprawy zaszły zbyt daleko. Wilniak niedługo miał opublikować wspomnienia. Stek bzdur, ale wśród nich kilka faktów, którymi bardzo zaszkodziłby sławie Starnickiego. A tym samym tobie. Zrozumiałe jest, że nie mogłem do tego dopuścić. Zwłaszcza na dwa tygodnie przed premierą twojej książki.

- Co Wilniak ma z tym wspólnego?

- Leciał tym samolotem.

Wszystkie elementy momentalnie ułożyły się w logiczną całość. Julian stał z aparatem przy uchu, z trudem zbierając myśli. Stockenhausena zaniepokoiło przedłużające się milczenie.

- Jesteś tam jeszcze?

- To ty spowodowałaś ten wypadek?

- Takie rzeczy się zdarzają. Przy obecnej liczbie rejsów przynajmniej raz na tydzień powinno dochodzić do podobnej katastrofy. Są sytuacje, w których nawet najlepszy pilot nie jest w stanie opanować maszyny. Swoją drogą to był z mojej strony prawdziwy majstersztyk. Jedna obluzowana śrubka w zespole napędowym doprowadziła do pożaru lewego silnika. Pilot wyłączył go i kontynuował lot na prawym. Ale niespodziewanie wpadli w obszar bardzo silnych turbulencji. Nazwijmy to fatalnym zbiegiem okoliczności. Monsieur bezbłędnie wyliczył moment, w którym ciepłe wiatry znad Afryki zjeżdżą się z prądem arktycznym. Tak

zaczęło nimi rzucać, że pilot nie zdołał wyprowadzić maszyny na jednym silniku.

- To istny obłąd! Żeby pozbyć się Wilniaka, uśmierciłeś ponad dwieście pięćdziesiąt osób?

- Nie dlatego, że tak mi się podobało. Zwykła kalkulacja. W biznesie nazywa się to rachunkiem zysków i strat.

- Niedorzeczność!

- Zastanawiałeś się może, co się stało z Konarem? Przypomnij sobie, co wykrzykiwałeś w trakcie tej awantury w Nowym Jorku.

- Byłem wtedy wściekły.

- Życzyłeś mu jak najgorzej. A ja w myśl naszej umowy staram się spełniać twoje życzenia. Oczywiście pod warunkiem, że jest to z korzyścią dla naszych interesów.

- Zaraz, nie będziesz mi chyba wmawiał, że przyczyniłem się do śmierci tych ludzi?! To od początku do końca twój pomysł.

- Wyjaśnijmy sobie jedno: jesteśmy współnikami. Co to oznacza? Działamy dla obopólnej korzyści, a jednocześnie dzielimy odpowiedzialność. Masz w tym wszystkim taki sam udział jak ja. To cię przeraża? Przecież to ja wykonuję całą brudną robotę.

- Muszę odpocząć. Potwornie boli mnie głowa.

- E, to tylko sumienie. Zaraz ci przejdzie. Coś ci poradzę. Samolot Heleny wyląduje za mniej więcej godzinę. Znajdź sobie jakiś spokojny kącik i napij się mocnej kawy. Czasem to pomaga.

## Rozdział 23

### Mikroprocesor a dusza

Na lotnisku nic jeszcze nie zapowiadało kłopotów. Po odprawie paszportowej Helena wyszła do Juliana blada, ale uśmiechnięta. Wiedziała już o katastrofie boeinga. Mimo to wydawała się spokojna. Ten spokój w połączeniu z małomównością powinien być dla Rotasa ostrzeżeniem. Nie zdołał w porę odczytać sygnałów nadciągającego zagrożenia. Jechali taksówką na Elektorálną, kiedy nagle chwycił ją atak duszności. Krztusiła się jak przy napadzie astmy i nie była w stanie nic powiedzieć. Kazał taksówkarzowi jechać prosto na pogotowie na Hořej.

- Fizycznie nic małżonce nie dolega - orzekł lekarz dyżurny. - Dzisiejszy atak to najpewniej wynik urazu psychicznego. Osoby ocalałe z wypadków podświadomie tworzą wszelkie możliwe scenariusze wydarzeń. W ten sposób przeżywają wszystko tak, jakby w nich uczestniczyły. Taka trauma psychiczna może powodować różnorodne dolegliwości natury fizycznej. Jak pan widzi, po otrzymaniu relanium małżonka oddycha normalnie. Powinna spokojnie przespać noc.

Julian zupełnie inaczej wyobrażał sobie ten wieczór. Helena nie uszczknęła nawet kęsa z odświeżonej kolacji, którą przygotował na jej przyjęcie. Po przyjeździe wzięła lekki prysznic i zaraz potem półprzytomna położyła się do łóżka. Zgasił światło w sypialni, zostawił tylko małą lampkę na nocnym stoliku. Kiedy wrócił z kuchni ze szklanką przegotowanej wody i tabletką relanium, spała w najlepsze. Przeszedł do gabinetu. Z piramidy książek na podłodze wybrał ulubiony *Klub Pickwicka*. Wrócił z książką do sypialni, usiadł na fotelu przy lampce i próbował zająć myśli czytaniem. Nie mógł się skupić. Co chwila wstawał i dochodził do łóżka Heleny. Powracał we wspomnieniach do nocy, kiedy za sprawą czarcich sztuczek Stockenhausena odbył wędrówkę w czasie i przestrzeni w pogoni za Heleną. Szkarłatna, piekąca czwórka pod łopatką była jak wszczepiony pod skórę mikroprocesor, za pomocą którego Lucyfer sterował jego krokami. Dusza na postronku diabła? Powtórzył to zdanie jeszcze raz, próbując zmusić się do uśmiechu.

Mikroprocesor a dusza... Swoją drogą, to ciekawe zestawienie. Dobry punkt wyjścia do większego opowiadania. Trzeba na gorąco zanotować. Takie szczegóły szybko ulatują z pamięci.

Przeszedł cicho do gabinetu i zapisał myśl na czystej fiszce. Z kieliszkiem brandy zasiadł na powrót w fotelu w sypialni. Helena spała twardo, z ręką podłożoną pod głowę. Oddychała miarowo. Małymi łyżkami opróżnił kieliszek. Alkohol rozlał się po ciele falą przyjemnego ciepła. Nawet pieczenie pod lewą łopatką stało się mniej dokuczliwe. Julian odstawił kieliszek na stolik i na moment przymknął oczy. Lucyfer nie miał racji. Brandy jest skuteczniejsza niż kawa.

Równy oddech Heleny działał uspokajająco, alkohol przyjemnie rozleniwiał. Ani się spostrzegł, jak zasnął. Kiedy się obudził, przez grube zasłony prześwitywało słońce. Elektroniczny budzik pokazywał kwadrans po siódmej. Łóżko było puste. Momentalnie oprzytomniał. Zerwał się z fotela i pobiegł do łazienki. Heleny tam nie zastał. Była w kuchni. Zdążyła się ubrać, uczesać i szykowała sobie właśnie herbatę. Oczy miała lekko zaczerwienione i nie sprawiała wrażenia wypoczętej.

- Mam nadzieję, że to nie ja cię obudziłam. - Nie wiedzieć czemu unikała jego spojrzenia. - Głowa mi pęka. Musiałam wstać, żeby coś łyknąć. - Wyjęła z torebki opakowanie ibupromu, połknęła dwie tabletki i popiła herbatą.

- Nie powinnaś na czczo...

- Tak myślisz? - Zaśmiała się sztucznie.

Usiadła przy kuchennym stole i wypiła bez apetytu kilka łyków herbaty. Poglądził ją po ręce. Nie cofnęła jej, ale widać było, że myślami jest gdzie indziej.

- Jechałam na lotnisko taksówką - zaczęła ze spuszczoną głową. - Na autostradzie wyskoczył nam pies, prosto pod koła. Duże, czarne psisko, dobrze widziałam. Kierowca próbował go wyminąć. Zderzyliśmy się z innym samochodem, doszło do małego karambolu. Dlatego spóźniłam się na samolot. Gdyby nie ten wypadek, już bym nie żyła. A pies przepadł bez śladu. Jakby go tam w ogóle nie było. - Spojrzała na niego z napięciem. - Wiesz, co mam na myśli?

- Miałaś szczęście w nieszczęściu.

- Nie. To był znak.

- Znak? - powtórzył podejrzliwie.

- Znak od Boga. To On mnie ocalił. Dał mi jeszcze jedną szansę.

Julian wzdrygnął się. Przez moment zdawało mu się, że widzi Monsieur, jak rozsiadł się na kuchennej szafce i zaśmiewa się do rozpuku.

- Może to zwykły przypadek - zaczął ostrożnie. - Takie rzeczy się zdarzają. Częściej nawet, niż zwykło się sądzić.

- Nic nie rozumiesz! Ja to wiem! Takie coś człowiek po prostu czuje!

- Oczywiście. Chociaż to sprawa interpretacji...  
- Myślisz, że sobie to wszystko ubzdurałam, tak?  
- Przeżyłaś ogromny wstrząs. W takich chwilach do głowy przychodzą najróżniejsze myśli.

Przyjrzała mu się z uwagą.

- Czy to znaczy, że odrzucasz istnienie sił nadprzyrodzonych?  
- Skądże! - zapewnił pospiesznie. - Jestem przekonany, że istnieją.

Cień Monsieur na tle białej ściany wyprężył leniwie grzbiet i złożył łapy jak do oklasków.

- Kiedy się tak teraz nad tym zastanawiam, to sama się sobie dziwię. Mój stosunek do religii, do Boga, był co najwyżej letni. Wiesz, na zasadzie „Pewnie coś tam istnieje, ale lepiej się w to za bardzo nie zagłębiać rozumem, bo zaraz widać intelektualne mielizny”. Ale kiedy człowiekowi przytrafia się coś takiego, to w jednej chwili wszystko staje się oczywiste. Nie trzeba już dowodów, naukowych dociekań. Nagle zaczynasz wszystko rozumieć. Tak jakby sam Bóg cię dotknął. Czy to nie cudowne?

Znał ten egzaltowany ton. Tak samo mówiła babka, kiedy zobaczyła Chrystusa na suficie w łazience.

- Wiara to kwestia indywidualnego odbioru - odparł ostrożnie. Zaraz tego pożałował.

- Aha, Bóg na prywatny użytek? Wolno ci wierzyć, w co chcesz, ale lepiej się z tym nie afiszuj, bo to dla innych krępujące?

- Nie to miałem na myśli. Pewnych rzeczy nie da się narzucić. Każdy ma prawo rozumieć je na swój sposób.

Nie zamierzał Heleny do niczego przekonywać. Był pewny, że wybuch egzaltowanej religijności jest jedynie następstwem wstrząsu, którego doznała. Słomiany ogień sam zgaśnie, kiedy wypali się iskra, która go wywołała.

Dopiła herbatę i cmoknęła go w policzek.

- Pójdę już. Zadzwoń wieczorem.

Zanim zdążył się odezwać, przeszła do holu po walizki. Były spakowane.

- Co robisz? Miałaś zatrzymać się u mnie. Tak się przecież umawialiśmy.

- Nie mogę zostać.

- Coś się między nami zmieniło?

Nie czekając na odpowiedź, przytulił ją. Stała sztywno, ale po chwili przywarła do niego całym ciałem. Znowu była tą dawną Heleną, którą znał. Nie trwało to jednak długo. Kiedy spróbował ją pocałować, wyzwoiliła się energicznie z jego objęć. Popatrzyła dziwnie



obco, aż ciarki go przeszły, i powiedziała ze śmiertelną powagą:

- Nie mogę zostać. Nie powinniśmy przed ślubem mieszkać pod jednym dachem. Przecież to grzech.

\* \* \*

Helena zaczęła się oddawać religijnym praktykom z gorliwością neofitki. Dzień rozpoczynała od porannej mszy, a kończyła obowiązkowym uczestnictwem w wieczornym nabożeństwie. W ciągu dnia odmawiała nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej i serię litanii, o piętnastej Koronkę do Miłosierdzia Bożego, o siedemnastej różaniec. Z początku Julian nie miał o tym wszystkim pojęcia. Przez dwa dni wydzwaniał do Heleny, ale tylko raz ją zastał. Rozmawiała z nim krótko, wymawiając się nadmiarem obowiązków związanych z przygotowaniem nowojorskiej wystawy, w sprawie której przyjechała do Polski. Dopiero od księdza Zawitkowskiego dowiedział się, jak naprawdę wygląda sytuacja. Trzeciego dnia po przyjeździe Heleny duszpasterz środowisk twórczych sam zatelefonował do Juliana.

- Wiem, że łączy was coś więcej niż zwykła znajomość - rozpoczął ostrożnie. - Nie mogę łamać tajemnicy spowiedzi, ale muszę podzielić się z panem pewnymi obawami.

Z relacji księdza wynikało, że Helena dwie godziny po wyjściu od Juliana przyszła się wyspowiadać. Od tamtej pory Zawitkowski widywał ją w kościele kilka razy dziennie. Po mszy zarzucała go szczegółowymi pytaniami albo opowiadała o nowych doświadczeniach religijnych. Zdarzało się też, że telefonowała do niego o różnych porach tylko po to, by podzielić się radością, jaką sprawia jej odmawianie koronki czy nowenny.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - podsumował, ważąc słowa. - Nie chodzi mi o to, że ktoś po siedmiu latach postanawia się wyspowiadać. Wbrew pozorom takie rzeczy zdarzają się dosyć często. Nagły nawrót do religijności też nie jest niczym dziwnym w jej przypadku. Cała ta katastrofa i „cudowne ocalenie”, jak sama to nazywa, mogły podziałać w ten sposób. Niepokoi mnie co innego.

- Zauważył ksiądz coś jeszcze?

- Pani Helena jest święcie przekonana, że ocalenie zawdzięcza boskiej interwencji. Oczywiście, ze zrozumiałych względów nie będę jej od takiego myślenia odwoził. Choć taki przypadek graniczyłby z cudem. A wobec cudów, jak pan wie, Kościół zajmuje bardzo ostrożną postawę.

Julian wzdrygnął się. Miał wrażenie, że słyszy Stockenhausena wygłaszającego maksymę o niejasnym pochodzeniu cudów. Poczul się nieswojo.

- Próbowałem z nią na ten temat rozmawiać - zapewnił pospiesznie. - Mówiłem, że miała po prostu ogromne szczęście. Ale nie dawała sobie niczego wyperswadować. Uparcie

odrzucała moje argumenty. Może zresztą niepotrzebnie obstawałem przy swoim. Szybciej by o wszystkim zapomniała.

- Nie sądzę. Widzi pan, problem w tym, że religia stała się jej obsesją. Wierzy, że Bóg ją uratował, bo ma wobec niej jakieś zamiary. Czuje się teraz Jego dłużniczką. Boi się, czy sprosta zadaniu, jakie jej wyznaczył. A przede wszystkim, nie chce Go niczym zranić. I właściwie głównie w tej sprawie dzwonię.

- Nie rozumiem.

- Pani Helena jest teraz rozdarta między powinnością wobec Boga a uczuciem do pana. Ale gotowa jest poświęcić uczucie, jeśli kontynuowanie waszej znajomości miałyby oznaczać życie w grzechu. Czy panu naprawdę na niej zależy?

- Oczywiście.

- Nie ma z pańskiej strony żadnych przeszkód, żeby ten związek zalegalizować?

- Naturalnie, że nie...

- W takim razie proszę z tym nie zwlekać. W obecnym stanie nie powinien pan zostawiać pani Heleny samej sobie. Małżeństwo może pomóc jej w odzyskaniu równowagi.

Julian zastanawiał się w popłochu, co odpowiedzieć. Małżeństwo z Heleną? Jeszcze tydzień temu niczego bardziej by nie pragnął. Ale wiele się zmieniło. Ślubny kobierzec, *Ave Maria* przy akompaniamencie organów, święte formułki przy ołtarzu, tabernakulum splamione świętokradztwem. Nie, lepiej Boga do tego nie mieszać. Co innego odwracać się do Niego plecami, a co innego grać Mu na nosie.

- Helena przyjechała na dwa tygodnie - zaczął ostrożnie. - To zbyt krótko, żeby załatwić wszystkie formalności.

- Nauki przedślubne mogę wam darować. Spowiedź to kwestia jednego dnia. Na zgromadzenie niezbędnych dokumentów potrzeba najwyżej dwóch. Zdążymy.

- Nie mam świadka.

- Z tym akurat nie powinno być problemu. Pański przyjaciel wydał mi się odpowiednim kandydatem.

- Mój przyjaciel?

- Henryk Stockenhausen. Odwiedził mnie dziś rano. Niepokoi się o pana i Helenę. Sam powiedział, że chętnie będzie świadkiem na waszym ślubie.

## Rozdział 24

### Mąka i woda

W sobotę o trzynastej kościół Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskiem był prawie pusty. Kilkanaście stałych bywalczyń zajmowało środkowe ławki. Obracając w pomarszczonych palcach paciorki różańców, klepały zdrowaśki i wyciągały szyje w stronę dwóch wyściełanych czerwonym aksamitem foteli z młodą parą. Ślubni goście zmieścili się w pierwszej ławce po lewej stronie nawy głównej.

Julian i Helena zdecydowali, że uroczystość będzie miała kameralny charakter. Zaprosili tylko rodziców Heleny i kuzynkę, która grała rolę druhny. Jednak wieść o ślubie rozeszła się pocztą pantoflową. Kwadrans przed trzynastą zjawił się Gibała z Kurcawiczem. Wkrótce po nich wpadł zziębnięty Arnicz, szef wydawnictwa Domino, a tuż przed trzynastą do gości dołączył dyrektor Zachęty Henryk Droński.

Lucyfer wystąpił w białym garniturze, kremoworóżowej koszuli i białej muszce. Zwracał uwagę nie tylko strojem. Kiedy tak stał w promieniach popołudniowego słońca prześwitującego przez witraże, miało się wrażenie, że rozświetla go od środka niezwykle ogień. Jasne, lekko kręcone włosy przybrały miedziany odcień, bladoporóżowe policzki emanowały złocistą poświatą. Przypominał jednego z tych spowitych ogniem serafinów, których sześciokrzydłe postacie zdają się wyrwać ku światu z ram kościelnych malowideł.

W słowie do młodej pary ksiądz Zawitkowski położył akcent na znaczenie wyborów dokonywanych na całe życie. Chrzest, komunie święta, bierzmowanie i sakrament małżeństwa - cztery filary życia chrześcijanina, na których wspiera się wiara. Mówił długo, z poetycką swadą, łącząc w kazaniu respekt do Bożych nakazów z nieodwzajemnioną miłością do poezji. Julian siedział sztywno na fotelu. Na wprost siebie miał niewidocznego Boga, który krył się w tabernakulum i jak dzinn zamknięty w butelce, czekał na stosowną chwilę.

„Uspokój się. To tylko kwestia właściwego nastawienia psychicznego. Wyobraź sobie, że idziesz do urzędu, by wypełnić odpowiednie dokumenty - przekonywał go Stockenhausen, kiedy zjawił się rano z dwoma podrobionymi zaświadczeniami o odbyciu spowiedzi. - Przychodzisz, załatwiasz sprawę, podpisujesz i wychodzisz. Ślub w kościele to nie *rendez-vous* z Bogiem. To zwykła biurokracja”.

Ksiądz Zawitkowski nie dziwiło, że pan młody przed ołtarzem wygląda na

zdenerwowanego. Zrozumiałe, że stres i zmęczenie potrafią w takich momentach stworzyć piorunującą mieszankę, która zwala z nóg największych twardzieli. Julianowi trzęsły się ręce, kiedy zakładał narzeczonej obrączkę. Z wrażenia ochryplł i powtarzał sakramentalne formułki nieco bełkotliwie. Wzruszenie, mówił do siebie w myślach Zawitkowski, dokonując przeistoczenia opłatka w Ciało Chrystusa, a doszła jeszcze świadomość powagi chwili. Swoją drogą, to dobry znak. Widać zdaje sobie sprawę z ciężaru odpowiedzialności. A to w dzisiejszych czasach rzadka postawa.

Julian posłusznie wysunął język, żeby przyjąć komunię. Zacisnął powieki. Poczłł pieczenie. Zebrał ślinę i spróbował przełknąć komunikant. Ten przywarł do języka i palił jak ogień. Płomień szybko rozchodził się po gardle, wdzierał się już do przełyku. Z jednej strony palące znamię diabelskiej czwórki, z drugiej piętno świętokradczo przyjętej hostii. Zakrztusił się. Kątem oka dostrzegł Stockenhausena. Lucyfer klęknął, przyjął hostię i z rękami skrzyżowanymi na piersiach ruszył od ołtarza. Szedł rozpromieniony, jakby niosły go skrzydła. Julian zdobył się na jeszcze jeden wysiłek. Odkaszlnął, zebrał resztkę śliny i trąc językiem o górne zęby, uwolnił się wreszcie od hostii. Z ulgą ją przełknął.

Lucyfer właśnie go mijał.

- Więcej wiary, Julianie - szepnął. - Nie mówiłem ci, że to tylko mąka i woda?

\* \* \*

W sali balowej Zamku Ostrogskich, oświetlonej świecami tkwiącymi w kandelabrach, Helena śmiała się tego wieczoru i bawiła jak dawniej. Wszystko było dokładnie tak, jak to sobie wymyśliła jeszcze w dzieciństwie: dyskretne światło, za oknami nadciągająca noc, refleksy płomieni na ciemnych szybach, cienie snujące się po kątach. I tylko oni wirujący na pałacowych posadzkach.

Marzenie ziściło się dzięki pomocy Drońskiego i jego dobrym kontaktom w Ministerstwie Kultury. Usadowiona na parapecie, Helena wypła z Julianem weselnego szampana prosto z butelki. A potem, ubrana w krótką fałdzistą sukienkę i lekkie czółenka, tańczyła z nim chopinowskie polonezy przy dźwiękach fortepianowej muzyki odtwarzanej z płyty kompaktowej. Przez moment wyobraziła sobie, że są jak Batszeba i Dawid tańczący przed Arką.

Nastrój tej chwili trwał w sypialni Juliana. Nie wstydziła się własnej nagości. Bóg oczyścił ją przez sakrament pokuty i namaścił do małżeństwa. Cokolwiek teraz robiła, miała Jego błogosławieństwo. Była bez grzechu, jak królowa Saby w ramionach Salomona.

## Rozdział 25

### Dwa piętra nad ziemią

Obudziła ją suchość w gardle. Spojrzała na podświetloną tarczę budzika: kwadrans po trzeciej. Julian spał twardo, odwrócony plecami. Przez otwarte okno balkonowe wpadało światło księżyca. Usiadła, wypila duszkiem wodę ze szklanki i cicho wstała, żeby zaciągnąć zasłony.

I wówczas zobaczyła zarysy dwóch postaci stojących u wezglowia łóżka.

- Chyba nas nie widzi? - mruknął zaniepokojony Monsieur. Zdjął z uszu słuchawki walkmana i zrobił krok ku Helenie.

W świetle księżyca widziała go teraz wyraźnie.

- Nie widzi i nie słyszy - zapewnił Lucyfer. - Przebywamy w bezpiecznym wymiarze.

Helena z całej siły uszczypnęła się w udo. Zabolało. Czarny pies z walkmanem zastrzygł krótkimi uszami. Poruszył pyskiem, jakby usiłował coś powiedzieć.

- W ogóle mi się to nie podoba. - Monsieur zjeżył się cały. Wciągnął powietrze nosem.

Helena stała jak zahipnotyzowana. Czarny pies przypatrywał się jej natarczywie. Nie odrywając od niej spojrzenia, schylił się i położył walkmana na podłogę.

Kiedy tak garbił grzbiet, wyglądał wypisz-wymaluj jak wówczas, w Nowym Jorku, gdy przebiegał przed taksówką, która wiozła ją na lotnisko.

- Coś chyba jednak sknociliśmy! - ostrzegł stojącego za nim towarzysza. Wyprostował się.

Helena szybko spojrzała na budzik: osiemnaście po trzeciej.

A więc to nie sen.

- E! Panikujesz jak wtedy, w Paryżu! - skarcił psa tamten drugi. - Mógłbym stanąć metr przed nią i zatańczyć fokstrotą, a i tak by mnie nie zobaczyła.

Jakby dla potwierdzenia tych słów zrobił krok w jej kierunku. Tak niefortunnie, że potracił walkmana. Zaklął pod nosem. Julian mruknął przez sen i odwrócił się na łóżku w stronę Heleny. Jego twarz w świetle księżyca przybrała trupi odcień. Przez skórę cienką jak pergamin prześwitywała siatka grubych fioletowych żył. Pulsowały, wiły się i przemieszczały z miejsca na miejsce, podobne do olbrzymich robaków.

Zacisnęła powieki i odczekała długą chwilę. Kiedy znowu otworzyła oczy, stał przed nią Stockenhausen, zasłaniając sobą łóżko. Przez ramię zaglądało mu czarne psisko.

Stockenhausen wciąż miał na sobie ten sam biały garnitur i kremoworóżową koszulę, w których wystąpił na ślubie. Nic nie mówiąc, poprawił białą muchę i dalej się jej przyglądał.

- Nas tu nie ma - przemówił wolno i dobitnie. - Wszystko, co widzisz, to tylko sen.

Sen? Na dźwięk tego słowa hipnoza Stockenhausena przestała działać. Helena przypomniała sobie sen sprzed dwóch dni, o wizycie siostry Faustyny w piekle. Bezgłośnie, nie poruszając wargami, zaczęła się modlić słowami świętej:

- Pod Twoją obronę uciekamy się...

Stockenhausen zmieniał się na jej oczach. Tak jakby z modlitwą wypowiadała zaklęcie, które pozwalało widzieć więcej. Skóra zeszła mu z twarzy, odsłaniając czerwone, galaretowate mięso i sterczące kości policzkowe. Z głębi pustych oczodołów sączyły się dwa snopy zimnego niebieskiego światła. Na nagiej czaszce, w miejscu, gdzie kończyło się czoło, wyskoczyły dwa kikuty prostych czerwonych rogów, podobnych do ordynarnych neonówek zdobiących karuzele w wiejskich lunaparkach.

Stała jak wrośnięta w ziemię. Dwa laserowe snopy przewiercały ją na wylot. Czerwone rogi drgały jak żywe.

- Zasnęła - oznajmił Stockenhausen, zmieniając barwę głosu. - Trzeba ją przenieść na łóżko.

Helena zobaczyła, jak w jej stronę wyciągają się długie ręce. Odwróciła się, w trzech susach pokonała odległość dzielącą ją od okna, przemknęła między zasłonami i wypadła na balkon. Chwyciwszy się metalowej poręczy, pokonała balustradę i skoczyła.

- Brawo, Mistrzu! Musiałeś coś spieprzyć! - wrzasnął Monsieur i pierwszy znalazł się na balkonie.

- Cholera! - Lucyfer przechylił się przez balustradę. - Pewnie była w stanie łaski uświęcającej. Z nas trojga tylko ona nie przyjęła komunii świętokradczo. A niech leci! Od początku tylko mi zawadzała.

- A kontrakt? Jeżeli pozwolisz, żeby zginęła, złamiesz warunki umowy. Rotas może się nam wywinąć.

Lucyfer zaklął, jednym skokiem pokonał balustradę i poleciał w dół jak kamień.

Helena poczuła szarpnięcie. Przestała spadać.

- Niewiele brakowało - usłyszała tuż nad uchem. - Jeszcze dwa piętra i byłoby po niej.

Lucyfer otoczył ją ramieniem i razem wzbili się w górę. Kiedy wylądowali na balkonie, wahał się przez chwilę. W końcu przemógł wstręt i złożył na jej ustach pocałunek.

Helena poczuła zimne wargi Stockenhausena. Wszystko działo się tak szybko. Ogarnęła ją ciemność.

\* \* \*

Doktor Otmuchowski ze szpitala na Banacha nie ukrywał, że przypadek Heleny stanowi wyzwanie natury zawodowej. Mijała już druga doba pobytu chorej na oddziale intensywnej terapii, a on wciąż nie potrafił określić przyczyny śpiączki.

- Prawdziwa zagadka - przyznał niechętnie. Pogładził się odruchowo po wygolonej głowie. Stał z Julianem obok przeszklonych drzwi, za którymi rozpoczynał się oddział intensywnej terapii. - Badania nie wykazały żadnych przewlekłych stanów chorobowych. W każdym razie niczego, co by mogło wywołać śpiączkę. Nie stwierdziliśmy też zatrucia ani urazów czaszki. Dla pewności zrobimy jeszcze rezonans magnetyczny.

Julian wbił drżące dłonie w kieszenie przykrótkiego kitla.

- Co jeszcze można zrobić?

- Stan jest stabilny - odparł Otmuchowski wymijająco. - Żona jest podłączona do aparatury wspomagającej i kontrolnej. Bądźmy dobrej myśli. Możliwe, że u podstaw choroby leży silny wstrząs, o którym pan wspomniał. W takim razie objawy mogą cofnąć się równie nagle, jak się pojawiły. Medycyna zna podobne przypadki.

- Mogę do niej zajrzeć?

- Nie widzę przeciwwskazań. Gdyby chciał pan potem porozmawiać, będę w gabinecie.

Julian założył maseczkę, pchnął przeszklone drzwi, przeszedł korytarzem do trzeciego pokoju po lewej stronie i wszedł do środka.

Co teraz? - myślał, patrząc na cewnik i na przewody kroplówek, do których Helena była podłączona. Życie skapywało ku niej powoli, małymi kroplami, prosto do żył.

Albo powoli odpływało.

Stockenhausen czekał przed szpitalem w samochodzie.

- Akurat przejeżdżałem. Może cię podwieźć? - zawołał przez uchyloną szybę.

- Przejdę się.

- Bardzo mi przykro z powodu Heleny.

- To twoja wina. Miałeś ją chronić, pilnować. Nie upilnowałeś.

Stockenhausen zachnął się.

- Mylisz się, Julianie. To choroba duszy. Mogę chronić jej ciało, ale dusza, mówię to z żalem, nie do mnie należy. - Uruchomił silnik. Zanim odjechał, zawołał jeszcze: - Nie zapomnij, że za trzy dni premiera twojej książki. Trzy dni. Nie widzisz w tym jakiegoś

znaku? - Zaśmiał się krótko. - Zmartwychwstaniesz do nowego życia.



## Rozdział 26

### Marlowe płaci rachunek

Arcybiskup Canterbury, ubrany w ceremonialną szatę dla podkreślenia powagi chwili, powiedział z naciskiem, spoglądając na dwóch pozostałych członków Tajnej Rady:

- Zabijając ciało, ratujemy mu duszę. Dla grzesznika takiego jak Marlowe to niezgorszy interes.

Lord Essex złożył wypielęgnowane dłonie ozdobione ciężkimi pierścieniami.

- Prawdziwie chrześcijański to uczynek. A zarazem powinność, przed którą Tajna Rada nie może się cofać. Grzech jest jak zaraza. Trzeba go ogniem wypalić, nim się rozpełźnie niczym robactwo.

Sir Robert Cecil uśmiechnął się z przekąsem.

- Z nich dwóch większym grzesznikiem jest sir Walter Raleigh. Czemu jego nie chcecie ratować przed wiecznym potępieniem?

- Najpierw dobierzemy się do psa, potem do jego pana.

Arcybiskup Canterbury przekrzywił głowę i popatrzył wymownie na sir Cecila, zatrzymując dłużej spojrzenie na garbie szpecącym mu plecy. Grzech, mój drogi lordzie. W szpetnym ciele musi mieszkać równie szpetna dusza.

- Cóż, milordzie, czyżbyś nie był przekonany o winie Marlowe'a? - zapytał.

- O winie wypowie się sąd. Pamiętajmy, że Marlowe do niczego się przed nami nie przyznał.

- Mamy zeznania Thomasa Kyda - włączył się lord Essex.

- Wymuszone torturami.

- Takie ćwiczenia nadzwyczajnie odświeżają pamięć. Przyznał się, że to Marlowe dał mu do przepisania heretyckie koncepty. Tfu! Błuzniercze teksty z paskudnego dziełka *Upadek dawnych arian*, w którym podaje się w wątpliwość boskość Naszego Pana Jezusa Chrystusa.

- Ależ sir Cecil nie neguje winy Marlowe'a - zauważył z uśmiechem arcybiskup Whitgift. - Chce tylko dowodów. Prawda? Zeznania Richarda Bainesa dostarczają ich aż za wiele. - Rozłożył list i zaczął czytać: - Takoz też wielokroć twierdził, że nie masz prawdziwszej miłości nad miłość mężczyzny do mężczyzny, skoro sam Chrystus mężczyzn

sobie na apostołów upodobał. Nadto pokpiwał, że w cybuchu z tytoniem więcej jest świętości niż w Ciele Naszego Pana. A ci wszyscy, którzy nie kochają tytoniu i chłopców, to skończeni głupcy. Mówił też w obecności wielu, że sam stworzyłby Kościół znacznie doskonalszy, niż zrobił to niewykształcony syn zwykłego cieśli...

- Dość! - przerwał mu lord Essex. - Wybaczcie, wasza świętobliwość, ale zólc się w człowieku burzy, jak słucha takich herezji.

- Uszy sędziego niejedno muszą znieść, przyjacielu. - Arcybiskup Whitgift złożył starannie list. - Każę sporządzić kilka kopii, żeby przed rozprawą każdy mógł się w cichości zapoznać z tekstem.

- Kiedy rozprawa? - zapytał sir Robert Cecil.

- Do końca maja powinniśmy zdążyć ze sporządzeniem aktu oskarżenia. Zatem... pierwszego czerwca.

Cecil i Essex potraktowali te słowa jako zapowiedź końca spotkania. Ruszyli do wyjścia. Cecilowi pilno było do rodzinnego majątku, Essex spieszył się do kochanki.

- Lordzie Essex, proszę jeszcze zostać. - Arcybiskup Canterbury odczekał, aż za Robertem Cecilem zamkną się drzwi, po czym oznajmił cicho: - Nie będzie żadnego sądu.

Essex zmierzył go zdziwionym spojrzeniem.

- Puścić mu to płazem?

- Trzeba załatwić całą rzecz bez sądu. Marlowe zbyt dużo wie o tajemnych sprawach Rady. Co będzie, jeśli na rozprawie zacznie mówić? Sobie nie pomoże, ale nam może zaszkodzić. Na rozprawie będzie wysłannik królowej.

- Zatem?

- Marlowe musi zniknąć. - Whitgift usiadł ciężko na wysokim krześle. - Niech wyjedzie do Francji.

Essex poczerwieniał ze wzburzenia. Przekłety Raleigh wkradł się w łaski królowej i na razie pozostawał poza jego zasięgiem. Żeby zniszczyć Raleigha, musiał najpierw uderzyć w jego pupilka, Marlowe'a.

- Mamy dać mu uciec?

- Ucieknie, ale do Francji nigdy nie dotrze. Podczas rejsu wiele może się zdarzyć. Znasz kogoś zaufanego?

Essex uśmiechnął się.

- Robert Poley się nada. Znają się od dawna. Marlowe nie będzie niczego podejrzewał.

- Doskonale. Teraz trzeba dopilnować, żeby wiadomość o zagrożeniu sądem jak najszybciej dotarła do Marlowe'a.

- To nie będzie trudne. Marlowe zaszył się w Scadbury, w majątku swojego przyjaciela Thomasa Walsinghama. Skeres, mój służący, zaprzyjaźnił się za moim przyzwoleniem z lokajem Walsinghama, Ingramem Frizerem. Frizer lubi pieniądze, a Skeres potrafi je pomnażać. Reasumując, Marlowe otrzyma poufną informację najdalej w jeden dzień.

- Wprowadź Skeresa tylko w niezbędne szczegóły. Marlowe powinien wiedzieć, że ma się kierować do Deptford i że Poley będzie tam na niego czekał, żeby mu pomóc w ucieczce. Winien się spieszyć, bo czas działa przeciwko niemu. - John Whitgift popatrzył znacząco na Essea. - Oraz przeciwko nam, milordzie. Także przeciwko nam.

\* \* \*

Kit nie od razu uległ argumentom Thomasa Walsinghama. Pracował właśnie nad rozbudowanym poematem *Hero and Leander*, do którego inspirację czerpał z greckiej poezji i z własnych miłosnych doświadczeń. Bardziej żał mu było stracić dobry wiersz niż życie.

- Myśl o ratowaniu życia - przekonywał Walsingham, przemierzając nerwowo pokój. - Stawałeś już przed Tajną Radą, wiesz, że zarzuty są poważne. Samo oskarżenie o homoseksualne skłonności wystarczy, by skazali cię na śmierć. A w zeznaniach Bainesa aż roi się od oskarżeń, z których każde z osobna może zaprowadzić na szubienicę.

- Nie ośmielę się skazać najlepszego dramaturga Anglii.

- Już cię skazali! Zresztą Elżbieta ma teraz nowego pupilka. Porównaj, ile razy ty wystąpiłeś przed królową, a ile razy zapraszali trupę Shagspeare'a.

- Jestem poetą. Potrafię tylko klecić wiersze. Jeżeli ucieknę z Anglii, prędko o mnie zapomną.

- Odczekasz rok, dwa... niechby i pięć. Kiedyś w końcu wrócisz. - Walsingham bezwiednie ściszył głos. - Whitgift i jego poplecznicy nie są nieśmiertelni.

\*

Dwudziestego dziewiątego maja wczesnym rankiem Kit wyruszył konno do Deptford. Zostawiał w Scadbury nie dokończony poemat i kilka nie zapłaconych rachunków. Towarzyszył mu pyszałkowaty służący Walsinghama, Ingram Frizer, który z powodu miłości do kart często popadał w długi. Wybrał się z nimi także Nicholas Skeres, kompan Ingrama, małowówny drągał o ponurym wyglądzie i ugruntowanej pozycji lichwiarza; obiecywał sobie odzyskać w Deptford pieniądze od mieszkającego tam dłużnika.

Frizer, trzęsąc się na leciwej chabecie, liczył mile dzielące ich od podlondyńskiego Deptford. Ingram zaś podliczał gwinee, jakie spodziewał się nazajutrz zarobić.

Kit tymczasem rozmyślał z niepokojem, ile lat mu pozostało do osiągnięcia wieku

Chrystusowego.

Był prawdziwym poetą, nie uchronił się więc przed zgubną wiarą w kabalistyczną siłę słów i liczb. Zgubną, bo skoro raz postawił wiarę nad rozumem, z czasem coraz bardziej skłonny był upatrywać we wszystkim działania fatum. Christofer. Imię, które w myśl chrzcielnych intencji miało zapewne związać go z Chrystusem. Christofer, niemalże imiennik Zbawiciela. Więcej nawet. Chrystus dźwigał krzyż, a on, Christofer, został wyznaczony do tego, by dźwigać na grzbiecie Chrystusa wraz z krzyżem. Lucyfer uwolnił go od krzyża, ale Chrystusowi widać nie poradził. Czy to ciężar Zbawiciela tak go ugniata, czy raczej sumienie? Hola! A jest jakaś różnica?

Może to właśnie Nasz Miłościwy Pan z Nazaretu straszy go za pomocą chytrych sztuczek z sumieniem? Kabała słów i liczb to Jego broń. Dożyj mego wieku, Christoferze, a będziesz bezpieczny. Trzydzieści trzy - magiczna liczba, próg, którego Syn Boży nie zdołał przekroczyć. Uda ci się, Kicie? Próbuj. Dobrze sobie! Toż to cztery lata życia w niepewności. Każdy dzień naznaczony strachem. Zamiast układać wiersze, będzie ze strachem liczył godziny. „Ledwie jedna godzina życia ci pozostała, potem czeka cię wieczne potępienie! O, wstrzymajcie bieg, sfery niebieskie. Niech czas się zatrzyma i północ nigdy nie nadejdzie”. A bodaj to! Recytuje *Fausta* i zaczyna myśleć jak on. A cóż w tym dziwnego, skoro sam upichcił tę sztukę? Gorzej, bo z autora stał się aktorem. Tak to jest, gdy nie zachowuje się właściwych proporcji i nie trzyma się imaginacji w ryzach. Wyobraźnia ubrana w atrybuty rzeczywistości może zgotować niegorsze przedstawienie.

Inne zgoła przedstawienie dane mu było ujrzeć jeszcze tego samego dnia. Około czwartej po południu dojechali do miejsca zwanego Święty Tomasz u Wodopoju, skąd do Londynu były nieco ponad dwie mile. Garstka ludzi zgromadzonych na rozległych błoniach przyglądała się, jak pomocnicy kata wznoszą pospiesznie szubienicę. Organizatorom najwyraźniej nie zależało na dużej widowni. Pewnie z uwagi na osobę skazańca egzekucję przeniesiono z Tyburn i nie ogłaszano o niej publicznie.

Kit nie był w nastroju do oglądania widowiska. Niechętnie uległ namowom Frizera i Skeresa, by zrobić sobie półgodzinny postój. Skazańca wieziono już wozem na miejsce kaźni. Kabały ciąg dalszy, pomyślał Marlowe, rozpoznawszy Johna Penry'ego. Zła wróżba. Ostatni raz widział purytańskiego kaznodzieję przed dwoma miesiącami, kiedy po długich staraniach udało mu się wywabić go ze Szkocji. Pobyt w lochach Newgate mocno Penry'ego zmienił. Wychudł, włosy mu się przerzedziły, do tego garbił się; śledczy arcybiskupa Whitgifta nie poprzestali na złamaniu kilku żeber. Mimo to na spotkanie z szubienicą stawił się umyty i w czystej koszuli. Skoro oddawał życie za czystość wiary, nie chciał psuć ceremonii plugawym

wyglądem.

Kit próbował się schować za plecami kompanów, ale Penry już dojrzał go z wysokości podium.

- Kogóż widzę! - wychrypiał. Widać kaci postarali się, by na ostatnim publicznym występie nie mógł wygłosić kazania. - Skoroś tak stęskniony za moim towarzystwem, zapraszam bliżej. Miejsca tu dosyć.

Kat założył mu pętlę na szyję. Penry pokręcił głową, jakby chciał się uwolnić od sznura.

- Wciąż obracasz się w wybornym towarzystwie - powiedział nadspodziewanie mocnym głosem. - Dziwka na tronie, rajfur arcybiskup i jego lordowskie sprzedawczyki. Czarci pomiot! Twój rogaty kompan pasuje do nich jak ulał. Skądżeś go wytrzasnął, panie Marlowe?

Frizer i Skeres wycofali się cichcem. Wokół Kita opustoszało.

- Myślałem, że przyjdzie mi podróżować samotnie, ale niech tam, we dwójkę zawsze raźniej. Niedługo do mnie dołączysz. Darujmy sobie smutek pożegnania...

Kat tymczasem sprawił się ze wszystkim i ani myślał czekać dłużej. Przerwał Penry'emu w połowie zdania. Kiedy tylko Penry zawisł na sznurze, odciął go. Kaznodzieję skazano z oskarżenia o zdradę stanu, zatem zgodnie z procedurą należało go, jeszcze półżywego, wypatroszyć, a następnie poćwiartować i wystawić na widok publiczny. Skazaniec zawiódł jednak oczekiwania widzów. Zawisając, skręcił sobie kark, nie dane mu więc było zobaczyć, jak kat wypruwa z niego wnętrzności.

- Jedziemy! - zawołał Kit.

Wgramolił się na siodło i nie odwracając się w stronę Frizera i Skeresa, pogalopował do Southwark, gdzie zamierzali przenocować. W domu wdowy Eleanor Bull w Deptford spodziewano się ich nazajutrz w południe. Miał dużo czasu, żeby próbować uspić sumienie sherry i piwem.

\* \* \*

Pani Bull przygotowała dla gości pokój jadalny na pierwszym piętrze. Robert Poley czekał już na Kita.

- Nie chowasz chyba do mnie urazy - odezwał się z rezerwą na powitanie. Widać sam nie wierzył, że epizod z uwięzieniem Kita da się łatwo wymazać. - Taka służba, sam wiesz najlepiej. Ważne, że dzięki tobie udało się Penry'ego zwabić do Anglii. Koniec wieńczy dzieło.

- Jeśli myślisz o kacie, to spartaczył robotę. Penry wyzionął ducha, zanim zaczęli go

ćwiartować.

- Byłeś przy egzekucji? - Poley nerwowo splótł wypielęgnowane palce. - Ciekawy zbieg okoliczności.

- Raczej zrządzenie losu. Nie wierzę w przypadek. Tak jak nie wierzę, że nagle zyskałem w tobie sojusznika.

Poley zaśmiał się hałaśliwie. Ingram Frizer i Nicholas Skeres obejrzeni się od stołu.

- Słucham tylko rozkazów przełożonych. Pod tym względem nic się nie zmieniło. - Odkaszlnął do haftowanej chusteczki. - Wciąż masz wielu wpływowych przyjaciół, Christoferze. Niechętnie widzieliby cię martwego. Wolą już, żebyś na obczyźnie stracił kilkanaście funtów.

Weszła wdowa Bull z misą parującego mięsiwa. Poley ruszył energicznie do stołu.

- Siadajmy - przynaglił Kita. - Dziś jeszcze nie musisz pościć. Wieczorem odpływamy.

Frizer i Skeres nakładali już sobie na miski cielęciny zapiekanej w cieście. Kit wziął odrobinę na łyżkę i przełknął bez apetytu.

- Pisziesz coś teraz? - zagadnął go Poley.

- Ostatnio wypisuję głównie weksle.

Gospodyni postawiła na stole dzbanek z sherry. Zaraz po niej zjawiała się młoda służąca, niosąc kubki i niski, pękaty dzban. Frizer zajrzał do środka: gorąca polewka mleczna z winem, doprawiana cynamonem i goździkami. Wprawnie napełnił kubki. Mlaskając, opróżnił swój kubek i wyszczerzył zęby do dziewczyny. Uśmiechnęła się, ale przezornie odsunęła dwa kroki.

Kit wodził oczami za dziewczyną. Miała proste włosy związane w gruby warkocz, owalną twarz o lekko wystających kościach policzkowych, ciemne, łukowate brwi i duże, bystro patrzące oczy. Długa suknia, mocno ściągnięta w stanie, podkreślała szczupłość sylwetki. Nieduży dekolt ledwie odsłaniał piersi, każąc się domyślać ich kształtu. Naraz wezbrał w nim żal, że dziewczyna nigdy nie rozwiąże przed nim sukni i nie odsłoni piersi. Oddalała się od niego tak jak Anglia. Chwycił kubek i pociągnął trzy łyki.

- Widziałem twojego *Fausta* - rzekł Poley z pełnymi ustami. - Rok temu, w Róży. Alleyn w roli Fausta był dobry, ale bardziej podobał mi się Gratton jako diabeł.

- Powinieneś zobaczyć oryginał - mruknął Kit.

- Co ten Penry głądził dzisiaj? Że widzi obok ciebie diabła? - wyrwał się Frizer. Do kubka po polewce winnej nalał sobie sherry i powoli sący trunek.

Skeres przeżegnał się niezdarnie.

- Takie tam gędzenie. Ze stryczkiem na szyi mało kto potrafi gadać do rzeczy.

Frizer dopił sherry i wskazał dziewczynie pusty kubek. Nachyliła się, żeby go napelnić.

- Ja tam dałbym sobie nawet stryczek założyć, gdybyś pokazała mi cycuszki. - Wywalił język, udając wisielca. Chwycił tasiemkę przy dekolcie sukni i pociągnął, chcąc ją rozwiązać.

Dziewczyna odskoczyła z piskiem. Marlowe poderwał się i zamachnął nad stołem. Frizer zleciał z ławy.

- Wielkie mi jaśniepaństwo - wymamrotał, podnosząc się chwiejnie. - Brzuch i przyrodzenie wszyscy mamy jednakie. - Zabrał ze stołu dzban sherry i przysiadł w kącie.

Dziewczyna wybiegła z izby. Poley nalał Kitowi winnej polewki i zaczekał, aż wypije.

- Chodzą słuchy, że wolisz chłopców. Mnie tam nic do tego, ale wiesz, czym to pachnie.

Kit zajął do opróżnionego kubka. Pusty kubek, puste życie. Że to kiepska metafora? Życie nie rządzi się prawami poezji. Powoli odbiera mu wszystko. Głupkowaty Frizer prędzej czy później dopadnie dziewczę, jemu pozostanie co najwyżej pomysł na sonet. Może się też na dobre pożegnać z krajem. Dziewicza królowa wraz z armią swoich rajfurów nie pozwoli, by dane mu było jeszcze kiedyś zobaczyć Anglię. A Shagspeare, złodziej pomysłów? Sprytny Willie, choć całkiem niedawno z trudem składał rymy, teraz bez przeszkód przywłaszczy sobie jego sławę. Gdzie jesteś, Lucyferze? Żaden z ciebie pożytek. Widać niewiele możesz.

- Nalej. - Stuknął pustym kubkiem o stół.

Poley otworzył drzwi i wydarł się, żądając więcej sherry. Długo trwało, zanim zjawiała się wdowa Bull. W jednej ręce niosła pasztet z dziczyzny, w drugiej michę z pieczonym drobiem. Młoda służąca, wciąż z rumieńcami na policzkach, wsunęła się tuż za nią, postawiła dzban na stole i szybko wybiegła. Kit wciągnął w nozdrza powietrze. Zostawiła po sobie zapach jabłeczniaka i świeżo krochmalonej bielizny.

- Pytałeś, czy wolę chłopców. - Zaśmiał się głośno. - Kocham dziewczęta, Robercie. Zwłaszcza te ładne i schludnie ubrane. I kocham naszego Pana Jezusa Chrystusa. - Odczekał chwilę, ale ani Bóg nie zagrzmiął, ani diabeł się nie zjawił, żeby go ukarać. Napelnił kubek i dwoma haustami opróżnił go do połowy. Dobre wino. Nasz Pan Zbawiciel też ponoć pijał wino. A Lucyfer? W jakim trunku gustuje diabeł?

Dopił sherry i od razu nalał sobie ponownie. Uśmiechnął się do swoich myśli. Mam nadzieję, Książę Ciemności, że nie znosisz sherry. Będę wlewał je w siebie tak długo, aż się porzygasz.

- Coś jeszcze podać? - Wdowa Bull zatrzymała wzrok na Poleyu, który nieraz gościł w jej domu. - Jeśli się rozchodzi o rachunek, to wielmożny pan będzie płacił?

Skeres na wzmiankę o płaceniu szybko dokończył pasztet. Poley otwierał już usta, żeby odpowiedzieć, ale Marlowe go uprzedził.

- To moi goście, dobra kobieto - wykrzyknął bełkotliwie. - Za wszystko zapłacę. Przynies więcej sherry.

Poley poluzował wiązanie kaftana i zaczął obgryzać kurze udko.

- Masz rację, Christoferze. - Wypluł kostkę pod stół. - Bawmy się. Od dzisiaj zaczniesz nowe życie. Trzeba to uczcić.

- To raczej koniec.

- Koniec czego? - Poley zastygł w pełnym napięcia wyczekiwaniu.

- Sherry. Sherry mi się skończyło. Dolej.

- Za dużo pijesz. Wieczorem musisz być gotowy do drogi.

- Właśnie dlatego piję. Jak myślisz, gdyby nasz Pan Zbawiciel w Getsemani, zamiast oddawać się modlitwie, raczył się winem, to dałby się tak łatwo pojmać oprawcom?

- Błóżniesz. - Poley machnął ręką, jakby się oganiał od muchy.

Skeres zabrał dzban z polewką winną i przesunął się na skraj stołu, ale nie przestał czujnie nadstawiać ucha.

- Chcesz powiedzieć, że ofiara naszego Pana nie poszła na marne, ale moja śmierć nikogo nie obejdzie? - Kit, cmokając, wypił wino. Przysunął bliżej dzbanek i nieudolnie próbował napełnić kubek. Rozlał sherry na stół. - Czy to nie dziwne? Wytoczyliśmy z Chrystusa krew, a teraz zamieniamy wino w Jego krew. Nowy cud w Kanie Galilejskiej. - Zmusił się do wypicia jeszcze kilku łyków. - Ciekawe, czy Penry skosztował krwi Chrystusowej, zanim go zaszlachtowali. Jak myślisz?

- Penry to heretyk. Nie mów o nim więcej.

- Oddał życie za Zbawiciela. Oddał życie za czystą wiarę Anglii, nieskalaną Henrykowym błóżnierstwem.

- Wino poszło ci do głowy.

- A jeśli to krew Jezusa? Ha, może nie jestem jeszcze stracony...

- Nie pij więcej.

Poley zabrał mu kubek. Kit próbował odebrać naczynie, ale nie zdołał ustać na nogach. Zwalił się na podłogę, przewracając krzesło.

Poley skinął na Skeresa.

- Pomóż mi. Trzeba go przenieść na łóżko.



Wzięli go pod łokcie i pociągnęli w stronę zaścielonego posłania w rogu pokoju. Ledwie zdążyli go położyć, Kit niespodziewanie usiadł i zwrócił całą zawartość żołądka Poleyowi na kaftan.

Poley odskoczył jak oparzony.

- Świnia! Schlał się i rzyga!

- Nieprawda. Wyrzucam z siebie diabła.

\* \* \*

Helena w przezroczystej tunice sunęła prosto ku niemu ponad włóczniami i tarczami hoplitów. Nie mógł się poruszyć, więc tylko wyrecytował: „Przyjdź do mnie, luba, bądź kochaniem moim”.

Hoplenci Aleksandra Wielkiego, zmieniwszy szyk, poczęli go okrążyć, zawzięcie dźgając włóczniami powietrze. Heleny nie mogli dosięgnąć, ale Kit - rozciągnięty na łożu - stanowiąc łatwy cel. Aleksander szedł w pierwszym szeregu, jakby chciał zyskać pewność, że do niego będzie należeć przywilej zadania pierwszego ciosu.

Bezczelny młodzik. Szuka sławy w walce z poetą? Niech się zmierzy, dajmy na to, z Persem. Poeta ledwo żyje. Zabicie poety nie przysporzy Aleksandrowi chwały. Czyżby upadł tak nisko, że woli dobijać chorych na łożu, niż wydawać walkę na bitewnym polu?

Aleksander jakby to usłyszał, bo odezwał się z przekąsem:

- Każde miejsce nadaje się na pochówek.

- A moja dusza? - jęknął Kit. - Zabieraj życie, duszę zostaw! Nie do ciebie należy!

Wygląd Aleksandra zmienia się w okamgnieniu. Płaszcz do ziemi, żeby skrywał stopy, twarz dla niepoznaki spowita cieniem, rogi zmyślnie ukryte pod wysokim kapeluszem. Dobry aktor z tego Lucyfera. Kiedy wypowiada imię Pańskie, nawet się nie skrzywi. Mówi: „Chrystus nie może ocalić twej duszy, bo jest sprawiedliwy”. Cytat z *Doktora Fausta*.

Tym razem nie wykpij się, panie Marlowe. To twój świat. Stworzyłeś te postacie i sam włożyłeś im w usta wszystkie te kwestie.

Kit zwraca się ku Helenie. W końcu za jej przyczyną został Faustem. Mówi błagalnie, Faustowskim wersem:

- Słodka Heleno, daj mi nieśmiertelność swoim pocałunkiem...

Ale gdzie podziała się Helena? W miejsce białej tuniki - halka, lśniąca i purpurowa. Maria Stuart tak dobrała kolor, by nie było znać krwi, gdy kat odrąbie jej głowę. Zdejmuje teraz kunsztownie upiętą blond perukę, odsłaniając rzadkie kosmyki siwych włosów. Widać ciemnosine blizny po toporze. Pierwsze uderzenie spadło na barki, dwa następne na szyję. Trzy ciosy. Może na pamiątkę Babingtona, Ballarda i Savage'a? Trzej męczennicy Marii

Szkockiej. Jak trzy Chrystusowe rany po gwoździach. No i masz, znowu ta kabała liczb! Jeden Penry wyłamuje się z tego schematu. Ale też śmierć Penry'ego niemal od początku do końca była jego zasługą. Marlowe, do niedawna pierwszy dramaturg Anglii, judasz na usługach nieskalanej Elżbiety.

I cóż z tego, drogi Kicie? Chrystus miał swojego Judasza, miał go i Penry. Wielkie rzeczy!

Po co mi to mówisz, Lucyferze? Chcesz zdjąć ze mnie brzemię grzechu? Przecież grzech jest twoim narzędziem. Nie, tylko Chrystus mógłby mnie uwolnić. Poczekaj, a jeśli jest wrażliwy na poezję? Skoro wybaczał dziwkom i celnikom, może wybaczy poecie, który zbłądził?

Wybaczy? A nasz cyrograf? Hejże, za wszystko trzeba zapłacić...

- Obudź go wreszcie! - krzyknął zniecierpliwiony Robert Poley ze swego miejsca przy stole. - Obiecał, więc niech płaci. Niech tylko spróbuje się wykpić.

- Hej, wstawaj! - Ingram Frizer wciąż szarpał Marlowe'a za ramię. - E, próżny trud. Pijany jak bela. Nic tylko bełkocze i wywraca oczami.

Poley odsunął z hałasem krzesło. Wstał od stołu, poprawił koszulę. Kaftan, zabrudzony przez Kita, gospodyni oczyściła i suszył się teraz nad piecem w kuchni. Na chwiejnych nogach podszedł do łóżka i potrząsnął głową Kita.

- Panie Marlowe w Sztok Pijany, późno się zrobiło. Pora płacić.

Ha, więc stało się! Żmije i węże wypełzają z każdego kąta. Nadszedł czas zapłaty. Trzeba przywołać Fausta. „Boże, mój Boże, nie spoglądaj tak groźnie! Żmije i węże, dajcież choć tchu zaczerpnąć! Zniknij, ohydne piekło! I ty, Lucyferze! Spalę swoje księgi! Odejdź, Mefistofelesie!” Ale w czym Faust pomoże? Przecież sam nie uniknął swego losu. Musi być inna droga.

- Już szósta? - Poley odwrócił się w stronę bijącego zegara. - Budź się, pijusie! Statek odpływa o ósmej.

Bicie zegara brzmi znajomo. To nie przypadek. Faust też słuchał bicia zegara. Pójdźmy jego śladem. Zatem: „Tam, tam, na firmamencie krew Chrystusa płynie. Jedna jej kropla ocali mą duszę. Pół kropli, dobry Chryste!”

Nie, to nic nie da. Zaklęcie dobre dla poety, ale nie dla zgubionej duszy. Mój Faust zapomniał o czymś.

Pomyślmy. Zbawienie przez Chrystusa? Odkupienie przez krew? Chrystus przelał krew, żeby nas odkupić? Wszystko to prawda. Trzeba jednak zapewne czegoś więcej...

Tracisz głowę, Kicie. Nic już się nie da zrobić. Co podpisałeś, podpisałeś. Posłuchaj

starego przyjaciela, dobrze ci radzę. Źle na tym nie wyjdiesz.

Diabeł przyjacielem? Nie nadajesz się nawet na doradcę. Gdzie byłeś, kiedy Shagspeare wysysał ze mnie pomysły jak wampir krew? Ależ tak, krew! Tu kryje się odpowiedź! Tak jak ty, Chryste, przelałeś swoją krew dla naszego zbawienia, tak ja przeleję swoją.

- Wreszcie się budzi - burknął Poley.

- Uważaj! - krzyknął Frizer. - Ma nóż!

Marlowe usiadł na łóżku. Poley usiłował chwycić jego uzbrojoną w nóż rękę.

- Skaleczył mnie! - jęknął. Odsunął się i patrzył z niedowierzaniem, jak krew ze zranionej dłoni barwi mu biały rękaw koszuli.

Frizer dobył sztylet. Skeres, nie namyślając się wiele, pospieszył mu z pomocą. Chwycił Kita, unieruchomił mu ramiona i pociągnął do tyłu. Kit szarpnął się ze zdwojoną siłą. Nieoczekiwanie wyzwolił się z uścisku i nawet nie patrząc, dźgnął ostrzem za siebie. Skeres odskoczył z wrzaskiem i złapał się za zranione udo.

Frizer zamachnął się na oślepa. Ostrze zsunęło się po kości czołowej i wbiło w prawe oko. Marlowe znieruchomiał. Wypuścił nóż i nie wydawszy nawet jednego dźwięku, osunął się na zbryzgane krwią posłanie.

Poley kończył obwiązywać dłoń chusteczką. Odsunął Frizera i stanął przy łóżku.

- Piękny cios jak na sługę - zakpił. - Godny mistrza mizerykordii.

- Uderzałem na oślepa - wyjąkał Frizer. - Nie żyje?

- Ostrze doszło do mózgu. Miał szybką śmierć. - Przemknęło mu przez głowę, że dla szpiega to wcale nie najgorszy koniec. Związany i wrzucony do wody, Marlowe męczyłby się dłużej.

Skeres pokuśtykał do posłania z trupem. Udo miał owinięte rękawem oderwanym od koszuli. Obszukał fachowo Marlowe'a, zajrzał nawet do butów. Znalazł tylko małą sakiewkę zawieszoną na szyi, pod koszulą. Wysypał zawartość na podłogę.

- Siedem szylingów. - Zaklął na głos. - Wielkie mi panisko!

- Nie można ufać poecie - rzekł Poley, tyleż do Skeresa, co do siebie. Zastanawiał się gorączkowo, co napisać w raporcie dla członków Tajnej Rady.

Kit prawie nie poczuł bólu. Przejście ze snu do stanu śmierci było tak płynne, że niemal niezauważalne. Jedno ukłucie, potem pieczenie w oku... i wreszcie jasność, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Do końca był poetą, nie dręczyło go więc pytanie, czy niezwykła światłość jest obrazem Boga czy tylko wytworem podrażnionych nerwów.

## Rozdział 27

### Nie można dwóm panom służyć

Dzięki tabletkom nasennym Julian obudził się dopiero po czternastej. Przeleżał jeszcze kwadrans, próbując ponownie zasnąć. Wreszcie zrzucił koc i nie wstając z sofy, dopił resztkę koniaku od wczoraj. W drodze do łazienki minął zamknięte drzwi sypialni. Od dnia, kiedy Helena zachorowała, ani razu tam nie zajrzał. Ślubna suknia Heleny wciąż była tam, gdzie ją zostawiła: przerzucona przez oparcie fotela, w sąsiedztwie postawionego na podłodze dużego wazonu z kwiatami, których nie zdążyła rozpakować z celofanu.

Wyświetlacz na sekretarce w holu pokazywał, że jest do odsłuchania pięć nowych wiadomości. Włączył odtwarzanie.

10.46. Arnicz.

- Panie Julianie, nie odzywa się pan od dwóch dni. Dzwonię więc, żeby przypomnieć: premiera książki dzisiaj o siedemnastej w Marriotcie, sala Wars i Sawa. Proszę o telefon. Chciałbym na spokojnie omówić jeszcze kilka szczegółów.

11.37. Arnicz.

- Komórkę ma pan wyłączoną, więc ponownie dzwonię na domowy numer. Jak tylko pan wróci, niech się pan odezwie.

13.10. Arnicz.

- Panie Julianie, zaczynam się naprawdę niepokoić! Pytałem Stockenhausena, ale on też nie potrafi powiedzieć, co się dzieje. Czekam na telefon. Do szesnastej będę w wydawnictwie.

13.15. Stockenhausen.

- Odezwij się, proszę, do Arnicza. Zaczyna szaleć przed dzisiejszą premierą, bo nie może się z tobą skontaktować. Tłumaczyłem mu, że nie nawalisz, ale jest w takim stanie, że nic do niego nie trafia. Panikarz.

13.58. Ponownie Stockenhausen.

- Mała zmiana. Przyjdź pół godziny wcześniej. CNN kręci w Warszawie reportaż o życiu kulturalnym w postkomunistycznej Polsce. Przekonałem ich, że powinni włączyć krótki materiał o tobie. Całkiem niezłe jak na początek, co? Czekam o wpół do piątej, w holu głównym.

O trzeciej był po kąpieli i lekkim śniadaniu. Z telefonem w dłoni przeszedł do salonu. Kiedy wybierał numer, ręce mu drżały. Długo nikt nie odpowiadał. Wreszcie podniesiono słuchawkę.

- Oddział intensywnej terapii, słucham.

Któraś z pielęgniarek.

- Mogę prosić doktora Otmuchowskiego?

- Pan Rotas? - Poznała go po głosie. - Doktor Otmuchowski jest w tej chwili na izbie przyjęć. Przełączę, może będzie mógł podejść.

Doktor Otmuchowski wyznawał zasadę, że bez względu na okoliczności pacjentowi należy mówić prawdę. W stosunku do rodzin pacjentów przyjmował taką samą postawę.

- Nie mam dla pana pocieszających wieści - zaczął bez jakiegokolwiek wstępu. - Żona nadal jest w stanie śpiączki. Powtórzyliśmy wszystkie badania, łącznie z rezonansem magnetycznym i tomografią komputerową. Bez efektu. Ani śladu urazu mechanicznego, żadnych zmian neurologicznych.

- Wspominał pan o zwołaniu konsylium...

- Będę z panem szczery. - Otmuchowski starannie dobierał słowa. - Przypadek pańskiej małżonki jest do tego stopnia interesujący, że nawet nie muszę zabiegać o pomoc renomowanych konsultantów. Sami się zgłaszają. Każdy mówi to samo: mamy do czynienia z niemal podręcznikowym przykładem śpiączki. Problem w tym, że nie jesteśmy w stanie określić jej podłoża.

- Co dalej?

- Czekamy. Nic więcej nie da się zrobić. Żona cały czas jest podłączona do aparatury wspomagającej i kontrolnej. Jak pan wie, można pacjenta utrzymywać w takim stanie przez wiele miesięcy. - Zawahał się i dodał nieszczerze: - Bądźmy dobrej myśli. W każdej chwili może nastąpić przesilenie. Sam ostatnio słyszałem o dwóch takich przypadkach. - Na koniec poprosił o numer telefonu komórkowego Juliana. Obiecał, że gdyby coś zaczęło się dziać, od razu zadzwoni.

Julian włączył komórkę. Potem ubrał się i obejrzał w lustrze. Mimo woli uśmiechnął się. W workowatym czarnym garniturze i luźnym czarnym T-shircie wyglądał jak sobowtór Gorczyca na wieczorku autorskim w gminnym ośrodku kultury. Stockenhausenowi się to nie spodoba. Po namyśle wywinął jeszcze rękawy marynarki. Klasyczny Gorczyca wystrojony na galowe przyjęcie z okazji uhonorowania Nagrodą Kropielnickich. Zdjęcie Gorczyca trafiło wtedy nawet na okładkę „Opinii”.

Zamówił taksówkę i usiadł na nie zasłanej sofie. Dochodziło wpół do czwartej. Sączył

koniak i czekał. Do szesnastej czterdzieści pięć telefon zadzwonił trzy razy. Najpierw Arnicz - dwukrotnie. Słyszając, że odpowiada mu automatyczna sekretarka, dyrektor wydawnictwa Domino klął głośno i z trzaskiem odkładał słuchawkę. Kwadrans przed piątą telefon odezwał się jeszcze raz. Stockenhausen. Nie zostawił wiadomości.

Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem Julian wyszedł z mieszkania tuż przed siedemnastą. Zdążył przekręcić klucz i zmierzał w stronę windy, kiedy drzwi po przeciwnej stronie korytarza uchyliły się bezszelestnie.

- Przepraszam, nie chciałem wyjść na natręta. - Korpulentny sześćdziesięciolatek z połyskliwą łysiną na czubku głowy poprawił wiązanie ciemnobrązowego szlafroka, spod którego wyglądały biała koszula i krawat. - Mecenas Strumiłło. Jesteśmy sąsiadami.

Strumiłło uśmiechał się życzliwie, ale nie przestawał bacznie lustrować Juliana. Adwokacki nawyk.

- Cieszę się, że znowu ktoś tu mieszka. - Spojrzał w dół schodów i dodał, ściszej głoś: - Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale poprzedni lokator nie był najlepszym towarzyszem. Co tu się nie działo! Wyjątkowy ekscentryk, rozumie pan. A do tego mężczyzna nieżonaty. Prawdę powiedziawszy, wcale mnie nie dziwi, że tak skończył.

Julian odwzajemnił uścisk ręki.

- Kto tu mieszkał? - spytał z uprzejmości.

- Hornik, ten rzeźbiarz. Powiesił się niedawno wśród swoich eksponatów. Pewnie pan słyszał, bo było o tym głośno.

\*

Dwadzieścia po piątej Julian wysiadł z taksówki przed Marriottem i wszedł do środka. W holu zamiast Stockenhausena czekał na niego Józef Majmaniec, kierownik literacki wydawnictwa Domino.

- Nieźle nas pan wystraszył! Wszystko w porządku? - Pociągnął Rotasa za rękaw w kierunku ruchomych schodów. - Arnicza nie ma. Ciśnienie tak mu podskoczyło, że wylądował na pogotowiu.

Drzwi do sali Wars i Sawa pozostawiono uchylone. Majmaniec wsunął się do środka i zgięty wpół, przeszedł do pierwszego rzędu krzeseł, gdzie siedział Stockenhausen. Julian zatrzymał się za progiem. Schowany za prawym skrzydłem drzwi, zajrzał na salę. Światła były przygaszone, palił się tylko pojedynczy reflektor skierowany na podwyższenie z fotelem obitym czerwonym aksamitem. Na fotelu, zwrócony twarzą do wypełnionej gośćmi widowni, siedział Stefan Zellick, aktor Teatru Dramatycznego. Ubrany w ciemne rajtuzy i haftowany zielono-żółty dublet, naśladujące ubiór z epoki elżbietańskiej, czytał na głos z trzymanej na

kolanach książki:

- W tym miejscu, jak zawsze, Alleyn przerwał i zwiesił głowę, by lepiej unaocznić cierpienie Fausta. Zerknął spod szerokiego ronda na widownię licznie przybyłą tego dnia do Róży: wszyscy czekali w napięciu, co stanie się dalej. Kątem oka dostrzegł, że Kit Marlowe, ukryty za bocznym filarem, szykuje diabły do wypuszczenia na scenę. Jeszcze kilka minut i na dzisiaj koniec. Na myśl o pasztecie z dziczyzny i butelce czerwonego bergeraca Alleyn poczuł ssanie w żołądku. Czas umierać, Fauście. Oberżysta w Jednorożcu pewnie szykuje już stoły do wieczery.

Kiedy Zellick skończył i teatralnym gestem zamknął książkę, trzy rzeczy wydarzyły się niemal równocześnie: zablysło światło, Stockenhausen poderwał się z krzesła i Julian wkroczył na salę.

- Proszę państwa, a oto i sam autor. - Szef TeNeT-u ujął Juliana pod ramię i poprowadził do pustego już fotela.

Sądząc po reakcji widowni, pojawienie się Rotasa w tym właśnie momencie uznano za część starannie wyreżyserowanego przedstawienia. Gibała, przymilnie uśmiechnięty, podbiegł do Juliana, żeby się przywitać.

- Gratuluję wejścia! - szepnął, potrząsając mu ręką. - Stockenhausen zna się na *publicity*.

- I co, panie Julianie, zgadza się pan? - Kurcawicz wyrósł jak spod ziemi i wcisnął się przed Gibałą. - Zaręczam, że z Wieśkiem będzie się panu dobrze pracowało.

- Nie zdążyłem jeszcze nic powiedzieć - rzekł Gibała z irytacją, zaglądając naczelnemu przez ramię.

- Aha. W takim razie już mówię. Chcemy panu zaproponować przejście do działu kultury. Pewnie będzie pan miał teraz ciekawsze propozycje, ale proszę to rozważyć, dobrze?

- Dosyć, panowie! - syknął Stockenhausen, nie przestając się przy tym uśmiechać. - To nie giełda pracy.

Rotas zajął miejsce na fotelu, postawiono przed nim mikrofon. Pierwsze pytanie zadał Mariusz Rawski z „Nowin”. Ten sam, który wcześniej systematycznie odrzucał opowiadania Juliana.

- Poza tymi kilkoma opowiastkami, które zamieścił pan dzięki pomocy Starnickiego, aż do dzisiaj nic pan nie opublikował. To typowe objawy zjawiska, które nazywam „syndromem autora jednej książki”. Nie chciałbym być złym prorokiem...

- Myli się pan - przerwał mu spokojnie Julian. - Przez ostatnie trzy lata napisałem więcej krwawych historyjek niż Szekspir przez całe życie. Proszę zajrzeć do „Kroniki

kryminalnej” w archiwalnych numerach działu miejskiego „Racji”.

Sala skwitowała odpowiedź oklaskami. Rawski nie zamierzał się poddawać. Zanotował coś w grubym notesie, po czym zapytał donośnie:

- Mam przez to rozumieć, że stawia się pan na równi z Szekspirem?

- Ależ skąd! - zapewnił Julian. - Mam nad nim przewagę. Szekspir z całą pewnością nic więcej nie napisze.

Rawski ostentacyjnie zamknął notes, myśląc gorączkowo nad odpowiedzią. Ubiegł go Krzysztof Błachon, redaktor naczelny „Tygodnika Literackiego”, znany z ciętego języka i trafności osądów.

- Panie Julianie, jeśli mogę się tak do pana zwracać... - Poprawił okulary krótkowidza.

- Pozwoli pan, że przywołam postać świętej pamięci Bolesława Starnickiego. Pokazywał mu pan swoją powieść?

- Nie.

- Dlaczego? Bał się pan krytyki?

Julian zawahał się.

- Prawdę powiedziawszy, wysłałem mu kilka pierwszych rozdziałów. Wykazał zainteresowanie. Napisał mi długi list z uwagami.

- No, to chyba zbyt cenna pomoc, żeby ją odrzucać.

- Gdybym miał zastosować się do niektórych zaleceń, byłaby to zupełnie inna książka. Kto wie, może nawet lepsza. Ale nie moja. To Starnicki musiałby się pod nią podpisać. - Zatrzymał wzrok na Stockenhausenie. - Chyba żaden autor nie lubi, gdy ingeruje się za bardzo w jego tekst.

Z końca widowni podniósł się szczupły blondynek z długimi dreadami. Norbert Czumak, krytyk literacki z telewizyjnego programu publicystyki kulturalnej, propagator eksperymentów literackich.

- Mam taką teorię - zaczął niewinnie - że wartościowa literatura prawie zawsze słabo się sprzedaje. Podobno cały trzydziestotysięczny nakład pańskiej książki został już sprzedany. Jak by pan to skomentował?

- Trzeba dodrukować - odparł Rotas ze wzruszeniem ramion.

Stockenhausen z trudem powstrzymał śmiech.

- Ale żarty na bok. Gdyby miernikiem wartości tytułu była słaba sprzedaż, to Joyce ze swoim *Ulissesem* powinien otwierać listę grafomańskich autorów. Chyba że uważa pan Joyce'a za miernotę...

- To akurat jeden z nielicznych wyjątków - bąknął Czumak. Poczzerwieniał na twarzy.



Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale uprzedził go Gibała.

- Jak pańska powieść ma się do rzeczywistości XXI wieku? Marlowe, Faust, Mefisto, Lucyfer: pseudohistoryczne dywagacje przemieszane z wieloaspektowym archetypem o dążeniu do nieśmiertelności. A przecież ma się wrażenie, że pod warstwą diabolicznej fikcji kryje się trzeźwy realizm. Są tam wyraźne odniesienia do świata współczesnego, może nawet wątki autobiograficzne. Zapytam krótko: Ile w tym prawdy, a ile fikcji?

Mętnie coś, panie krytyk, mętnie gadasz, usłyszał Julian dochodzący z prawej strony głos Monsieur. Spojrzał tam szybko, ale Monsieur nie zobaczył.

- Realizm? Pierwowzór Marlowe'a to oczywiście postać historyczna, ale cała reszta jest łągarstwem. Faust, jeśli kiedykolwiek istniał, był kuglarzem i naciągaczem. Lucyfera także wymyśliłem. No bo też, proszę państwa, kto dzisiaj wierzy w istnienie diabła?

Na krótko zapadła cisza. Ktoś w ostatnim rządzie zaśmiał się nerwowo. Stockenhausen założył nogę na nogę i mierzył Juliana wzrokiem.

W tym momencie coś zatrzeszczało i mikrofon przestał działać.

- Siła wyższa - zażartował Stockenhausen. Podniósł się, stanął twarzą do gości. - Zapraszamy na poczęstunek do sali obok.

Hostessy poprowadziły gości do sąsiedniego pomieszczenia. Szef TeNeT-u z uśmiechem przepuszczał wszystkich w drzwiach, sam jednak zwlekał z odejściem. Kiedy zostali sami, podszedł energicznie do Juliana.

- Jesteś niepoważny - wycodził przez zęby. - Zachowujesz się tak, jakby ci nie zależało na promocji własnej książki.

- Chyba nie mówimy o tej samej książce. - Wyjął z kieszeni marynarki tom w twardej oprawie. Otworzył w zaznaczonym miejscu. - Zmieniłeś mi całe zakończenie. W mojej książce Marlowe zmagają się z wyrzutami sumienia, a ostatecznie próbuje przez śmierć znaleźć odkupienie. Zło go opanowało, usiłuje jednak z nim walczyć. Ty zrobiłeś z niego szpiega i zabijakę, który ginie w pijackiej burdzie. To nie jest moja książka.

- Ty napisałeś powieść, moim zadaniem było doprowadzić do jej wydania i zrobić z niej bestseller. Czytelnika interesuje wartka akcja, a nie mętna psychologia. Dałeś mi wolną rękę, zgadza się? Przypomnij sobie, jak marzyłeś, żeby ktokolwiek chciał to wydać. Gotów byłeś się zgodzić na każde warunki. - Machnął lekceważąco ręką. - Zresztą zmiany nie są takie duże.

- To samo powiedziałeś Hornikowi, kiedy się wściekł, że zmieniono mu tekst w katalogu.

- To inna sprawa. Hornik nie miał pojęcia o pisaniu.

- Wyrzuciłeś mu to, co dla ciebie niewygodne. Dokładnie to samo zrobiłeś u mnie.

Lucyfer skrzywił się. Rozmowa najwyraźniej zaczynała go drażnić.

- Jestem zawodowcem. Określam cel, a następnie działam tak, żeby go osiągnąć.

- A ja myślę tak: dopóki Marlowe dawał się wodzić na postronku, pozwalałeś mu na romansowanie z diabłem. Kiedy postanowił się wyzwolić, pozbyłeś się diabła i Marlowe'a za jednym zamachem. Wolałeś nie ryzykować, że poniesiesz najmniejszy choćby uszczerbek.

Niewidzialny Monsieur zaklaskał niemrawo i burknął:

- Proszę, proszę, autor się stawia.

Lucyfer pokręcił głową.

- Chyba nie wyobrażałeś sobie, że będę działał na własną niekorzyść? No nie, to byłoby takie nieprofesjonalne. Jeżeli coś może mi przynieść szkodę, to taką trudność usuwam.

- Aha. Dlatego pozbyłeś się Hornika. Zaczynał ci zawadzać.

- Ambicja. Zżerała go ambicja. Uwierzył, że jest wielki, że może sobie poradzić beze mnie.

- To wiem przynajmniej, co mnie czeka.

Całkowita zmiana nastroju. Lucyfer kręci głową z niedowierzaniem. W końcu przyjaźnie obejmuje Juliana ramieniem.

- Co ty opowiadasz? Pokładam w tobie nadzieję. Nie chciałbym cię stracić.

- *Patere quam ipse fecisti legem* - wydeklamował Monsieur patetycznie. - Poddaj się prawu, któreś sam ustanowił. A trawestując na potrzebę chwili: Skoro podpisałeś, nie próbuj się wykręcać.

W tejże chwili w otwartych drzwiach pokazała się głowa ministra Kralca. Zobaczywszy Juliana i Stockenhausena, wmaszerował do sali promiennie uśmiechnięty.

- Panie Julianie, nie dałem rady wcześniej. Wybacz, Henryku, ale sam rozumiesz, obowiązki. Ach, te nie kończące się obowiązki! Pomyślałem, że chociaż na chwilę wpadnę, przywitam się. Dosłownie za pół godziny mam otwarcie wystawy impresjonistów w Narodowym. - Raptem pacnął się w czoło. Wziął Stockenhausena pod rękę i pociągnął do wyjścia. - Prawie bym zapomniał. Przyprowadziłem ze sobą dyrektora Luwru. Zawsze chciałeś go poznać. Panie Julianie, porywam Henryka na pięć minut.

Rotas odczekał chwilę i też wyszedł. Większość gości tłoczyła się przy stołach z zimnymi przystawkami oraz wokół baru serwującego alkohole. Przeszedł w przeciwną stronę, opustoszały kraniec sali. Na okrągłym stoliku z długim białym obrusem leżał na srebrzystej paterze pieczony prosiak. Był nadkrojony do połowy, a wokół wałały się kawałki pieczeni.

Część przednia pozostała nietknięta. Prosiak trzymał w rozdziawionym ryjku pieczone

jabłko i miał taką minę, jakby się dusił. Zafajdana predestynacja, pomyślał buntowniczo Julian, patrząc z zalem na oseska. Oczy mu zwilgotniały i na biały obrus skapnęło kilka łez.

Nagle prosiak wypluł jabłko. Odchrząknął i powiedział nieco dziecinnym głosem:

- Ty tu nade mną nie masz się co wyplakiwać, Julianie. Nad samym sobą zapłacz.

Prosiak zacmokał, jakby próbował przypomnieć sobie smak utraconego jabłka, po czym zamilkł na dobre. W tym samym momencie odezwał się telefon komórkowy Juliana.

- Rotas - przedstawił się niewyraźnie, nie odrywając oczu od okrojonych z mięsa prosięcych żeber i smutnego łba.

- Doktor Otmuchowski. Dzwonię, jak obiecałem. - Chwila wahania. - Żona chyba odzyskała przytomność.

- Jak to „chyba”?

- Proszę przyjechać. Zobacz pan.

\* \* \*

Helena leżała sztywno, przymocowana plastikowymi taśmami za kostki i nadgarstki do poręczy łóżka. Oczy miała szeroko otwarte. Oddychała szybko.

- Znowu miała atak - wyjaśniła pielęgniarka. Sprawnie zamocowała wyrwane z wenflonów przewody kroplówki.

- Jaki atak? - Julian stanął nad łóżkiem i powtórzył głośniejszym głosem pytanie.

Chora przekręciła głowę, szukając go wzrokiem. Ich oczy spotkały się. Poderwała się raptownie, aż łóżko poruszyło się razem z nią.

- Zabierzcie go! - Szarpała więżące ją taśmy. - To jeden z nich! Odejdź, przepadnij!

Doktor Otmuchowski stanął przy Julianie.

- Nie poznaje pani? To pani mąż, Julian Rotas.

- Mąż. Poznaję. Jestem żoną diabła. Sator, Arepo, Tenet, Opera, Rotas - skandowała monotonna, wyginając ciało przy każdym słowie.

Otmuchowski położył Julianowi rękę na ramieniu.

- Sam pan widzi - powiedział, ścisząc głos. - Obudziła się ze śpiączki, ale stan jej umysłu budzi nasze obawy. Tak jakby ciało i umysł uległy rozdwojeniu. Co jakiś czas majaczy. Musieliśmy ją przywiązać, bo chciała skakać przez okno.

- Może nas pan zostawić samych?

Lekarz zawahał się.

- No dobrze. Byle niezbyt długo. Nikt nie może przewidzieć, co się wydarzy za chwilę. - Spojrzał na zegarek. - Pięć minut. W razie czego proszę uruchomić ten przycisk.

Otmuchowski i pielęgniarka wyszli. Julian odczekał, aż zamkną się drzwi. Przynął

sobie krzesło i usiadł przy łóżku. Milczał. Helena świdrowała go wzrokiem. Spojrzenie miała czujne, przytomne.

- Więc już wiesz. Jak się dowiedziałas?

- Na pewno chcesz to usłyszeć? Dobrze. Zobaczyłam całą waszą trójkę. Tamtej nocy, zaraz po ślubie. Obudziłam się i Stockenhausen stał przy naszym łóżku. Był z nim jego kompan, taki czarny, bysiowaty pies ze słuchawkami walkmana na uszach. Ujrzałam prawdziwą twarz Stockenhausena. Jaki ty byłeś do niego podobny! Stał u wezgłowia i patrzył na ciebie. Diabeł troszczy się o swoje dzieci.

Widziała więcej niż on. Poznała prawdziwe oblicze Stockenhausena. A to znaczyło, że miała za sobą siłę, przy której Lucyfer niewiele znaczył. Wielki zwodziciel i ojciec kłamstwa. Więcej obiecuje, niż może dać.

- Zaczęło się całkiem niewinnie. Dałem się omamić. Zanim się spostrzegłem, było za późno.

Nie chciał jej stracić. Gotów był posunąć się do największego kłamstwa. Nachylił się i niezdarnie pogładził jej rękę. Skoczyła jak rażona prądem. Zaczęła miotać się na łóżku, próbując wyzwolić się z więzów. Szlochała spazmatycznie i krzyczała:

- Ratuj mnie, Chryste! Święta Faustyno, ratuj! Wyzwól mnie z grzesznego ciała, które było uciechą dla diabła! Zgrzeszyłam, zgrzeszyłam, zgrzeszyłam...!

Umilkła wyczerpana. Głowa opadła jej na poduszkę. Oczy miała zamknięte. Raptem, nie poruszając ustami, zaczęła mówić nieswoim głosem. Rozpoznał chropawe brzmienie, charakterystyczny ostry baryton zabarwiony chrypką.

- Szukaj, głupku. Rozwiązanie może być bliżej, niż ci się wydaje. Klucz jest w zasięgu ręki.

Wpadł Otmuchowski z dwiema pielęgniarkami.

- Czemu pan nie dzwonił?!

- Cały czas była przytomna...

- Tętno spadło do czterdziestu. Siostrzo, zestaw reanimacyjny Ambu. A pan niech wyjdzie!

Kiedy Julian zdejmował w poczekalni biały kitel, w prawej kieszeni coś zaszeleściło. Wyjął złożoną we dwoje kartkę. U góry, skreślone ręką nawykłą do kaligrafowania, biegły dwa zdania:

*Dla kogo słowa stały się Bogiem, ten z bożkami obcuje i jest sługą szalana. Jeśli przez słowa chce Boga odszukać, znajdzie swoje zbawienie.*

Poniżej, drukowanymi literami, zapisano następujące słowa: „Sator, Arepo, Tenet, Opera, Rotas”. Tworzyły kwadrat i Julian bez trudu spostrzegł, że figurę tę czyta się tak samo we wszystkich czterech kierunkach.

S A T O R  
A R E P O  
T E N E T  
O P E R A  
R O T A S

Pod kwadratem znajdowała się inna figura zbudowana z drukowanych liter:

P  
A  
A T O  
E  
R  
P A T E R N O S T E R  
O  
S  
A T O  
E

Litery tworzyły pierwsze słowa łacińskiej wersji modlitwy Ojcze nasz, z powtórzonymi w dwóch miejscach „A” i „O”, które można było odczytać jako Alfę i Omegę, symbolizujące Chrystusa. Całość układała się w rysunek krzyża. Wypatrzył też to, co zapewne powinien był zauważyć. Słowa: „Sator, Arepo, Tenet, Opera, Rotas” były anagramami *Pater noster* i wiązały się z towarzyszącymi Modlitwie Pańskiej literami „A” i „O”. Alfa i Omega. Początek i koniec. Ten, do którego należy ostatnie słowo.

\* \* \*

Zawitkowski skończył właśnie odprawiać wieczorną mszę i przebierał się w zakrystii. Julian minął się w drzwiach z dwoma ministrantami.

- Ksiądz mnie pamięta?

Duszpasterz środowisk twórczych złożył starannie albę i umieścił ją na półce w szafie.

- Jakżeby nie! - Wciągnął brzuch i zapiął dwa środkowe guziki sutanny. - No i przybyło parę kilogramów.

Witając się z Julianem, przytrzymał mu dłużej rękę.

- Nie ma pan przypadkiem gorączki? Dziwnie pan rozgrzany.

- Chciałem się wyspowiadać.

Zawitkowski przyjrzał mu się uważnie. Zbyt długo był kapłanem, by w takich chwilach zadawać pytania.

- Proszę poczekać w kościele. Zajrzę tylko do kancelarii i zaraz do pana wyjdę.

Kościół zdążył opustoszeć. Paliły się światła przy ołtarzu i w nawach bocznych. Julian usiadł w ławce przy najbliższym konfesjonale. Ukrył twarz w dłoniach i czekał. Nie trwało to długo. Od strony konfesjonau rozległo się skrzypnięcie. Zobaczył, jak zamykają się górne drzwiczki.

Przyklęknął na klęczniku, przeżegnał się szybko.

- Zgrzeszyłem, ojcze.

- Mów. Słucham.

Twarz spowiednika była ledwie widoczna za przesłoniętą celofanem kratką.

- Przyjąłem świętokradczo komunię.

- To grzech powszechniejszy, niżby się wydawało. Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi?

- Nie pamiętam. Z dwanaście lat temu.

- Z czym przychodzisz dzisiaj?

- Ojcze, diabeł mnie opętał.

Spowiednik szurnął nogami w konfesjonale.

- Szatan jest wszechobecny, synu - podjął, ważąc słowa. - Musimy być tego świadomi.

- Źle mnie ksiądz zrozumiał. Ja zawarłem pakt z diabłem.

- Ach tak? Opowiedz mi o tym.

Zawitkowski słuchał, nie zadając pytań. Kiedy Julian skończył, spowiednik dwa razy odchrząknął, jakby dostał chryпки.

- Źle postąpiłeś, Julianie.

- Wiem, ojcze.

- Żałujesz?

- Szczerze.

- Wyrzekasz się szatana?

- Wyrzekam.

- I chcesz Bogu służyć?

- Tak. Chcę się zmienić.

Z konfesjonau dobiegło głucho westchnienie. Potem rytmiczne dudnienie palcami o deski siedzenia. - Zawiodłeś mnie, Julianie. Zawarliśmy umowę. A teraz co? Wyrzekasz się? -

Otworzyły się drzwiczki konfesjonau i przed Rotasem stanął Stockenhausen. Kręcił głową, nie kryjąc wzburzenia. - To zdrada, Julianie. Nie można dwóm panom służyć.

\*

Ksiądz Zawitkowski wbrew zapowiedziom spóźnił się nieco. Co prawda w kancelarii nie było interesantów, ale sporo czasu zmitrężył, usiłując przepędzić czarnego psa przybłądę, który nie wiadomo jak dostał się na parter plebanii. Kiedy wrócił do kościoła, zastał Juliana półprzytomnego obok konfesjonau. Rotas mówił coś do siebie, ale słowa nie układały się w sensowną całość. Zawitkowski, nie namyślając się wiele, zadzwonił po pogotowie. Czekać na przyjazd karetki, słyszał, jak chory powtarza raz po raz: „Sator, Arepo, Tenet, Pater noster, Opera, Rotas, Alfa i Omega, Sator, Arepo, Pater Noster, Tenet, Sator, Arepo, Rotas, Pater Noster, Sator...”

## Rozdział 28

### Werdykt lawy przysięgłych

Lucyfer przyszedł kwadrans przed północą.

- Myślisz pewnie, że za wcześnie? - Uśmiechnął się sztucznie do Juliana. Poprawiając zapięcie eleganckiej czarnej marynarki, rozejrzał się wprawnym okiem po pustym jeszcze salonie. - Walczę z zabobonami. Godzina duchów to właśnie jeden z takich niemądrych przesądów.

- Pozwolę sobie zauważyć, Mistrzu, że prokurator nie powinien wieść prywatnych rozmów z podsądnym - pouczył go lodowato Monsieur. Zdjął długi czarny płaszcz. Pod nim miał sędziowską togę. Wyraźnie pysznił się swoim ubiorem i nową funkcją.

- Podsądny? O, cóż za fatalne *faux pas*! - jęknął Lucyfer. Usiadł na jednym z czterech skórzano-aluminiowych foteli. - Zwracam uwagę, wysoki sędzie, że pan Rotas jest w dzisiejszym procesie powodem, nie oskarżonym. Powodem! Czyli stroną wnoszącą skargę.

- Prawnicze dyrdymały! - bąknął Monsieur z obrażoną miną. Przesunął pod ścianę stolik i przykrył szklany blat swoim czarnym płaszczem. Rozsiadł się za stolikiem, na podłodze. Spojrzał na zegarek. - No proszę, już za dziesięć. Ciekawe, czy i tym razem się spóźni!

Nie czekali długo. Po minucie dzwonek u drzwi oznajmił przybycie kolejnego gościa.

- Michał Archanioł - przedstawił się barytonem. Mówił z chrypką, która Rotasowi od razu wydała się znajoma. - Będę miał, że się tak wyrażę, przyjemność reprezentować pańskie interesy - zakomunikował, podając rękę Julianowi.

Przechodząc obok Lucyfera, skinął oschle głową. Na Monsieur nawet nie spojrział.

Nie wypadło, by Julian przyglądał się gościowi zbyt natarczywie. Zerknął na niego ukradkiem raz i drugi. Michał Archanioł był średniego wzrostu, lekko pochylony, z wyraźnie zarysowanym brzuszkiem, który uwydatniał się pod ciasnym, znoszonym prochowcem nieokreślonego koloru. Rzadkie, ufarbowane na czarno włosy cesał do góry, by zakryć łysinę. Miał twarz pięćdziesięciolatka: lekko opuchniętą, z obwisłymi policzkami, o ziemistej cerze, jakby trawiła go choroba. Od połowy czoła po lewe ucho biegła szeroka blizna. Oczy niebieskie, z sinawymi obwódkami, lekko zmrużone, jakby raziło go światło.

- Widzę, że mi się pan przygląda. - Nie czekając na odpowiedź, pokiwał smętnie



głową. - Stres i zmęczenie, drogi panie. Stres i zmęczenie robią swoje. To nie jest lekka praca. Nie mówię tego, oczywiście, wyłącznie pod pańskim adresem. Choć pański przypadek - w tym miejscu przezornie ściszył głos - nie należy bynajmniej do łatwych. - Pogrzebał w prawej kieszeni prochowca i wyciągnął napoczętą paczkę papierosów nieokreślonej marki. Drżącą ręką wyszperał papierosa z filtrem i wsadził do ust. - Chyba nie będzie panom przeszkadzać. - Zapalił.

Lucyfer wznosił oczy ku sufitowi. Znacząco westchnął, po czym zaczął się wachlować chusteczką. Monsieur poderwał się zza zaimprovizowanego stołu sędziowskiego. Przesłaniając ostentacyjnie pysk otwartą łapą, podszedł do okna i uchylił szerzej oba skrzydła. Michał Archanioł, z papierosem w ustach, przysunął jeden z trzech wolnych foteli bliżej drzwi, usiadł ciężko i przyzymkając oczy, zaciągnął się. Wypuścił z wprawą pierścień dymu, zaciągnął się ponownie. Chwycił go atak suchego kaszlu.

- Te papierosy mnie wykończą! - wychrypiał. Przetarł rękawem załzawione oczy. Rozejrzał się za popielniczką. W końcu schował niedopałek do paczki.

Dym jeszcze dobrze się nie rozwiął, kiedy włączył się telewizor i na ekranie pojawił się elektroniczny zegar z nowojorskiego Times Square. Cyfry zaczęły szybko przeskakiwać, by zatrzymać się na napisie „11:59 PM”. Punktualnie z wybiciem północy pokój w apartamentowcu na Elektorальной wypełnił się nowymi gośćmi. Określenie „wypełnił się” jest w tym przypadku jak najbardziej trafne, wszyscy bowiem pojawili się jednocześnie, jak za naciśnięciem magicznego guzika.

- Bardzo dobrze! - wykrzyknął zachwycony Monsieur. Zatarł łapy i uśmiechnął się porozumiewawczo do Lucyfera, na moment obnażając białe kły. Przybrawszy z powrotem urzędową minę, zaczął dyrygować przybyłymi, wymieniając każdego z nazwiska i w wymienionej kolejności sadzając na podłodze: - Obywatel Jean Tartuffe, ksiązę Crispin de Broglie, señora Luca Herrera, hrabia Alfredo Brentano, Iva Hercikova, obywatel ziemski Jan Latkowski, baron Wilhelm Heusinger, Miguel de Cervantes, towarzysz Stiepan Jakowlew, senator Marek Arencjusz, wielebny John Redcliffe. Proszę powoda i prokuratora o zajęcie miejsc.

Rotas zajął wskazany fotel między Lucyferem a Michałem Archaniołem. Lucyfer obrócił się w stronę Juliana i powiedział na tyle głośno, by również archanioł mógł go usłyszeć:

- Proszę zwrócić uwagę, że skład wielkiej ławy przysięgłych jest wyjątkowo reprezentatywny. Oczywiście, przy wyborze ławników brano pod uwagę czynnik, skrótowo ujmując, kulturowo-religijny, ale taka decyzja jest jak najbardziej w interesie powoda.

- Gdzie dwunasta osoba? - Michał Archanioł założył okulary i ponownie policzył ławników. - Kogoś brakuje.

Monsieur sam popatrzył i aż jęknął.

- Nie ma Williama.

William Szekspir zmaterializował się pięć minut po północy. Wyrósł jak spod ziemi i od razu zaczął besztuć Monsieur:

- Kto to słyszał, żeby powiadamiać mnie w ostatniej chwili! Ja nie jestem pierwszy lepszy z ulicy. Ze mną trzeba się umawiać. Nie pozwolę, by mnie traktowano jak chłopca na posyłki.

- Phi, wiele hałasu o nic - burknął Cervantes.

Monsieur udał, że słowa Szekspira nie dotyczą bezpośrednio jego. Dobył z rękawa togi gumowy młotek i zastukał.

- Panie przewodniczący, proszę dołączyć do pozostałych ławników. - Strzygąc uszami, spojrzał w stronę Juliana, Michała i Lucyfera. - Czy któraś ze stron ma uwagi co do składu ławy?

Rotas nachylił się do Michała Archanioła i szepnął mu coś do ucha. Archanioł podniósł się z fotela.

- Wysoki sędzie, mój klient obawia się, że przewodniczący ławy przysięgłych może być do niego uprzedzony.

- Na jakiej podstawie tak uważa?

- W swojej książce przedstawił pana Szekspira w niezbyt korzystnym świetle. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że ten będzie teraz szukał rewanżu. Zgłaszam formalny wniosek o odsunięcie Williama Szekspira od udziału w rozprawie.

- Sprzeciw! - Lucyfer wstał i dodał stanowczo: - Na tej rozprawie nie zajmujemy się literackim dorobkiem powoda.

- Podtrzymuję sprzeciw - rzekł Monsieur. Poprawił z namaszczeniem przydługie rękawy togi. - Otwieramy przewód sądowy. Sprawa z powództwa cywilnego bla, bla, bla, wniesiona przez Juliana Rotasa przeciwko Lucyferowi alias Henryk Stockenhausen. Powód wnioskuje o taką oficjalną wykładnię umowy między nim a Lucyferem, aby sporna, jego zdaniem, kwestia prawa do duszy po śmierci powoda była rozstrzygnięta na korzyść tegoż. Proszę prokuratora o zabranie głosu.

Lucyfer popatrzył z powagą po zebranych, zatrzymując dłużej spojrzenie na ławnikach.

- Wysoki sędzie, panie i panowie - zaczął z namaszczeniem - w tej sprawie od

początku do końca chodzi o poszanowanie litery prawa. Umowa, której reinterpretacji domaga się powód, zawarta została z poszanowaniem stosownych przepisów. Była opatrzona podpisem powoda. Jest zatem ważna i obowiązująca. Żaden szanujący się prawnik nie próbowałby nawet jej podważać.

- Sprzeciw! - krzyknął Michał Archanioł. - Tym ostatnim stwierdzeniem prokurator podaje w wątpliwość moje kompetencje.

- Podtrzymuję sprzeciw - zgodził się niechętnie Monsieur. - Proszę ławę przysięgłych o wykreślenie z wystąpienia prokuratora ostatniego zdania.

Lucyfer rozłożył ręce z przepaszającym uśmiechem.

- Ależ nie miałem zamiaru negować autorytetu mego szacownego adwersarza. Nie odważyłbym się. Zwłaszcza wobec tak wybitnych ławników, których bezstronność jest poza wszelką dyskusją.

Szekspir przyjął tę deklarację z życzliwym uśmiechem. Odruchowo przeciągnął dłonią po ufryzowanych włosach, upewniając się, czy peruczka na czubku głowy nie przekrzywiła się.

- Nie chcę być gołosłowny - ciągnął Lucyfer. - Za przyzwoleniem wysokiego sądu przytoczę tekst umowy, którą, zwłaszcza co do meritum sprawy, kwestionuje powód.

Monsieur skinął przyzwalająco łapą. Lucyfer wyjął z wewnętrznej kieszeni na piersiach zrolowaną kartkę, rozprostował ją i odczytał:

Henryk Stockenhausen, zwany dalej Zleceniobiorcą, i Julian Rotas, zwany dalej Zleceniodawcą, potwierdzają własnoręcznymi podpisami nawiązanie współpracy opartej na zasadzie równorzędnego partnerstwa. W ramach niniejszej umowy Zleceniobiorca zobowiązuje się do zapewnienia Zleceniodawcy sukcesu w podejmowanych zamierzeniach oraz udziela dożywotniej gwarancji nietykalności cielesnej dla Niego i najbliższej Mu osoby. Zleceniodawca zachowuje za życia wszystkie prawa majątkowe oraz prawa z tytułu własności intelektualnej. Po śmierci Zleceniodawcy prawa majątkowe przechodzą na rzecz wyznaczonych przez Niego spadkobierców, natomiast wszelkie prawa z tytułu własności intelektualnej stają się własnością Zleceniobiorcy.

Nie spiesząc się, zwinął kartkę, ale jej nie schował.

- Czy powód lub jego adwokat podważają wiarygodność podpisu złożonego na umowie?

Michał Archanioł spojrzał na swego klienta. Julian w milczeniu pokręcił głową. Po chwili zbliżył się do archanioła i coś mu szepnął. Michał dźwignął się ociężale z fotela.

- W imieniu mojego klienta pragnę zwrócić uwagę na fakt niedotrzymania jednego z

zasadniczych punktów umowy. Tym samym umowa przestaje obowiązywać.

- Tak? A jakież to punkt? - Lucyfer umieścił rulon z powrotem w wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Chodzi o ustęp dotyczący zagwarantowania dożywotniej nietykalności cielesnej dla powoda i najbliższej mu osoby. Zleceniobiorca nie dotrzymał obietnicy. Małżonka pana Rotasa jest od czterech dni w stanie krytycznym.

- Hola, hola! - zagrział Lucyfer. - To argument z gruntu fałszywy. Z rozczarowaniem zauważam, że powód sięga po niego z premedytacją po raz kolejny. A przecież już wcześniej w rozmowie z nim wykazałem, że nie ma racji. Wysoki sędzie, panie i panowie. Proszę zwrócić uwagę na sformułowanie „nietykalność cielesna”. Czy pani Helena Rotas zapadła na jakieś schorzenie organiczne? A może dokucza jej choroba somatyczna? Przydarzył jej się wypadek? Otóż nie. Jej przypadek ma podłoże duchowe, o czym pan Rotas doskonale wie. A ja na choroby duszy nie mam najmniejszego wpływu. - Rozłożył ręce w geście bezradności. - Nie moja dziedzina. To obszar należący do mojej, że tak powiem, konkurencji. Chyba że mój szacowny adwersarz ma w tej ostatniej kwestii odmienne zdanie. Chętnie zgodzę się na poszerzenie uprawnień.

Michał Archanioł spojrział na Lucyfera spode łba, ale przezornie milczał.

Monsieur dla porządku odczekał nieco, po czym zapytał oschle:

- Czy adwokat powoda chciałby coś dodać?

Michał zaprzeczył ruchem głowy.

- W takim razie na wniosek prokuratora powołuję pierwszego świadka. Pan Julian Rotas.

Julian spojrział w osłupieniu na adwokata.

- Takie procedury - przyznał niechętnie Michał. - Nie może pan odmówić.

- Jak powszechnie wiadomo - podjął Lucyfer, unikając dydaktycznego tonu - w procesie podejmowania decyzji bierze udział mechanizm kontroli znany powszechnie jako wolna wola. - Stał twarzą do Juliana. - Czy podpisał pan umowę dobrowolnie czy pod przymusem?

- Dobrowolnie, ale...

- Zatem z własnej woli - podchwycił Lucyfer, spoglądając znacząco w stronę ławy przysięgłych. - Podkreślam: z własnej woli. Nikt nie szantażował pana ani nie przymuszał. Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Monsieur pogratulował mu ruchem łba. Spojrział surowo na Michała Archanioła.

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji.

Adwokat odkasznął, próżno starając się pozbyć chryпки.

- Przed chwilą usłyszeliśmy, że wybór mojego klienta wolny był od przymusu. Ha! Czym, jak nie przymusem, jest miraż sławy, jaką przed nim roztaczano? Zaszantażowano go koniecznością osiągnięcia sukcesu. Tak, szantaż to właściwe słowo. „Beze mnie będziesz nikim - podpowiadał kusiciel. - Jesteś zdolny, ale samą pracą i talentem niczego nie osiągniesz. Wybieraj: sukces albo nic”. Ohydna, ohydna presja! Knowanie, spiskowanie, straszenie groźbą kompromitacji. Gdzie tu miejsce na wolną wolę? - Klapnął z powrotem na fotel, posyłając Julianowi uspokajające spojrzenie.

- Piękny popis krasomówstwa - spuentował Lucyfer z ironicznym uśmiechem. - Prawie dałbym się zwieść. Ale przyjrzyjmy się dowodom. Szantaż? Spiskowanie? A do czego posunął się Julian Rotas, żeby zobaczyć swoje opowiadania w druku? Posłużył się kłamstwem i zawiązał spisek, w który wciągnął szanowanego pisarza. Mam wymieniać dalej? A może przywołamy z zaświatów Bolesława Starnickiego na świadka?

Monsieur za sędziowskim stołem ożywił się.

- Czy to wniosek formalny?

- Jeśli powód również sobie tego życzy.

Ławnicy zaczęli poszeptywać. Szekspir notował coś na kartce, kiwając do siebie głową.

- Nie widzimy takiej potrzeby - odpowiedział oschle Michał Archanioł. - Nie mamy zamiaru dawać prokuratorowi okazji do kolejnych popisów pustej retoryki. - Podszedł do Juliana i położył mu rękę na ramieniu. - Dobrze się stało, że na samym wstępie usłyszeliśmy wszyscy pełny tekst umowy. Sprawa jest zatem jasna. Umowa nie zawiera najmniejszej wzmianki o tym, by mój klient zaprzedał diabłu duszę. - Stanąwszy twarzą do ławników, dokończył z naciskiem: - W ogóle nie ma w niej wzmianki o duszy. Ani słowa, nawet półsłóweczka. To argument rozstrzygający. Niniejszym sprawę uważamy za zamkniętą. Amen.

- Bynajmniej - zripostował Lucyfer uprzejmie. - Tekst, tak jak to powinno być w przypadku każdej umowy handlowej, jest bardzo precyzyjnie sformułowany. I proszę mi wierzyć, zawiera stosowne odniesienie do duszy. - Poklepując się po kieszeni, w której przechowywał cyrograf, zacytował z pamięci: „Po śmierci Zleceniodawcy prawa majątkowe przechodzą na rzecz wyznaczonych przez Niego spadkobierców, natomiast wszelkie prawa z tytułu własności intelektualnej stają się własnością Zleceniobiorcy”. Intelkt to rozum i dusza, pierwiastek duchowy, ulotna psyche, która nie przybiera materialnych kształtów. Interpretacja jest jednoznaczna: po śmierci Juliana Rotasa jego dusza przechodzi na moją własność.

- Zbyt pochopny osąd. - Michał Archanioł ukradkiem otarł spocone czoło. - Dusza to nie tylko psyche. Po części to również soma, czyli forma cielesna. Jako taka jest materialna, czyli należy zaliczyć ją do praw majątkowych.

- Archaniołku kochany, dajże spokój, bo głowa boli - jęknęła Iva Hercikova. - Za życia byłam zwykłą praczką.

- Pański argument jest absolutnie nie do obrony - odparł twardo Lucyfer, wspierając Ivę Herciková życzliwym uśmiechem. - Między psyche a somą istnieje wyraźny rozdział. Dusza jest bytem bezcielesnym, a więc niematerialnym, podczas gdy ciało to materia w czystej postaci.

Monsieur pokiwał głową z mądrą miną. Szekspir popatrzył wymownie po ławnikach. Sporządził kolejną notatkę.

Michał podrapał się po nie ogolonym policzku.

- Cytuje pan przebrzmiałe teorie - powiedział nienaturalnie głośno. - Współczesna nauka pomogła nam zweryfikować ten mit. Dzięki precyzyjnej aparaturze pomiarowej wiemy, że kiedy po śmierci człowieka dusza oddziela się od ciała, występuje lekki spadek wagi. Wyraźny to dowód, że dusza jest bytem materialnym.

- Ubytek masy związany jest z szybko postępującymi po śmierci procesami chemiczno-biologicznymi. Dochodzi wtedy między innymi do wyparowania pewnej ilości wody. Zatem soma, nie psyche. Amen.

- To karygodne uproszczenie - zaprotestował archanioł, czerwony na twarzy. - Doskonale pan wie, że w sferze teorii nie sposób tego zweryfikować.

- Zróbmy zatem eksperyment - zaproponował Lucyfer z miną niewiniątka. - Tytułem próby na chwilę pozbawimy pana Rotasa życia. Jeżeli dusza, jak pan twierdzi, należy do obszaru praw majątkowych, pozostanie przy nim. Jeżeli jednak wchodzi w skład własności intelektualnej, wówczas sama jak po sznurku powędruje do mnie. Spróbujemy?

- Sprzeciw! - zagrzmiął archanioł, zwracając się do Monsieur. - Bóg uczy, że życie jest świętością. Prokurator doskonale wie, że namawia mnie do świętokradztwa, na które nigdy bym nie przystał.

- Oddalam sprzeciw - oznajmił z satysfakcją Monsieur. - Na tym etapie rozprawy, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę impas, w jakim się znaleźliśmy, wniosek prokuratora jest jak najbardziej uzasadniony. Więc jak, robimy ten eksperyment?

- Co panu szkodzi? - kusił Lucyfer, uśmiechając się słodko do Michała. - Zgódź się pan. Jeden mały eksperyment.

- Nigdy! Żadnych kompromisów. Wiara jest jak monolityczny mur. Wystarczy wyjąć

jedną cegłę, a z czasem cały się zawali.

- To wybuduje się nowy. Jak znam życie, pewnie lepszy. Fuj, cóż za paskudny konserwatyzm. Zastój, panie i panowie - kontynuował Lucyfer, zwracając się bezpośrednio do ławy przysięgłych. - Zacołanie, któremu próbuję się przeciwstawić w imię postępu. Skoro mój szacowny adwersarz w tak drobnej kwestii nie chce się wykazać większą elastycznością, to cóż dopiero mówić o sprawach naprawdę istotnych...

Monsieur poruszył nerwowo wąsami. Strony zaczynały się zapuszczać na grząski teren religii. Tutaj każdy nierozważny krok groził nieszczęściem. Zastukał energicznie młotkiem.

- Czy któraś ze stron chce zgłosić jakiś inny wniosek formalny? - Cisza. Monsieur odczekał jeszcze chwilę, po czym oznajmił: - W takim razie proszę ławę przysięgłych o udanie się na naradę.

Zegar na Times Square, wyświetlony na ekranie telewizora, pokazywał dwadzieścia pięć minut po północy, kiedy dwunastka ławników na sygnał sędziego rozplynęła się w powietrzu. Zmaterializowali się dziesięć minut później, dokładnie w tym samym miejscu.

- Czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt? - zapytał Monsieur urzędowym tonem.

- Tak, wysoki sędzie - odparł Szekspir.

- Proszę o odczytanie werdyktu.

Szekspir pociągnął nosem i wstał. Przyjąwszy teatralną pozę, odczytał z pogniecionej kartki:

- Po wysłuchaniu stron sędziowie przysięgli doszli jednomyślnie do wniosku, że umowa zawarta między Julianem Rotasem i Lucyferem, podpisującym się również jako Henryk Stockenhausen, jest ważna i obowiązująca. - Zrobił przerwę i spojrzał przeciągle na Juliana. - Odnosząc się do interpretacji spornego punktu o prawach z tytułu własności intelektualnej, uznaliśmy, że zapis ten obejmuje również nieśmiertelną duszę, w odróżnieniu od doczesnego ciała, które jako byt materialny wchodzi w skład praw majątkowych.

- I tak trzymać! - wykrzyknął Monsieur, który zapomniał się na moment. Błyskawicznie sam przywołał się do porządku. Wystukał sędziowskim młotkiem rytm melodii *When All the Saints Go Marching In*, po czym oznajmił: - Ogłaszam koniec rozprawy.

- Bardzo mi przykro - wymamrotał Michał Archanioł, unikając wzroku klienta. Uścisnął niemrawo rękę Julianowi, zapalił papierosa i już go nie było.

- Dobra robota, Monsieur - zawołał Lucyfer już od drzwi. - Ten wyrok przywraca mi wiarę w sądownictwo. Idziemy?

- Sprawiedliwości stało się zadość - orzekł Szekspir z mściwym uśmiechem, nim zniknął wraz z pozostałą jedenastką, i Julian został w opustoszałym pokoju.



## Rozdział 29

### Płomienie, płomienie, płomienie

Stockenhausen wyszedł ze swojego biura na Foksal dokładnie o osiemnastej trzydzięci. Wsiadł do czekającej taksówki. Rozmyślił się, bo wrócił do pałacyku, ale po pięciu minutach znowu pojawił się na ulicy. Taksówka powiozła go w stronę Nowego Światu. Z okna na pierwszym piętrze budynku Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Julian miał widok na oba skrzydła gmachu, w którym mieściła się firma Stockenhausena. Około wpół do dziesiątej zgasły ostatnie światła na parterze, w lewym skrzydle. Palilo się tylko w oknie stróżówki. Otworzyły się drzwi wejściowe i strażnik wypuścił dwójkę pracowników firmy maklerskiej. Przez następne dwadzieścia minut nic się nie wydarzyło. Dochodziła dwudziesta druga, kiedy Julian wmieszał się w tłum gości wychodzących z sali projekcyjnej Centrum Audiowizualnego i razem z nimi wy dostał się z siedziby SDP.

Skręciwszy w prawo, zanurzył się w opustoszały o tej porze park. Po kilkudziesięciu krokach zawrócił i doszedł do ogrodzenia okalającego pałacyk od strony parku. Wszystkie okna z wyjątkiem stróżówki były ciemne. Upewnił się, że jest sam. Wdrapał się na ogrodzenie, zeskoczył na drugą stronę i nie tracąc czasu, ukrył się we wnęcie między pałacykiem a jednopiętrową przybudówką. Wystarczyło wychylić głowę, by móc obserwować pałacyk Stockenhausena i przylegający do budynku teren. W oknie stróżówki migotał włączony telewizor. Kwadrans przed jedenastą obok przybudówki przeszła para zakochanych. Zaraz potem telewizor w stróżówce zgasł.

Pora ruszać, powiedział do siebie Julian. Zastanawiał się, jak dodać sobie odwagi. Modląc się, to oczywiste; tyle że modlitwa w jego ustach mogłaby zostać uznana za bluźnierstwo. Przypomniiał mu się wierszyk, który matka sama ułożyła i recytowała mu na dobranoc, żeby nie bał się zostać w pokoju przy zgaszonym świetle: „Ołowiany żołnierzyk ma miecz ołowiany, tarczę całą z papieru, ale serce ze stali. Choćby mieczyk połamał, tarczę ogień mu strawił, w piersi broń ma niezłomną, co go zawsze ocali”.

Wysunął się zza załomu budynku i rozejrzał. Ruszył ostrożnie, powtarzając w myślach słowa wierszyka jak zaklęcie. Przykucnął pod ostatnim oknem gabinetu Stockenhausena. Odszukał w kieszeni diament do cięcia szkła, przyłożył do szyby na wysokości klamki i nacisnął z wyczuciem. Zazgrzytało. Diament ześlizgnął się, a okno niespodziewanie ustąpiło.

Było tylko przymknięte. Stał zaskoczony, zastanawiając się gorączkowo, co zrobić. Ołowiany żołnierz nie wycofałby się w takiej chwili. Pomaszerowałby dalej. Miecz ma ołowiany, ale serce ze stali.

Wdrapał się na parapet i zsunął na podłogę. Poruszając się niemal po ciemku, zaciągnął zasłony w obu oknach i dopiero wtedy zapalił latarkę. Pokój wypełniły nieruchome kształty i cienie. Z półmroku wynurzył się Monsieur: warował przy posągu Corneliusa Agrippy, równie martwy jak jego dawny pan. Ciszy nie mąciło nawet tykanie zegara. Prawie słyszał bicie własnego serca, kiedy przemierzając mroczny pokój, skierował się do masywnego biurka. Odsunął fotel, otworzył górną szufladę i poświecił latarką: pusta. Sprawdził następną: tak samo. Dwie dolne szuflady były również idealnie wysprzątane. Podobnie jak blat. tylko czaszka Marii Szkockiej, osłonięta szklaną gablotą, stała na dawnym miejscu.

Może wśród książek? Podszedł do dwuczęściowej biblioteczki. Zastanawiał się, od której półki zacząć. Właśnie wyciągał rękę, żeby odsunąć szybę, kiedy rozbłysło światło.

- Jak to mówi Pismo Święte: „Chcę żać tam, gdzie nie posiałem”. Fuj! Tylko złodziej zakrada się nocą.

W fotelu przy biurku siedział Lucyfer. Ubrany był - jak na niego - dość swobodnie: miał jasnobrązowe spodnie ze sztruksu, koszulkę polo w kolorze beżowym i popielatą sportową marynarkę.

- Monsieur - powiedział urażonym tonem - podaj gościowi fotel.

Wyrwany ze snu, Monsieur dźwignął się i przeciągnął, aż mu zatrzeszczało w stawach. Ziewnął, otrzepał sierść, po czym stanął na tylnych łapach, chwycił fotel i kręcąc z dezaprobatą łbem, ruszył w stronę Juliana. Ani na moment nie przestawał mu się przyglądać.

Ołowiany żołnierz nigdy by nie stchórzył. Rotas w panice dopadł drzwi i szarpnął za klamkę. Zamknięte. Począł walić w nie pięściami.

- Ucisz go, Monsieur, bo obudzi strażnika - polecił Lucyfer.

Monsieur odstawił fotel, jednym skokiem dopadł Juliana, chwycił go łapą za kołnierz marynarki i pociągnął w głąb pokoju. Było już jednak za późno. Zachrobotał klucz i w progu stanął zaspany strażnik, bez krawata i w krzywo zapiętej marynarce.

- Co za czort?! - jęknął, wybałuszając oczy.

To, co zobaczył, mogło każdemu odjąć mowę. Pośrodku pokoju, w obecności usadowionego za biurkiem właściciela firmy, stał na dwóch łapach pies słusznych rozmiarów. Na fotelu, obok szklanego barku na kółkach, sztywno siedział poblady jegomość. Pies jedną łapą przyciskał go do oparcia i nerwowo strzygąc krótkimi uszami, spoglądał z wyrzutem na

strażnika.

- Słodki Jezu! - wymamrotał strażnik, kiedy pies machnął wolną łapą, zapraszając go do środka.

Lucyfer cmoknął z niezadowoleniem.

- Ejże, drogi panie, tylko bez tego monotematycznego monoteizmu, jeśli łaska! - krzyknął. Pstryknął energicznie palcami i dorzucił coś pod nosem.

Strażnik poruszył się niespokojnie, poczerwieniał, nadał jak balon napełniony gazem; potem powietrze zaczęło z niego uchodzić z sykiem. Małał w oczach, aż została po nim tylko kupka ubrań.

Monsieur zostawił Juliana na fotelu. Zamknął drzwi na klucz, po czym spośród ubrań na podłodze wyłowił figurkę brzuchatego Buddy.

- Jedność w różnorodności - skomentował z ironią Lucyfer, powiódłszy wzrokiem za Monsieur, który umieścił Buddę na jednej z półek z książkami, w sąsiedztwie Ojców Pustyni i świętego Tomasza z Akwinu. - Tolerancja religijna w wymiarze praktycznym, której, nie chwając się, jestem poniekąd prekursorem. Kto to dzisiaj doceni... Ale do rzeczy. - Nie wstając z fotela, otworzył dolną szufladę biurka. Szukał czegoś, szeleszcząc papierem, wreszcie wydobyl zwinietą w rulon kartkę. - Po to przyszedłeś? - Rozpostarł rulon i zbliżył się, żeby pokazać go Julianowi. Nie czekając na potwierdzenie, zwinął kartkę, pstryknął zapalniczkę i przyłożył płomień do papieru. Ten błyskawicznie się zajął. Lucyfer rzucił płonąca kartkę na szklany barek. - Przywiązujesz za dużą wagę do symboli - podjął, patrząc bez emocji, jak płomień pożera papier. - Wystarczy zniszczyć cyrograf i umowa będzie nieważna? Tak myślałeś, przyznaj się. - Przynął sobie fotel i usiadł naprzeciwko Juliana, oddzielony od niego barkiem. - Przecież to tylko rekwizyty. Miłe dla oka ozdóbki, które tak naprawdę niczemu nie służą. Cóż, diabeł też lubi pobawić się w teatr. - Zaśmiał się szczerze, ale momentalnie spoważniał. - Prawdziwy cyrograf też podpisał. Tyle że przy innej okazji. Liczy się nie tylko to, co na papierze. Powiem ci w sekrecie, że psychologia jest nauką wciąż nie do końca wykorzystaną.

Ogień na szklanym barku powoli dogasał. Od strony Lucyfera biło chłodem. Raptem Julian poczuł za plecami ciepły powiew. Niemal w tej samej chwili nadpalone skrawki papieru zawirowały i poderwały się w górę. Obracając się w powietrznym wirze, w mgnieniu oka rozżarzyły się do czerwoności, po czym opadły na szklany barek. Wystrzelił jasnoczerwony, równej wysokości płomień, który przedzielił barek na pół. Julian nie zdążył się poruszyć, gdy ktoś chwycił go pod ramiona i bez wysiłku uniósł z fotela. Wylądował trzy metry dalej, w bezpiecznej odległości od płomieni. Kręciło mu się w głowie. Kiedy zawrót

głowy minął, zobaczył Michała Archanioła.

W jasnoniebieskiej, luźnej jedwabnej dalmatyce do samej ziemi wyglądał dzisiaj nie do poznania. Przez dwa zgrabne wycięcia w tyle szaty wychodziły umięśnione skrzydła, dobrze utrzymane, choć z widocznymi brakami w upierzeniu. Włosy nosił starannie ufryzowane; nie ufarbował ich tym razem i przez pozostałości czarnej farby przebijały grube pasma siwizny. Ziemista cera nabrała rumieńców, zniknęły też worki pod oczami, które tak go postarzały.

Monsieur na jego widok cicho zasunął szybę w biblioteczce. Obliznął się nerwowo. Powolutku, centymetr po centymetrze, zaczął przemykać pod ścianą w kierunku Michała, spoglądając kątem oka na Lucyfera.

Lucyfer tymczasem zdołał ochłonąć. Przesunął się razem z fotelem do tyłu.

- Mógłbyś się wytłumaczyć? - spytał na pozór spokojnie. - Jakim prawem mnie nachodzisz? Przecież sprawa została zakończona.

- Okazuje się, że nie. W trybie pilnym wniesiono apelację. Góra się zgodziła. Jest szansa na zmianę wyroku.

- Apelacja? Wolne żarty! Na jakiej podstawie?

- Klasyczny przypadek: wyznanie win, żal za grzechy, szczere pragnienie poprawy. Wszystko jest, jak trzeba. Nie ma się do czego przyczepić.

Lucyfer zaśmiał się.

- Klasyczny przypadek? A to dobre! Ktoś tu musiał nieźle namieszać.

- Wykorzystałem przysługujące mi uprawnienia. Dobrze wiesz, że gdyby nie było podstaw do rewizji wyroku, góra nigdy nie wyraziłaby zgody.

- Traciecie czas - skomentował oschle Lucyfer. - Każda ława przysięgłych zatwierdzi wcześniejszy wyrok.

Michał Archanioł wysunął się przed Juliana.

- Nie będzie ławy przysięgłych - oznajmił. Mówił jak wcześniej, z chrypką, ale głos miał mocny i stanowczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Rozstrzygniemy to jak dawniej. Ty i ja.

Lucyfer uniósł brwi. Obejrzał Michała od stóp do głów, uśmiechając się ironicznie.

- Nie mogli przysłać kogoś młodszego?

- Mogli. Sam się zgłosiłem.

- Wy tam, na górze, chyba nie zauważyliście, jak bardzo świat poszedł do przodu. Czasy się zmieniły.

- Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Mówię o tradycji, czyli o potrzebie pamiętania. Z pamięcią jest jak z wiecznością: nie podlega prawom fizyki.

- A ja mam wrażenie, że traktujesz to wszystko w kategoriach zbyt osobistych. To takie... nieprofesjonalne. - Książę Ciemności wydał wargi. - Stare rany wciąż boją, co?

Uwaga była celna i zaskoczyła Michała. Instynktownie dotknął palcem blizny na czole. Monsieur tylko na to czekał. Oderwał się od ściany i skoczył jak na sprężynie. Nie wydając z siebie jednego dźwięku, szybował w powietrzu z rozpostartymi łapami, pazury nastawił, szczęki trzymał rozwarłe w pogotowiu. Ach, lubił takie chwile! Pierwotny instynkt bierze górę nad uczuciami wyższego rzędu, jak by powiedział Darwin, przemknęło mu przez myśl. Może niezupełnie w porę. Choć z drugiej strony trudno się Monsieur dziwić. W końcu był rzeczywiście bardzo czytany psem.

Michał Archanioł zatrzepotał energicznie skrzydłami. Wystrzeliły spod nich dwa jaskrawe płomienie i zbiły się w jedną ognistą kulę. Zaskwierczała przypalana sierść. Monsieur, zamieniony w żywą pochodnię, z upiornym wyciem runął na podłogę. Wijąc się po dywanie, to popiskiwał, to zawodził wniebogłosem, aż żal było słuchać. Nie trwało to długo. Dostał drgawek, wydał z siebie przeciągły jęk i znieruchomiał. Ogień w mgnieniu oka strawił ciało do szkieletu, jakby to było zwietrzałe truchło.

- No, no, robisz postępy! - skomentował Lucyfer. Wycofał się w głąb pokoju. Płomienie zajęły już część dywanu i zbliżały się do biblioteczki. - Biedny, biedny Monsieur. Tak bardzo bał się ognia... Ładna sztuczka, nie powiem, ale to tylko sztuczka. Na mnie nie wystarczy.

- Dla ciebie przygotowałem coś specjalnego. Ogień wewnętrzny.

Lucyfer zbladł. Drżącymi dłońmi machinalnie zapiął środkowy guzik marynarki.

- Blefujesz. Więc nawet nauczyłeś się kłamać. Brawo.

- Nie blefuję. Sator, Arepo, Tenet, Opera, Rotas. Wystarczy zmienić ten diabelski szyk, a będziesz się smażył.

Lucyfer prychnął.

- Bawisz się w kalambury i anagramy. A to tylko słowa. Czarna magia. Nawet ja nie potrafię już w to wierzyć.

- Trzeba tylko wiedzieć, co naprawdę kryje się za słowami. Że to anagram? Trafna uwaga. Anagram, czyli „zapis wsteczny”. Ułóż te słowa wspak, a imię Pana zwycięży. Julian już to chyba wie.

Rotas ma wrażenie, że cała ta scena jest powtórzeniem czegoś, co już kiedyś się wydarzyło. Pamięta podobny ogień. Operowy Mefistofeles swatający Fausta z Małgorzatą;

sceniczny blichtr, piękne kłamstwa wyczarowane reflektorami i makijażem, dyrygent bezbłędnie prowadzący orkiestrę. A potem, wylaniający się spośród oparów teatralnej siarki, prawdziwy szatan w prawdziwym piekle. Kuszenie nad rzeką ognia. Piekielny Rubikon, który trzeba przekroczyć, by przypieczętować umowę z szatanem. A więc, Julian teraz to rozumie, cyrograf nie był nawet potrzebny. Aby anulować wyrok, nie wystarczy spalić cyrograf. Trzeba wrócić do punktu wyjścia, a potem ruszyć w przeciwnym kierunku. Anagram. Sator, Arepo, Tenet, Opera, Rotas. Czytać wstecz. Odwrócić sytuację o sto osiemdziesiąt stopni.

- Maszynopis! - krzyknął. Szarpnął archanioła za rękaw dalmatyki. - Potrzebny mi maszynopis!

- Alleluja! - zagrział Michał. Sięgnął szybkim ruchem pod szatę i wyjąwszy grubą biurową teczkę, rzucił ją Julianowi ze słowami: - Marlowe, ostatnia kwestia Fausta.

Rotas rozwiązał znajomą teczkę. Na pierwszej stronie wybite pogrubioną czcionką *Christofer* i „Julian Rotas”, a dalej trzysta dwadzieścia stron tekstu. Robię to także dla ciebie, Kicie. Postąpiłbyś pewnie tak samo, pomyślał, wrzucając do ognia kilka pierwszych kartek.

Lucyfer zaatakował w milczeniu, nie zważając na płomienie. Tylko dwa kroki dzieliły go od Juliana, kiedy potężny cios odrzucił go do tyłu. Pozbierał się szybko z podłogi. Z niedowierzaniem dotknął czerwonej plamy na koszulce, na wysokości brzucha.

- Tak, krwawisz. - Michał, nie kryjąc wzruszenia, przeciągnął kciukiem po trzech korbach, które setnik Longinus wyciął na drzewcu na pamiątkę potrójnego ukrzyżowania. Potrząsnął włócznią. - Piękna pamiątka. Święte ostrze, które spłynęło krwią Chrystusa. Cudowna broń kontra twoja nieśmiertelność. Julianie, wrzucaj kartki do ognia.

Rotas cisnął w płomienie kolejną porcję maszynopisu. Lucyfer jęknął. Zgiął się wpół i już wydawało się, że upadnie, gdy raptem wyprostował się i wyjąc jak potępieniec, rzucił naprzód z dłońmi wyciągniętymi jak szpony. Michał krótkim, precyzyjnym dźgnięciem osadził go w miejscu.

- Przestajesz nad sobą panować. Następnym razem będę mierzył w serce. - Archanioł uniósł skrzydła jak do lotu, stanął szerzej na nogach i mocniej ujął włócznię.

Przywołując na pamięć Marlowe'a, Julian rzucił do ognia cały maszynopis wraz z teczką. Potem wyrecytował ze szczerością, której mógłby mu pozazdrościć Ed Alleyn, wierny przyjaciel Kita i niezrównany odtwórca Fausta w *Doktorze Fauście*:

- Zniknij, ohydne piekło! I ty, Lucyferze. Spalę swoje księgi.

Płomień szybko trawił kartki. Lucyferem zachwiało. Oddychając chrapliwie, szarpał ubranie na piersiach. Twarz miał purpurową i całą w pocie, jak przy gorączce. Zaczął się przeobrażać. Skóra spadała mu z twarzy całymi płatami, podobna do topniejącego wosku,

odslaniając galaretowate mięso i sieć ciemnoniebieskich, pulsujących żył, które oplatały czoło i zbiegały się na czaszce w miejscu, w którym wyrosły dwa nieduże, stożkowate rogi czerwone jak rozżarzone węgle. Michał Archanioł zgrabnie podgarnął włócznią dopalając się kartki. Płomień poszedł w górę. Lucyfer z wyciem okręcił się wkoło. W oparach czarnego cuchnącego dymu wirował coraz szybciej, wrzeszcząc coś przy tym niezrozumiale. Michał tylko na to czekał. Napiął się i z całej siły zatrzepotał skrzydłami. Podmuchał rzucił Lucyfera na biurko. Diabeł jęknął, poderwał się niemrawo, po czym - spowity czarnym obłokiem - wzleciał niepewnie, zatoczył półkole i śmignął przez półotwarte okno.

Słysząc już było syreny wozów strażackich. Płomienie w pokoju sięgały sufitu.

- Zdrowo oberwał. Prędko się nie pozbiera - orzekł Michał Archanioł z satysfakcją. Koniuszkami palców dotknął blizny na czole. Przeciągnął dłonią po drzewcu włóczni, aż po samo ostrze. - Hosanna! Dwa tysiące lat zabiegów i starań. Chwała Panu na wysokościach. No, nic już tu po nas. - Pochwycił pytający wzrok Juliana. Złożył starannie skrzydła i odchrząknął. - Zastanawiasz się, czy gdyby nie chodziło o odzyskanie włóczni Longinusa, też bym ci pomógł. Ciekawe pytanie. Chociaż - potraktuj to, proszę, jako radę na przyszłość - chyba nie wypada zadawać takich pytań aniołowi.

Idąc wśród płomieni, minęli biblioteczkę. Szyby popękały od gorąca i ogień przeżarł się już przez grzbiety dzieł Johanna Eckharta i Blaise'a Pascala. Przeszli przez ścianę i znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu pałacyku. Strażacy właśnie podłączali węże do hydrantów.

- Zajrzemy jeszcze w jedno miejsce - zapowiedział Michał Archanioł. - Obrócimy migiem, to niedaleko. - Położył Julianowi rękę na ramieniu. - O ile znam życie, będziesz zadowolony. A potem dalej w drogę.

## Epilog

# Dziwne rzeczy o północy

Zbliżała się północ. Ewa Chrapko, przełożona pielęgniarek na oddziale intensywnej terapii szpitala na Banacha, dopijała właśnie drugą tej nocy kawę, gdy zadzwonił dyspozytor z miejskiego centrum wypadkowego: na ulicy Foksał płonął budynek, mogą być ofiary. Przyjęła zgłoszenie i bezzwłocznie wybrała numer komórki doktora Otmuchowskiego, który pełnił całodobowy dyżur. O tej porze Otmuchowski miał zwyczaj przeprowadzać ostatni obchód. Znalazła go w pokoju, w którym od blisko tygodnia leżała Helena Rotas. Obiecał, że zaraz przyjdzie. Tymczasem poprosił, by rozpoczęła stosowne przygotowania. Zanim się rozłączył, usłyszała jeszcze, jak wydaje instrukcje pielęgniarce, która tej nocy miała pełnić dyżur przy pani Rotas.

Siostra Chrapko chwyciła słuchawkę. Rutynowe postępowanie. W trzy minuty uporała się ze wszystkim: postawiła na nogi personel pomocniczy, kazała przygotować sześć dodatkowych łóżek, sprzęt do leczenia ofiar poparzeń i zestawy resuscytacyjne. Ledwie skończyła, odezwał się aparat linii wewnętrznej. Dzwonił portier z izby przyjęć. Tylko przez chwilę słuchała go spokojnie.

- Że co?! - huknęła. - Wypisy o północy?! Co za bzdury mi tu pan wygaduje! Panie Tatajczyk, ostrzegalam, że to się źle skończy. Tym razem pan się doigrał.

Do pokoju zajrzał doktor Otmuchowski. Słyszając podniesiony głos pielęgniarki, spojrzał na nią pytająco. Trzasnęła słuchawką, nie pozwalając Tatajczykowi dojść do słowa. Zamierzała od razu poskarżyć się na portiera u Otmuchowskiego, ale zanim zdążyła otworzyć usta, rozległ się dzwonek alarmowy. Otmuchowski pierwszy się zorientował.

- Sala pani Rotas! - krzyknął. Nie oglądając się na pielęgniarkę, wypadł z pokoju i popędził korytarzem w stronę schodów prowadzących na trzecie piętro.

Kiedy Ewa Chrapko dotarła za nim na miejsce, wraz z dyżurującą w pokoju pielęgniarką próbował już za pomocą defibrylatora przywrócić czynność serca. Nie przynosiło to skutku.

Po dwudziestu minutach zrezygnowali. Otmuchowski był wyraźnie przybity. Jeszcze pół godziny wcześniej wykres pracy serca nie odbiegał od normy. Nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo wystąpienia nagłych komplikacji. Wstępnie uznał, że przyczyną zgonu



było zatrzymanie akcji serca. Miał nadzieję, że rodzina zmarłej wyrazi zgodę na autopsję. Autopsja mogłaby pomóc wyjaśnić nie tylko przyczynę zgonu, ale też zapewne określić podłoże śpiączki. Powoli natura naukowca zaczynała w nim brać górę. W końcu był to naprawdę ciekawy przypadek. Zasługiwał co najmniej na omówienie w naukowym periodyku. Po namyśle uznał, że nawet jeśli autopsja nie przyniesie odpowiedzi na pytanie o przyczynę choroby, to i tak warto będzie wysłać zgromadzony materiał do „Medical Jouma”. W końcu nauka notuje wiele nie wyjaśnionych zjawisk.

Siostra Ewa Chrapko miała na głowie bardziej przyziemne sprawy. Zebrawszy całą dokumentację dotyczącą pobytu zmarłej w szpitalu, na prośbę doktora Otmuchowskiego przygotowała akt zgonu. Następnie napisała notatkę służbową o incydencie z udziałem Tatajczyka. Podkreślając, że nie jest to pierwszy przypadek, gdy pracuje on pod wpływem alkoholu, wniosowała o natychmiastowe zwolnienie.

Nazajutrz kierownik administracyjny wezwał Tatajczyka na rozmowę. Portier zaklinał się na wszystkie świętości, że tego wieczoru nie wziął do ust nawet kropli. Jednak przyciskany do muru, powtarzał uparcie tę samą historię. Twierdził mianowicie, że tuż po północy zjawił się w izbie przyjęć pisarz Julian Rotas, prowadząc żonę pod rękę. Nie zatrzymywani przez nikogo wyszli ze szpitala i tyle ich było widać. Tatajczyk uznał, że to dziwna pora na wypisy, dlatego zaraz zadzwonił do przełożonej pielęgniarek. Ot i cała historia.

Tatajczyka zwolniono dyscyplinarnie. Wiedziano od dawna, że popija, nikt więc nie dał wiary jego zapewnieniom, że tej nocy był trzeźwy. Uznano zresztą, że jeśli nie konfabulował pod wpływem alkoholu, to tym bardziej należy się go pozbyć. Przecież takie historie, mówiono, pukając się w czoło, mogą powstać wyłącznie w chorym umyśle.

## Od autora

Czytelnikom, którzy szczególnie pilnie śledzili losy Christophera Marlowe'a, należy się krótkie wyjaśnienie. Życiorys autora *Tragicznych dziejów doktora Fausta*, będącego powieściowym alter ego Juliana Rotasa, jest na tyle fragmentaryczny, że każda próba opisanego go zawierać musi sporą dawkę fikcji. Stąd też zaledwie naszkicowany tu portret poety, choć mieści się w ramach weryfikowalnych faktów, jest interpretacją subiektywną, wybiórczą i fikcyjną. Warto jednak pamiętać, że nawet popularna dziś teza o szpiegowskiej działalności Marlowe'a, przez większość historyków nie podważana, oparta jest raczej na poszlakach niż na dowodach. Przedwczesna i tajemnicza śmierć poety dopisała do jego życiorysu jeszcze jedną tajemnicę.

Mogłoby się wydawać, że wobec tylu zagadek otaczających Marlowe'a kwestia pisowni jego imienia nie jest najważniejsza. Uznałem jednak, że nie mogę pozostawić Czytelnika w przeświadczeniu, że autor postępuje niekonsekwentnie, raz każąc bohatera nazywać Christopherem, innym zaś razem przedstawiając go jako Christofera. Wyjaśnienie jest dość proste: w Anglii elżbietańskiej nie przestrzegano zbyt rygorystycznie zasad pisowni. Adekwatnym przykładem była angielska pisownia nazwiska Szekspira, czasem bardzo odległa od formy dziś przyjętej. Co zaś do Kita - tak zwracali się do Christophera Marlowe'a przyjaciele - poeta zdawał się preferować formę Christofier. Pod tym właśnie imieniem został wpisany w księdze chrzcielnej katedry w Canterbury pod datą 26 lutego 1564 roku.

Takie też imię widnieje w zapisie z 1579 roku, w którym mowa jest o przyznaniu „Christoferowi” stypendium umożliwiającego naukę w King's School w Canterbury. Z podobnym problemem spotykamy się w przypadku nazwiska poety. We wspomnianym zapisie chrzcielnym czytamy: „Christofer the sonne of John Marlow”, ale w „dokumencie stypendialnym” Kit wymieniony jest już jako „Marley”. Tak też właśnie będzie zazwyczaj się przedstawiał. Na testamencie niejkiej Katherine Benchkin z roku 1585, wśród czterech świadków znajdujemy podpisy Kita oraz jego ojca: „Christofer Marley” i „John Marley”. Kolejnym dokumentem jest raport Tajnej Rady z 20 maja 1593 roku, stwierdzający, że „Christofer Marley of London” został doprowadzony przed oblicze Ich Lordowskich Mości. Ale w wydany trzy dni wcześniej przez tę samą Tajną Radę nakazie aresztowania wymieniony jest „Christofer Marlow”. Forma „Christopher Marlowe” pojawiła się po raz

pierwszy w druku na stronie tytułowej dramatu *Dido, Queen of Carthage*, wydanego w r. 1594, rok po śmierci poety. Takie też nazwisko przyjęło się z czasem na dobre. Pozostanie oczywiście na zawsze tajemnicą, czy Christofier Marley przyjąłby tę zmianę z uznaniem.